PROTEST KOBIET
Ten piorun musiał uderzyć

MŁODA POLSKA
Prawdziwy konflikt dopiero nadejdzie

CZERWONE BIRETY
Kardynałowie do zadań specjalnych

EUROPA SIĘ ZAMYKA
Reportaże od Londynu i Barcelony po Trzcianę

CZAS NA LAS
Geografia pięciu zmysłów

Kraków 8 listopada 2020 nr 45 (3722) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

DOROTA SEGDA

Walcz o swoje

DODATKI SPECJALNE
- WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
- XXIX FESTIWAL ARS CAMERALIS
- SUSZA W POLSCE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Och, te duchy!

(Questi fantasmi!)

projekt plakatu: Patryk Hardziej

OCH, TE DUCHY!
(QUESTI FANTASMI!)
Eduardo De Filippo
Przekład Anna Osmólska-Mętrak
Reżyseria Dan Jemmett
Scenografia Dick Bird
Kostiumy Sylvie Martin-Hyszka
Reżyseria światła Damian Pawella

PRAPREMIERA POLSKA
listopad 2020

OBSADA
Dagna Dywicka
Ewelina Gronowska
Beata Pszeniczna
Beata Wojciechowska
Bartłomiej Cabaj
Janusz Głogowski
Jacek Mąka
Andrzej Plata
Dawid Żłobiński
oraz
Judyta Pająk
Bogna Żłobińska
Franciszek Foksa
Oskar Zatorski

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

więcej na **www.teatrzeromskiego.pl**

Rezerwacje: +48 41 344 75 00; kasa@teatrzeromskiego.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Laicyzacja*

Jarosław Kaczyński zaapelował: „Wzywam wszystkich członków Prawa i Sprawiedliwości i wszystkich, którzy nas wspierają, do tego, by wzięli udział w obronie Kościoła, w obronie tego, co dziś jest atakowane. Ten atak ma zniszczyć Polskę, ma doprowadzić do triumfu sił, których władza zakończy historię narodu polskiego, jak dotąd go postrzegaliśmy, tego narodu, który jest naszym narodem, który mamy w naszych umysłach i sercach”.

Apel prezesa PiS nie był dobrze przyjęty przez ludzi Kościoła. „Żadne instrumentalizowanie spraw wiary i Kościoła nic dobrego nie przyniesie – powiedział w RMF FM prymas Polski abp Wojciech Polak, komentując słowa Kaczyńskiego. – Kościół nie potrzebuje żadnego parasola ochronnego ze strony państwa”. I bardzo dobrze, bo wojna religijna czy sprowadzanie wojny na tory religijne niczego dobrego by nie przyniosły.

Nie znaczy to jednak, że Kościół nie stoi w obliczu istotnych pytań, takich jak choćby to o przerywanie ciąży w przypadkach, o których mówił wykreślony przez Trybunał Konstytucyjny artykuł.

Bo stanowisko Kościoła jest tu jasne. W dokumencie Kongregacji Nauki Wiary czytamy: „W chwili, gdy jakieś prawo pozytywne pozbawia obrony pewną kategorię istot ludzkich, których ze swej natury powinno bronić, państwo przez to samo neguje równość wszystkich wobec prawa. Gdy państwo nie używa swej władzy w służbie praw każdego obywatela, a w szczególności tego, który jest najsłabszy, zagrożone są podstawy praworządności państwa... Wyrazem szacunku i opieki należnej mającemu urodzić się dziecku, począwszy od chwili jego poczęcia, powinny być przewidziane przez prawodawstwo odpowiednie sankcje karne za każde dobrowolne pogwałcenie jego praw”. A Jan Paweł II w encyklice „Evangelium vitae” pisał: „mocą władzy, której Chrystus udzielił Piotrowi i jego Następcom, w komunii z Biskupami – którzy (...) wyrazili jednomyślnie – choć byli rozproszeni po świecie – aprobatę dla tej doktryny – oświadczam, że bezpośrednie przerwanie ciąży, to znaczy zamierzone jako cel czy jako środek, jest zawsze poważnym nieładem moralnym, gdyż jest dobrowolnym zabójstwem niewinnej istoty ludzkiej. (...). Żadna okoliczność, żaden cel, żadne prawo na świecie nigdy nie będą mogły uczynić godziwym aktu, który sam w sobie jest niegodziwy, ponieważ sprzeciwia się Prawu Bożemu, zapisanemu w sercu każdego człowieka, poznawalnemu przez sam rozum i głoszonemu przez Kościół”.

Mając na uwadze to jednoznaczne stanowisko Kościoła wobec aborcji można pytać, jak mógł on akceptować ustawowy kompromis z 1993 r., dopuszczający aborcję w trzech sytuacjach. Akceptowano zatem wolny wybór kobiety znajdującej się w skrajnie trudnej sytuacji.

W wydanej w 2010 r. książce o aborcji znany polski teolog napisał: „Materialistycznej orientacji permisywnych koncesji na zabijanie głęboko upośledzonych płodów przeciwstawia filozofia i etyka chrześcijańska naukę o godnościowym charakterze osobowym każdej istoty ludzkiej. (...) opiera się ta nauka również na odpowiednio filozoficzno-antropologicznej podstawie: określa ją spirytualistyczna i personalistyczna koncepcja człowieka...”.

W protestach po wyroku TK na pierwszy plan wysuwa się sprawa pozbawienia matki (rodziców) prawa do wolnej decyzji, jednak wyraźnie jest tam obecny motyw aborcji w ogóle. We wspomnianej książce tytuł jednego z paragrafów brzmi: „Sprawa aborcji testem laicyzacji...”. Bo chociaż za miarę laicyzacji zwykło się uważać spadek liczby uczestników niedzielnej mszy św. czy przystępujących do sakramentów, to o ileż bardziej jest nią stosunek do takich spraw jak aborcja.

Dziś Kościół musi przekonać do swoich racji, bo zmusić do ich przyjęcia nie wolno i się nie da. Laicyzacja jest również odpowiedzią na przymus. ©℗

Korzystałem z: Tadeusz Ślipko SJ, ks. Marek Starowieyski, ks. Andrzej Muszala „Aborcja. Spojrzenie filozoficzne, teologiczne, historyczne i prawne”, Petrus, Kraków 2010.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 To nie do zniesienia. Posłuchajcie, jak bardzo
ZUZANNA RADZIK
Chodzi o protest kobiety wcielonej. Ciało, nad którym państwo i Kościół chcą mieć kontrolę, mówi: dość.

56 Znajdujemy tylko śmietniki
ROZMOWA Z MAGDALENĄ MOSKAL-DEL HOYO, ARCHEOBOTANICZKĄ:
Pojawienie się rolnictwa to jedna z kilku rewolucji, które zmieniały nie tylko nasz sposób życia, ale całe środowisko i planetę.

30 Chrześcijaństwo jutra
KS. TOMÁŠ HALÍK
Pół wieku swojego życia śniłem wielki sen o zjednoczeniu wszystkich wierzących w Chrystusa. Dziś ten sen się rozpłynął. Walczę z wątpliwością, czy dialog ma sens.

40 Kto uratuje święta
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU
Jesienna fala epidemii idzie przez Wielką Brytanię. Wyostrza stare podziały i ukazuje nowe.

78 Opinie niebohaterskie
ROZMOWA Z DOROTĄ SEGDĄ:
To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, jest wyrazem pogardy do kobiet i stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. Pożałują.

102 Gegra rządzi
ROZMOWA ZE SZCZEPANEM ŻURKIEM, NAUCZYCIELEM GEOGRAFII I KRAJOZNAWCĄ:
Kiedy okazało się, że uczyć będziemy zdalnie, spakowałem się, wsiadłem do busa i ruszyłem w Polskę. Lekcje prowadziłem z Podlasia, z Lubelszczyzny, znad Bugu.

ADAM LACH / FORUM // MICHAŁ KUŹMIŃSKI // JANE BARLOW / EAST NEWS // DAWID ZIELIŃSKI // JACEK TARAN // LUIS ACOSTA / AFP / EAST NEWS

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Pocztę Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego". W przypadku ewentualnych opóźnień upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dołożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Skutki uboczne
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Polska wychodzi zza kulis
PAWEŁ MARCZEWSKI
o betonowaniu sceny politycznej i odmowie dialogu społecznego ze strony władzy

24 Kiedy triumfują paragrafy
ROZMOWA Z BEATĄ ZADUMIŃSKĄ, PSYCHOLOŻKĄ:
Czasem mam wrażenie, że w zakazie aborcji chodzi o kontrolowanie procesu emancypacji kobiet

27 Bieszczadzka rafa koralowa
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI:
Wypróchniały, ośmiometrowy pień jodły zagadkową siłą ciągle trzyma pion

WIARA

30 Chrześcijaństwo jutra
KS. TOMÁŠ HALÍK

34 Czerwone birety
EDWARD AUGUSTYN:
Nominacje kardynalskie papieża Franciszka i przyszłe konklawe

37 Oczy, uszy, ręce, usta
MARIUSZ SEPIOŁO:
O księdzu Mieczysławie Puzewiczu bezdomni najczęściej mówią po prostu „Mietek”

ŚWIAT

40 Kto uratuje święta
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

43 Gdy sypie się świat
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY:
Stolica Katalonii znów zastyga

DODATKI SPECJALNE

63

73
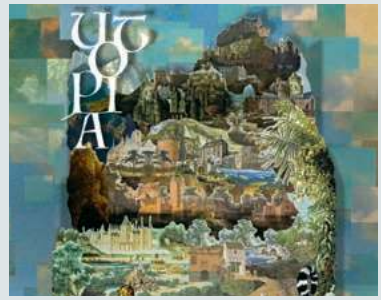

95

FELIETONY

92 JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO
106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: DOROTA SEGDA
na Czarnym Proteście, Kraków, 3 października 2016 r.
FOT. BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

46 Do wymazu razem marsz
MARCIN ŻYŁA Z TRZCIANY:
Słowacja przetestuje prawie wszystkich dorosłych obywateli

48 Sędzia last minute
MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU: *Amy Coney Barrett została sędzią Sądu Najwyższego USA*

50 Nobel i faul
ROZMOWA Z MICHAŁEM LUBINĄ:
Nasz problem z Aung San Suu Kyi z Birmy polega na tym, że uznaliśmy ją za demokratkę w zachodnim stylu

52 Karabaski front
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z GÓRSKIEGO KARABACHU: *Wojna przybiera coraz bardziej niepomyślny obrót dla Ormian*

NAUKA

56 Znajdujemy tylko śmietniki
ROZMOWA Z MAGDALENĄ MOSKAL-DEL HOYO

KULTURA

78 Opinie niebohaterskie
ROZMOWA Z DOROTĄ SEGDĄ

83 Soki w szczelinach
PIOTR KOSIEWSKI: *Wystawa „Wiśnie” przypomina o tym, że sztuka może być źródłem przyjemności*

86 Zabawa z alkomatem
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Na rauszu” Thomasa Vinterberga*

88 Dom grozy
JAKUB MAJMUREK:
Dlaczego potrzebujemy mrocznych przestrzeni fantazji

90 Widzialna moc literatury
GRZEGORZ JANKOWICZ
z Festiwalu Conrada

92 Pusta łąka
LEKTOR *o książce „Zagłada cmentarzy żydowskich” Krzysztofa Bielawskiego*

ZMYSŁY

102 Gegra rządzi
ROZMOWA ZE SZCZEPANEM ŻURKIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Uczniowie z Pomorza i Wielkopolski zainicjowali akcję, która jest stricte polityczna, oddolna i dotyczy walki o sprawy bezpośrednio uczniów dotyczące. Warto posłuchać, co młodym doskwiera
– pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Gdy za zmarłymi śpiewano [Podkast Powszechny]
O żałobnych śpiewach na tradycyjnej polskiej wsi i w dzisiejszych polskich miastach – opowiadają współtwórczynie projektu „Pieśni do śmierci” **JULIA BICZYSKO** I **ANNA JURKIEWICZ**
powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

SKUTKI UBOCZNE

Choć koronawirus zwycięża na wszystkich frontach, w starciu z nim nie jesteśmy całkowicie bezbronni.

MACIEJ MÜLLER

Szpitalny Oddział Ratunkowy Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie, 24 października 2020 r.

Wirus SARS-CoV-2 jest zabójczy, co zaczyna być widoczne nie tylko w publikowanych codziennie statystykach covidowych. Od połowy września Urzędy Stanu Cywilnego wydawały tygodniowo od kilkuset do ponad tysiąca aktów zgonu więcej niż w analogicznym okresie 2019 r. Demografowie łączą ten wzrost z trwającą pandemią.

Koronawirus zabija na kilka sposobów. Po pierwsze, poprzez chorobę COVID-19. Po drugie – zaostrzając choroby współistniejące (cukrzycę, nadciśnienie itp.). Ryzyko ciężkiego przebiegu zakażenia u cierpiących na te schorzenia można sprawdzić w internetowym „kalkulatorze ryzyka dla mieszkańców Polski", opracowanym przez matematyków z grupy MOCOS. 40-letni zdrowy mężczyzna z 8-procentowym prawdopodobieństwem będzie wymagał po zakażeniu hospitalizacji. Dla jego kolegi z astmą ten wskaźnik sięga już 33 proc.

Te dwie kategorie zgonów widzimy w raportach Ministerstwa Zdrowia; ostatnio ich suma sięga 200-300 dziennie, choć dla epidemiologów jest jasne, że na tym śmiercionośność koronawirusa wcale się nie kończy.

Trzecia grupa zgonów, za które pośrednio – ale faktycznie bezpośrednio – odpowiada koronawirus, to efekt paraliżu systemu ochrony zdrowia. Od marca rozpoznaje się mniej przypadków raka, chorób serca, płuc itp. Mniej wykrytych przypadków oznacza mniej rozpoczętych i prowadzonych we wczesnych stadiach chorób terapii. Również pacjentom z wypadków czy cierpiącym na

inne niż COVID-19 schorzenia coraz trudniej uzyskać pomoc lekarską.

Są (i będą) wreszcie zgony jeszcze bardziej odłożone w czasie i przez to trudniejsze do powiązania z pandemią. To skutki obostrzeń wprowadzonych w walce z wirusem. Wiosenny *lockdown* spowodował u wielu z nas nie tylko silny, długotrwały stres, ale i unieruchomił w domach. Brak aktywności fizycznej i odcięcie od wizyt rodziny najmocniej odbiły się na kondycji ludzi starszych.

Przez koronawirusa będzie nas mniej. Nie tylko z powodu większej liczby zgonów. Decyzja o zamrożeniu gospodarki – niezbędna dla zahamowania zakażeń – po kilku miesiącach również przynosi skutki uboczne. Wyraźnie spadła liczba zawieranych małżeństw, a w obliczu pandemii wiele par odkłada decyzję o potomstwie. Demograficzny efekt pandemii będziemy odczuwali przez dekady.

Tymczasem koronawirus zwycięża na wszystkich frontach, wskaźniki rozwoju epidemii pną się pionowo. Do chwili zamknięcia tego numeru „TP" nie było jeszcze widać skutków wprowadzonego 17 października częściowego lockdownu. Rząd nadal nie zamknął do końca szkół (tj. nie wysłał na zdalne nauczanie klas 1-3), nie przecinając jednego z najskuteczniejszych szlaków transmisji wirusa. Niewątpliwym zagrożeniem epidemicznym są też trwające kolejny dzień masowe protesty uliczne: nawet jeśli większość manifestujących nosi maseczki, to ogromna liczba interakcji społecznych musi skutkować wzrostem zakażeń.

Czy wobec rozwoju epidemii z jednej strony, a paraliżu systemu ochrony zdrowia z drugiej, jesteśmy bezbronni? Na szczęście niezupełnie. Naukowcy wskazują, że pewien procent populacji nie ulega zakażeniu nawet po długotrwałym kontakcie z koronawirusem. Wynika to ze skuteczności ich nieswoistej odpowiedzi immunologicznej, czyli „artylerii" witającej w organizmie każdy pojawiający się patogen (przechorowanie lub przyjęcie szczepionki uaktywnia z kolei odpowiedź swoistą, którą można porównać do sił specjalnych). Wiadomo też, że o wiele ciężej przechodzą COVID-19 osoby przemęczone, zestresowane, zaniedbujące wypoczynek. Wniosek? Dbajmy o nieswoisty układ odporności. Dobrze się odżywiając, uprawiając aktywność fizyczną, troszcząc się o dobre relacje, zwiększamy prawdopodobieństwo, że kiedy już dojdzie do zakażenia, przebiegnie ono łagodniej. ©℗

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Kompromis zgłoszony na oślep

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Od kiedy na przełomie września i października koronawirus uderzył w Polskę ze zdwojoną siłą, prezydent zniknął. W kampanii regularnie przekonywał, że najgorsze mamy już za sobą. Gdy okazało się, że to nieprawda, zachowywał się, jakby był w równoległej rzeczywistości – pojechał na szczyt Trójmorza do Tallina, promując przy okazji współpracę gospodarczą z Estonią. Gdy dziennikarze zaczęli go zaczepiać na Twitterze, przypominając nadmiernie optymistyczne wypowiedzi z lata, podkreślał, że w tej chwili o sytuacji się nie wypowiada – tak jakby to miał być tytuł do chwały. Pod koniec września zapewniał: „Do połowy października mogą być jeszcze wzrosty, a spodziewamy się od połowy października wypłaszczenia". Pojawił się jeszcze przelotnie z wizytą na Stadionie Narodowym przerabianym na szpital. Tego samego dnia okazało się, że sam jest chory na COVID-19, i zniknął zupełnie.

Z letargu wyrwały go dopiero żona z córką. Obie przez minioną kadencję praktycznie się nie wypowiadały, ale tym razem postanowiły zabrać głos – w sprawie zakazu aborcji w przypadku ciężkiego uszkodzenia płodu. Kinga Duda umieściła swe oświadczenie w internecie. „Nie mogę pogodzić się z konsekwencjami, jakie niesie ze sobą wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Każdy człowiek ma wolną wolę". Z kolei Agata Kornhauser-Duda zabrała głos podczas telefonicznego wywiadu swego męża dla Polsatu: – Czy kobiety muszą być zmuszone do heroizmu? Mam tutaj wątpliwości – mówiła. Tuż po orzeczeniu TK prezydent się z niego otwarcie cieszył. Pod wpływem żony i córki – i ulicznych protestów – zmienił zdanie. Zaproponował projekt ustawy, który ma łagodzić skutki decyzji TK – chodzi o dopuszczalność aborcji w przypadku wad śmiertelnych płodu. To wykluczałoby zabieg np. w przypadku diagnozy zespołu Downa.

Z miejsca tę propozycję poparł premier, który marzy o uspokojeniu sytuacji, bo liderzy obozu zrzucili na jego barki walkę z zarazą. Ale gwarancji, że chce tego także Jarosław Kaczyński, nie ma. Bo niewielu w PiS dziś wie, jakie plany ma prezes. A już prezydent nie wie na pewno. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

PiS tego może nie przeczekać

PREZYDENCKA PROPOZYCJA przywrócenia jednej z przesłanek legalnej aborcji to mniej więcej takie ustępstwo, jak kiedy ktoś, kto wyniósł dwa obrazy z muzeum, kompromisowo proponuje oddanie jednego, bo i tak mu się nie podoba. To miałoby sens, gdyby tych obrazów nie dało się odzyskać innymi metodami. Tymczasem potwierdzany w kolejnych sondażach zjazd poparcia dla PiS zapowiada, że najpóźniej po kolejnych wyborach wszystko trzeba będzie oddać, kto wie, czy nie z nawiązką. Pozycja negocjacyjna obozu rządzącego jest bardzo słaba, a przeczekiwanie nie rokuje. Wygląda na to, że elektorat PiS jest dziś skonfundowany i podzielony, natomiast przeciwnicy są pobudzeni jak nigdy dotąd. Dokładnie odwrotnie niż w ostatnich wyborach. Jeśli stutysięczna manifestacja w Warszawie nie robi na rządzących wrażenia, to mogą przeliczyć sobie, co oznacza 700 osób, które zgromadziło się na rynku w Miechowie już w poprzednią środę. W stosunku do liczby mieszkańców to więcej niż 100 tys. w stolicy. W lipcu prezydent był tam popierany przez prawie dwie trzecie głosujących.

Nie wiemy, czy skala wywołanych problemów umyka liderom PiS, podobnie jak to było z majowymi wyborami i „Piątką dla zwierząt". Lecz w obu tych przypadkach ani uspokajające tony, ani groźne miny nie zmieniły faktu, że z zapałem ogłaszany zamiar nie przeżył konfrontacji z rzeczywistością. W przypadku werdyktu TK zapału nie było od początku. Tym dziwniejszy jest upór, by na sprawie coś jednak ugrać, zamiast tego, by pożar zgasić jak najszybciej. Jedyny rozsądny kompromis pomiędzy zwolennikami zmian w przeciwne strony to pozostawienie wszystkiego po staremu. To się dziś obu stronom sporu wydaje nie do zniesienia. Lecz historia dostarcza tu wielu przykładów: to, że ktoś nie wyobraża sobie swojej klęski, może być przyczyną klęski niewyobrażalnej. © JAROSŁAW FLIS

PROF. IRENA E. KOTOWSKA:

Wyrok na dzietność

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Czy aborcyjne orzeczenie Trybunału wpłynie na urodzenia?

ADAM TUCHLIŃSKI / REPORTER

IRENA KOTOWSKA: Przekreśli wieloletni dorobek badaczy, którzy szukali barier dzietności i wskazywali, jak je likwidować. I ich wysiłki na rzecz odpowiedniego klimatu dla dyskusji o prokreacji. Dotąd oczywistością był komunikat: szanujemy ludzkie wybory, ale też wspieramy te, które sprzyjają urodzeniom. A ten wyrok to sygnał: już nie wspieramy, tylko zmuszamy. Efektem będzie lęk przed decyzją o dziecku. A także możliwe ograniczenie badań prenatalnych.

Dlaczego?
Chodzi o zachowania ostrożnościowe, także w środowisku lekarskim: po co wykrywać ciężkie wady płodu, skoro i tak kobieta nie ma wyboru? A badania prenatalne pozwalają też wychwytywać wady, które da się leczyć w trakcie ciąży. Musimy zatem się liczyć z negatywnymi skutkami zdrowotnymi. Zwłaszcza że może wzrosnąć liczba aborcji nielegalnych w warunkach, które mogą być niebezpieczne.

Demografowie o możliwym spadku dzietności mówią również w kontekście epidemii.
Dlatego też jestem wściekła: wyrok TK to strzelanie do młodego pokolenia, które i tak ma wystarczająco wiele problemów mogących powstrzymywać ich prokreacyjne decyzje: niosąca ogromną niepewność epidemia, powodujące niepokój zmiany klimatyczne, ale też będące udziałem dużej liczby par kłopoty z płodnością. Teraz partia rządząca uchodząca za prorodzinną dokłada tej generacji kolejny problem. ©℗

PROF. IRENA E. KOTOWSKA *jest ekonomistką i demografką SGH, członkinią Komitetu Nauk Demograficznych PAN.*

KRAJ W SKRÓCIE

W KOSZU
Przedstawiciele PiS zapowiedzieli, że krytykowana przez rolników i poprawiona w Senacie ustawa o ochronie zwierząt nie będzie dalej procedowana: ma ją zastąpić nowy projekt poselski, ale na razie nie potrafią powiedzieć, w jakim kształcie. Wygląda na to, że mają inne problemy.

W DOLE
Ostatnie sondaże pokazują, że poparcie dla PiS spadło poniżej 30 proc., na KO chciałoby głosować ok. 25 proc., a na ruch Polska 2050 Szymona Hołowni – ok. 15 proc. ankietowanych. Dwie trzecie Polaków pytanych przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej" źle ocenia ostatnią działalność Jarosława Kaczyńskiego.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

W KWIATACH
Po podjętej w ostatniej chwili decyzji rządu o zamknięciu cmentarzy przed 1 listopada wielu Polaków w ramach akcji solidarnościowej z kwiaciarzami rzuciło się do kupowania chryzantem. Część z nich mogliśmy następnie oglądać przed biurami PiS i Kancelarią Premiera.

W CHMURACH
Nowy minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek zadekretował w wywiadzie radiowym „zakończenie pedagogiki wstydu, która towarzyszyła naszej edukacji" i zapowiedział wprowadzenie do kanonu lektur szkolnych dzieł Jana Pawła II.

Gospodarka w zimowym śnie

MAREK RABIJ

4,5 MLD ZŁ. TYLE ZDANIEM EKONOMISTÓW MÓGŁBY kosztować polską gospodarkę każdy dzień pełnego lockdownu. Czy oznacza to również kolejną falę recesji, podobną do tej, która w drugim kwartale br. uszczknęła polskiemu PKB 8,2 proc. wartości?

Niekoniecznie – i nie chodzi o zapewnienia rządu, że powrotu do pełnego zamknięcia nie będzie. Przyciśnięta jesienną falą zachorowań Europa zamyka się właśnie w domach bez oglądania się na ekonomiczne konsekwencje. *Lockdown* w Polsce również jest tylko kwestią czasu. Na szczęście dotknie już innej, przygotowanej na zamrożenie gospodarki.

W przeciwieństwie do rządu właściciele firm nie zmarnowali bowiem ostatnich miesięcy. Przemysł zgromadził zapasy surowców, aby uodpornić się na przerwanie łańcucha dostaw, które wiosną paraliżowały jego działalność. Wskaźniki rejestrowanego bezrobocia już latem ustabilizowały się na poziomie 6,1 proc. Urzędy nie dostają nowych zgłoszeń zwolnień grupowych, co świadczy o tym, że polskie firmy dostosowały już wielkość i strukturę zatrudnienia do działalności w nowych warunkach. Handel, a nawet usługi błyskawicznie opanowały sprzedaż *online*. Nastroje konsumenckie szorują wprawdzie po dnie – we wrześniu zanotowano ich spadek aż o 7,7 pkt. proc. – ale do końca roku będą ciągnąć je znów w górę nadchodzące święta.

Nie będzie zatem szybkiego odbicia po ostrej zapaści – jak szacowano wiosną – ale sen, w który zapadnie wkrótce gospodarka, również nie powinien być głęboki. ©℗

Pokolenie na tekturze

MŁODOŚĆ PROTESTUJĄCYCH przeciw orzeczeniu TK bywa argumentem na ich korzyść (to pokolenie, które odmieni oblicze kraju). Albo służy, by je zdezawuować – to dzieciarnia wychowana na „soszialach" i Netfliksie. A jednak ta dzieciarnia okazała wielką moc operowania słowem pisanym. Pisanym farbą na tekturze, jakże „analogowym" medium w stosunku do internetowych memów, które te setki dowcipnych komentarzy przypominają w swojej poetyce. Często wędrującej w strefę purnonsensu, imaginarium kultury masowej czy gier, ale i świata konsumpcji oraz stylów życia. Okazuje się, że tekst jest bronią także w ręku tych, którzy rzekomo już całkiem wpadli w szpony kultury obrazkowej. I zasługuje na uważną lekturę, nawet jeśli wymaga od starszych przebicia się przez warstwę wulgarności. Nowa poetyka – i poczucie absurdu – u bram. Warto docenić, jak giętkim narzędziem buntu okazał się wspólny, rzekomo spauperyzowany język.

©℗ PAWEŁ BRAVO

THOMAS COEX / AFP / EAST NEWS

NAJWYŻSZY STOPIEŃ ZAGROŻENIA terrorystycznego obowiązuje we Francji po tym, jak w miniony czwartek islamski fanatyk zaatakował modlących się w kościele w Nicei. 21-letni Tunezyjczyk zabił nożem dwie kobiety i kościelnego oraz ranił sześć osób; postrzelony, został aresztowany. Ustalono, że do Francji przybył dzień wcześniej z Włoch, dokąd dotarł przez Lampedusę; zatrzymano kilka osób, które miały pomóc mu w organizacji ataku. Dwa tygodnie wcześniej młody Czeczen zabił nauczyciela, który pokazywał na lekcji karykatury Mahometa. Po tym, jak podczas pogrzebu prezydent Macron bronił prawa do satyry, w kilku krajach islamskich odbyły się protesty. Atmosfera we Francji jest napięta. W dniu Wszystkich Świętych przed kościołami i cmentarzami stanęli żołnierze i policjanci z bronią maszynową. Na zdjęciu patrol żandarmerii przed bazyliką Sacré-Cœur w Paryżu, 1 listopada 2020 r. ©℗ WP

W Berlinie upamiętnią Polaków

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Wubiegły piątek Bundestag zdecydował – głosami wszystkich partii prócz nacjonalistycznej AfD – że w centrum Berlina powstanie miejsce poświęcone polskim ofiarom II wojny światowej. Dyskusja na ten temat trwała od kilku lat. Teraz, po decyzji Bundestagu, zaczyna się jej nowa odsłona: szukanie odpowiedzi na pytanie, jak takie miejsce powinno konkretnie wyglądać. Dla jednych ważniejsza jest forma symboliczna i reprezentacyjna, którą mógłby pełnić pomnik. Dla innych istotniejsze jest, by taka przestrzeń służyła edukacji i dialogowi między młodym pokoleniem Niemców i Polaków.

W trakcie debaty niemieccy posłowie mówili o polskim oporze wobec niemieckiej okupacji, o AK oraz powstaniu warszawskim, o systematycznym mordowaniu cywilów i inteligencji. O tych podstawowych dla nas rzeczach przeciętny Niemiec nie wie nic. Szef dyplomacji Heiko Maas jako przykład tej niewiedzy podał artykuł w niemieckiej prasie: informował o jego udziale w obchodach powstania w getcie warszawskim, podczas gdy Maas był w Warszawie 1 sierpnia, by oddać cześć uczestnikom i ofiarom powstania warszawskiego.

Nowe miejsce ma więc wypełnić białe plamy w niemieckiej kulturze pamięci. Przed nami kolejne lata konkretyzowania się szczegółów przedsięwzięcia. Wzorem, pewnie niedoścignionym, jest Pomnik Pomordowanych Żydów Europy w centrum Berlina, który łączy część pomnikową (frapujący plac ustawionych obok siebie betonowych bloków) i wystawienniczą, która informuje o Holokauście. Od chwili powstania w 2005 r. jest on obowiązkowym punktem na liście miejsc do odwiedzenia w stolicy Niemiec.

Decyzja, że w Berlinie powstanie miejsce opowiadające także o polskich ofiarach, to ważny moment dla stosunków polsko-niemieckich. ©

Tajfun Goni: mogło być gorzej

„JEŚLI WIERZYCIE W BOGA, módlcie się za Filipińczyków" – tymi słowami prowadzący jeden z internetowych kanałów o katastrofach naturalnych zakończył w niedzielę nad ranem relację o supertajfunie Goni, który uderzył w Filipiny.

Służby meteo ostrzegały przed wiatrem wiejącym ze stałą prędkością 315 km/h, a w porywach nawet do 380 km/h. Ale Filipińczykom nie trzeba tłumaczyć, jak groźne bywają takie zjawiska pogodowe. 7 listopada 2013 r. w to wyspiarskie państwo uderzył tajfun Haiyan o sile wiatru porównywalnej z huraganami piątego stopnia w skali Saffira-Simpsona, używanej do pomiaru siły burz na Atlantyku i Pacyfiku Północnym (na wschód od linii zmiany daty). Tamten supertajfun był jak dotąd najsilniejszą tropikalną burzą odnotowaną na lądzie w rejonie Pacyfiku: zabił 6,5 tys. osób, a straty materialne oszacowano na 27 mld dolarów. Teraz nocą 1 listopada, w chwili uderzenia w ląd w rejonie wyspy Catanduanes, supertajfun Goni dorównywał siłą wiatru żywiołowi z 2013 r., ale w jego centrum notowano ciśnienie niższe od odczytanego w oku cyklonu Haiyan. Satelitarny pomiar prędkości wiatru mógł być więc niedoszacowany. Słowem – świat i Filipiny oczekiwały najgorszego.

Goni na szczęście okazał się mniej groźny, niż sądzono. Na wyspie Catanduanes zniszczeniu uległo ok. 70 proc. domów, ale do tej pory potwierdzono jedynie śmierć czterech osób. Po zderzeniu z górzystym lądem tajfun osłabł, nadal niesie jednak ze sobą wielkie opady wywołujące powodzie.

FRANCIS R. MALASIG / EPA / PAP

Na zdjęciu: mieszkańcy jednej ze zniszczonych wiosek ewakuowani do szkoły w miasteczku Naga, Filipiny, 31 października 2020 r. ©℗ MAREK RABIJ

Paczka od Benedykta

O WALCE Z KORUPCJĄ W KOŚCIELE, relacji z Benedyktem XVI i swoich krytykach mówił Franciszek w rozmowie z włoską agencją informacyjną Adnkronos. Odnosząc się do zmagań z korupcją w Kościele, Franciszek wspomniał pudło z dokumentami dotyczącymi „najtrudniejszych spraw", które Benedykt wręczył mu na początku pontyfikatu ze słowami: „Tam dotarłem, interweniowałem, niektóre osoby odsunąłem, a reszta należy do ciebie". Mówił też o przyjaźni z emerytowanym papieżem: „W naszych rozmowach każdy może powiedzieć, co chce. Nawet raz się pokłóciliśmy z Benedyktem o to, który z nas ma leżeć po śmierci w którym grobie". Franciszek przyznał, że krytyka nie jest przyjemna, ale pomaga mu rozeznawać, „co jest dobre, a co złe". ©℗ ASK

Róża Czacka czyni cuda

DEKRET DOTYCZĄCY CUDU za wstawiennictwem matki Róży Elżbiety Czackiej zatwierdził 27 października papież. Proces beatyfikacyjny założycielki Lasek rozpoczął się w grudniu 1987 r. W 2017 r. wydano dekret o heroiczności cnót. Uznanie cudu jest ostatnim etapem poprzedzającym beatyfikację.

ARCHIWUM ZGROMADZENIA SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA

Róża Czacka urodziła się 22 października 1876 r. W domu otrzymała doskonałe wykształcenie. Mając 22 lata, po upadku z konia utraciła wzrok. Wtedy postanowiła poświęcić życie ludziom niewidomym. Po zapoznaniu się z najlepszymi ośrodkami dla niewidomych w Europie wróciła do Polski i założyła w 1911 r. Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, a w 1918 r. Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. W 1922 r. na darowanym jej terenie w Laskach rozpoczęła budowę zakładu dla niewidomych. Tak powstał pierwszy nowoczesny zakład w Polsce i Dzieło Lasek – tworzone przez współdziałających ze sobą na równych prawach niewidomych, świeckich współpracowników i sióstr.

Chciała, by niewidomi stali się apostołami wśród widzących, zwłaszcza ludzi oddalonych od Boga, „niewidomych na duszy". Przy współpracy ks. Władysława Korniłowicza stworzyła istniejący do dziś ważny ośrodek duchowości katolickiej. Zmarła 15 maja 1961 r. ©℗ KS. ADAM BONIECKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZESŁANIE
„Judaizm należy do rdzenia tożsamości chrześcijańskiej" – zaznaczył kard. Kurt Koch w przesłaniu skierowanym do Międzynarodowego Żydowskiego Komitetu ds. Konsultacji Międzyreligijnych z okazji 55. rocznicy deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich „Nostra aetate". Komentatorzy podkreślają, że słowa przewodniczącego Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan pogłębiają teologiczne rozumienie judaizmu.

PRAKTYKOWANIE
Pogłębia się w Polsce religijność wśród praktykujących systematycznie, a osłabia wśród praktykujących nieregularnie – wynika z badań przeprowadzonych przez CBOS w czerwcu i wrześniu. Wzrost czasu poświęcanego na modlitwę i inne praktyki religijne zadeklarowało 18 proc. osób praktykujących raz w tygodniu lub częściej, częstotliwość praktyk religijnych zmalała u 21 proc. uczestniczących w mszy rzadziej niż raz w tygodniu.

POŻEGNANIE
W wieku 97 lat zmarł w Krakowie prof. Andrzej Półtawski – uczestnik powstania warszawskiego, filozof, etyk, specjalista w zakresie fenomenologii i personalizmu. Był uczniem Romana Ingardena. Pracował w UJ i ATK. Wraz z żoną Wandą należał do kręgu najbliższych przyjaciół Karola Wojtyły.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ZUZANNA RADZIK
opowie o Strajku Kobiet, także katoliczek (czytaj temat wydania na s. 12), Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w czwartek 5 listopada o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Nie w biskupach nadzieja

PIOTR SIKORA

Wydarzenia związane z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego po raz kolejny pokazały, jak bardzo polski episkopat uwikłany jest w myślenie w kategoriach nie tyle ewangelicznych, co prawnych, i jak trudno mu jest zdystansować się od prawicowej władzy politycznej. Biskupi nie tylko natychmiast pospieszyli z podziękowaniami. Zapomnieli o ostrzeżeniach Jana Pawła II, że bywa, iż nawet jeśli dana sytuacji traktowana jako grzeszna, „może być zmieniona pod względem strukturalnym i instytucjonalnym siłą prawa lub – jak często się niestety zdarza – prawem siły, to w rzeczywistości taka zmiana okazuje się niepełna, krótkotrwała, a w ostateczności daremna i nieskuteczna – i nawet przynosząca odwrotny skutek – jeśli nie towarzyszy jej nawrócenie osób bezpośrednio czy pośrednio za tę sytuację odpowiedzialnych".

Co więcej – gdy ze strony Jarosława Kaczyńskiego i środowisk nacjonalistycznych padły propozycje „obrony kościołów", Rada Stała KEP nie była w stanie odrzucić tych jawnie politycznych propozycji, a nawet dziękowała „wiernym broniących kościołów". Jedynym biskupem jakoś dystansującym się w tych dniach od polityków był prymas Wojciech Polak, który w kontekście wystąpienia Kaczyńskiego stwierdził, że „Kościół nie potrzebuje parasola ochronnego ze strony państwa".

Dużo wyraźniej zabrzmiały głosy pewnej grupy świeckich katolików oraz zwykłych księży. Świeccy napisali w apelu do biskupów, by jednoznacznie odcięli się od słów prezesa PiS jako kogoś, kto nie ma prawa wypowiadać się w imieniu katolików.

List otwarty, utrzymany w podobnym duchu, napisało 27 księży (po kilku dniach lista sygnatariuszy przekroczyła setkę). Jednoznacznie zaapelowali w nim, by „skończyć z używaniem religii do celów politycznych i porzucić przekonanie, że rozstrzygnięcia prawne mogą przynieść trwałą zmianę wrażliwości sumień, czego my pragniemy, głosząc Ewangelię".

Sojusz ołtarza i tronu powinien być przerwany już dawno, ale biskupi sami tego nie zrobią. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

KANTOR TU JEST!
– takie hasło towarzyszy obchodom 40-lecia Cricoteki, krakowskiego ośrodka dokumentującego twórczość Tadeusza Kantora. Ze względu na obostrzenia spowodowane pandemią wydarzenia będą transmitowane w internecie 8 grudnia. W tym roku przypada także 105. rocznica urodzin artysty i 30. rocznica jego śmierci.

A GONCOURTÓW NIE MA
Najważniejsza francuska nagroda literacka, Prix Goncourt, nie zostanie przyznana – jak zapowiadano – 10 listopada. W związku z wprowadzanym we Francji drugim lockdownem jurorzy chcą poczekać na ponowne otwarcie księgarń. Dla księgarzy to rzeczywiście gratka – bywa, że wyróżnione tytuły sprzedają się nawet w 400 tys. egzemplarzy.

NAJPIĘKNIEJSZY Z PIĘKNYCH
Tymczasem Polskie Towarzystwo Wydawców Książek po raz 60. przyznało nagrody dla książek najpiękniejszych. W kategorii literatura piękna zwyciężył tom wierszy Marcina Świetlickiego „Ale o co ci chodzi?" według projektu graficznego Marcina Markowskiego i z rysunkami Marcina Maciejowskiego.

PODWÓJNE LAURY
Laureatem Nagrody im. Beaty Pawlak za 2019 rok został nasz autor Mirosław Wlekły – nagrodzono jego książkę „Raban! O kościele nie z tej ziemi". Laureatką za rok 2020 została z kolei fotografka i kulturoznawczyni Agnieszka Pajączkowska, autorka „Wędrownego Zakładu Fotograficznego", bohaterka jednego z odcinków naszego podkastu (sprawdź na powszech.net/pajaczkowska). Gratulujemy!

MATERIAŁY PRASOWE / FUNDACJA ANDRZEJA WRÓBLEWSKIEGO

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI W LUBLANIE. Ponad sto dzieł – wśród nich gwasze, monotypie oraz wielkoformatowe prace na papierze pakowym – obejrzą goście poświęconej twórczości polskiego artysty wystawy „Waiting room". Znaczną grupę stanowią obrazy nigdy wcześniej niewystawiane lub takie, które pokazano publicznie po raz ostatni w 1958 r. Kuratorzy poruszyli kilka tematów – jest tu rekonstrukcja ważnej dla artysty podróży do Jugosławii, zapis codzienności towarzyszącej narodzinom dziecka oraz kluczowy temat oczekiwania, zawierający motywy kolejek, poczekalni i ukrzesłowień. Wystawa w Moderna galerija potrwa do 10 stycznia 2021 r. ©℗ MOC

Robimy się chłodni

PONAD 150 LAT TEMU niemiecki lekarz Carl Wunderlich za normalną temperaturę ciała człowieka uznał 37 st. Celsjusza. Późniejsze pomiary przesunęły tę granicę do znanych 36,6 st. Jak donoszą w „Science Advances" Michael Gurven i współpracownicy, czeka nas kolejna korekta. Badania pokazują, że średnia temperatura ciała człowieka zdrowego z dekady na dekadę spada. Prawdopodobnie dlatego, że – wyłączając okres pandemii – jesteśmy mniej niż nasi przodkowie narażeni na infekcje.

W społeczności Chimane, zamieszkującej boliwijską część Amazonii, na początku XXI w. temperatura ciała osoby zdrowej wynosiła średnio 37 st. Pomiary z 2018 r. wskazywały już na 36,5 st., co wiązano z polepszeniem warunków sanitarnych. W USA podobny spadek (poniżej 36,4 st.) nastąpił w czasie ostatnich dwustu lat – prawdopodobnie ze względu na zmiany stylu życia i rozwój medycyny. Ten sam trend widać na całym świecie.

Temperatura ciała jest jednym z ważniejszych wskaźników tego, co dzieje się w naszym organizmie, ale nie należy zapominać o jej dobowych wahaniach (do 0,5 st.) i nawet większych różnicach indywidualnych (przeszło 1 st. powyżej i poniżej średniej wartości). ©℗ ŁK

Wilgotna gleba na Księżycu

MIAŁ BYĆ WYSCHNIĘTĄ na pieprz pustynią. Ale najnowsze badania pokazują, że nawet na pozbawionym atmosfery i spalonym promieniowaniem Księżycu wody jest sporo. Kiedyś może popłynąć z kranów i pryszniców zbudowanych tam baz.

Już od kilku lat naukowcy mieli poszlaki świadczące o tym, że woda na ziemskim satelicie występuje. Ślady lodu, może z komet, odkryto w kraterach, do których nigdy nie zagląda Słońce. Teraz cząsteczki wody odnaleziono na obszarach regularnie wystawionych na promieniowanie. „Bez atmosfery woda na oświetlonej przez Słońce powierzchni Księżyca powinna po prostu znikać w przestrzeni kosmicznej. Ale mimo to ją widzimy. Coś generuje wodę i coś więzi ją na powierzchni" – mówi Casey Honnibal, współautorka badania.

Odkrycia dokonano za pomocą największego latającego teleskopu świata. SOFIA jest zabudowana na pokładzie zmodyfikowanego boeinga 747 i pozwala astronomom prowadzić obserwacje ze stratosfery, ponad większością cząsteczek wody, które mogłyby zakłócić pomiar.

Nawet po tym odkryciu Księżyc nie wygląda jednak jak aquapark: zaobserwowane stężenie cząsteczek wody jest stukrotnie niższe niż na Saharze. To daje mniej więcej jedną buteleczkę 0,3 litra na m^3 gleby. Ale dla astronautów każda ilość będzie na wagę złota. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TO NIE DO ZNIESIENIA. POSŁUCHAJCIE JAK BARDZO

Chodzi o protest kobiety wcielonej. Ciało, nad którym państwo i Kościół chcą mieć kontrolę, mówi: dość.

ZUZANNA RADZIK

Na ulicach gniewny karnawał. Okrzyki, śpiew, muzyka, tłumy młodych ludzi, którzy na protesty przyszli pierwszy raz. Gdy broniono Trybunału Konstytucyjnego czy podczas Czarnego Protestu, te dziewczyny były w gimnazjum lub podstawówce. Teraz czują, że to dotyczy wprost ich samych.

To z wściekłej bezradności wzięło się hasło tego protestu – krytykowane za wulgarność, ale mówiące wszystko o jego temperaturze. Tłum z takim banerem już pierwszego wieczora poszedł spod Trybunału, przez Nowogrodzką, aż pod dom prezesa PiS, gdzie spotkał niewspółmierne do sytuacji siły i brutalność policji. Tego samego dnia, ale z drugiej strony sporu, Kaja Godek noszona była triumfalnie na rękach, entuzjastyczne „Yes, yes, yes!" wykrzyczał Tomasz Terlikowski, a Wanda Półtawska chwaliła, że tego chciał Jan Paweł II. Nade wszystko zaś uznanie dla wyroku wyraził przewodniczący Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki.

Kilka dni później zasłaniał się, że to przecież nie Kościół stanowi w Polsce

ADAM LACH / FORUM

Ósmy dzień protestu. Dworzec Warszawa Śródmieście, 29 października 2020 r.

prawo. Chyba zakładał, że nie pamiętamy, jak w marcu 2016 r. wraz z abp. Jędraszewskim i bp. Mizińskim (jako prezydium episkopatu) wydali apel do odczytania w kościołach, w którym prosili o podjęcie działań mających na celu pełną prawną ochronę życia nienarodzonych. Działo się to w tygodniu, gdy do Sejmu wpłynął obywatelski projekt ustawy, który nie tylko zamierzał znieść drugą przesłankę, ale również penalizować kobiety – co uczyniłoby polskie prawo jednym z najsurowszych w tej kwestii.

Dlatego dziś uznanie dla wyroku wyrażane przez przewodniczącego polskich biskupów jawi się jako odbiór dobrze wykonanego przez PiS zadania. Czy dlatego biskupi tak słabo bronili w ostatnich latach naszego trójpodziału władzy?

Dotknięte arogancją władz państwowych i Kościoła kobiety i inne wzburzone osoby ruszyły więc pod urzędy, na ulice. I pod kościoły.

WŚCIEKŁE HASŁO wróciło ze zwielokrotnioną siłą następnego dnia i w kolejne: w okrzykach, na plakatach, w mediach społecznościowych. W całej Polsce – bo być może najbardziej nowe jest to, że marsze i blokady odbywają się nie tylko w wielkich miastach. Te kilkusetosobowe demonstracje w miasteczkach na Podkarpaciu, wielotysięczne w miastach powiatowych, w których nie protestowano w żadnej sprawie od lat – to znak, że idzie nowe.

To nowe idzie też niespodziewanie szybko dla Kościoła. I pod kościół. Protesty przyszły do świątyń i pod kurie w stolicach arcybiskupich i w Chełmie czy Zielonej Górze. Głośnym echem odbiły się happeningi i demonstracje przerywające niedzielną liturgię, ale w skali kraju nie było ich wiele.

Istotne jest co innego. To, że protest pod kurią w Warszawie był tłumny jak nigdy dotąd. To, że w Poznaniu cały most pełen był ludzi maszerujących na katedrę nie po to, by przerwać liturgię, ale by wyrazić gniew – również wobec przewodniczącego episkopatu, który dopiero na ten widok zaczął bezradnie wzywać do dialogu. To, że biskupi pozwolili, by katedr i kościołów broniła policja, zamiast udźwignąć sytuację inaczej – na ich wezwania do nabożeństw przebłagalnych za profanacje murów coraz więcej głosów odpowiada, by się wstydzili, bo uprawianiem polityki sami te kościoły sprofanowali.

Gdy do formowania narodowej straży broniącej kościołów wezwał skrajny nacjonalista, powiało grozą. Do tej straży namawiał też szef Solidarności Piotr Duda, a w wykpiwanym orędziu Jarosław Kaczyński, bądź co bądź wicepremier ds. bezpieczeństwa, wzywał członków PiS do obrony kościołów za wszelką cenę. Wtedy demonstrantki i demonstranci wykonali zwinny zwrot: zostawcie ich, niech tam sobie siedzą, trzymajmy się jak najdalej od kościołów. Na zawsze.

„Narodowcy będą nas bili, słyszałaś?" – pyta przez telefon przyjaciółka, katoliczka. „Oj tam, przecież mieli bronić" – odpowiadam kpiąco, na co ona: „Bronić mają kościołów, naszych budynków, ↦

↦ podczas gdy my-Kościół stoimy pod nimi na demonstracjach".

Wbrew temu, co mówią z niektórych z ambon, pod kościoły nie przyszedł tłum barbarzyńców i pogan, ale pokolenie kształcone na lekcjach szkolnej religii oraz to młodsze, masowo z nich rezygnujące. Ochrzczeni pewnie prawie wszyscy. Wielu bardzo wierzących. Bezradność duszpasterzy, którzy straszą protestujących kandydatów do bierzmowania konsekwencjami, jest tak groteskowa, jak groteskowe było ich duszpasterstwo pieczątkowego przymusu.

„JESTEŚCIE ZA ŻYCIEM? Przyjmijcie uchodźców" – mówi poprzez swój baner dziewczyna na jednym z protestów. To tylko jeden z wielu argumentów kwestionujących szczerość obrońców życia, którzy jakoś w innych dziedzinach z życiem związanych nie wykazują się gorliwością.

Rozpuściłam wici, pytając katoliczki o ich opinie i odczucia. W kilka godzin dostałam kilkadziesiąt maili. Większość chce mówić pod nazwiskiem.

„Jeśli ktoś naprawdę chce chronić życie, a nie tylko swoje sumienie – pisze Agata Mianowska – to chyba powinien zacząć od rozmowy o edukacji seksualnej, antykoncepcji, od wsparcia kobiet w ciąży, służby zdrowia, rodziców i opiekunów niepełnosprawnych dzieci i dorosłych, a w końcu może zwyczajnej ewangelizacji".

„Bycie za życiem to też walka z ubóstwem i budowanie równości; to noszenie maseczek w trakcie pandemii; to walka ze zmianami klimatu – wymienia jednym tchem Agnieszka Zarzyńska. – To przyjmowanie uchodźców i tworzenie przyjaznej przestrzeni dla migrantek; to dbanie o zdrowie psychiczne; to nieoszczędzanie na służbie zdrowia i uczynienie jej powszechnie dostępną".

„Do tych protestów bardzo mocno włącza się młodzież, która była na strajkach klimatycznych – podkreśla Weronika Orkisz-Felcis. – Młodzież, która nie ma nic do stracenia, bo wcale nie żyje w dobie dobrobytu, ale w najgorszym kryzysie, bo przyszłością straszy się ich niezależnie od rządów. Perspektywy ma apokaliptyczne".

Tylko że te wszystkie aspekty bycia „za życiem" wymagają żmudnej pracy. Nieciekawej dla medialnych krzykaczy. Na którą cierpliwości ani pieniędzy nie starcza politykom. O której biskupi lubią głównie mówić. Łatwiej i spektakularniej zajmować się kontrolą życia w łonie kobiet.

W Kościele dominuje teologia macicy, czyli wywodzenie roli kobiety z jej potencjalnego (choć nikt nie pyta, czy chcianego) macierzyństwa. W państwie właściwie to samo.

TO JEST O NAS, o nas wszystkich – przekonują kobiety wokół mnie. Bo jeśli nawet ten protest wyrósł z powszechnego wzburzenia i niepokoju, to jednak zapalnikiem tego wybuchu była sprawa kobiet. Jakby z setek tysięcy Polek wydarł się gniewny krzyk o wszystko i z powodu wszystkiego.

To jest o nas, o całej sprawie, z długimi przypisami, które trudno tu wszystkie wymienić. I nawet te z nas, których krzyku nie słychać – bo wulgarne słowa, bo w sumie nie są za aborcją, bo boją się wciągnięcia w politykę – też krzyczą w duszy. Bo też wiedzą, o czym to jest.

Krzyczą zatem matki dzieci z niepełnosprawnościami, że nie wierzą w żadne „za życiem", bo z tym narodzonym zostały same w biedzie. Pisze do mnie Małgorzata: „Jestem mamą adopcyjną trojga dzieci, w tym niepełnosprawnej córki. To ja z mężem podjęłam wyzwanie ochrony życia, nie tylko w momencie jego poczęcia, ale przez okres kolek, rozdzierającego płaczu malucha, który nie wie, gdzie jest i kto go utuli, przez naukę chodzenia, dorastanie, przez zapewnienie edukacji, dachu nad głową, ubrania, jedzenia. Czy chroniące życie państwo pomogło mi? Nie. Otrzymuję 215,84 zł zasiłku pielęgnacyjnego. Nie należy mi się świadczenie pielęgnacyjne 1830 zł, ponieważ nie zdecydowałam się porzucić pracy".

Krzyczą kobiety z niepełnosprawnościami, że ich życie też powinno być godne. Jest głos o prawie do decydowania o kształcie swojej rodziny, planowania jej antykoncepcją dostępną i refundowaną, również awaryjną. Słychać w tym krzyku głos, byśmy mogły zadbać o swoje zdrowie reprodukcyjne w ramach publicznej ochrony zdrowia. By do ginekologa nie było tak daleko, że aż nie da rady dojechać.

W tym krzyku jest też samodzielne (ale przecież także samotne) macierzyństwo. Jest podział obowiązków w domu i w opiece nad dziećmi, którego nierówność tak dotkliwie było widać podczas wiosennego lockdownu. Ale jest też sytuacja ekonomiczna kobiet w dobie kryzysu, kruchość umów. Jest wściekłość nauczycielek, pielęgniarek, lekarek, pracownic DPS-ów i salowych. Ten krzyk i złość płynące z wielu kobiecych gardeł czerpie z doświadczeń ich posiadaczek, z tego, jakie widzą wokół siebie szanse, czego się boją i o czym marzą dla siebie i swoich córek.

„Kiedy równość stanie się oczywista?" – pyta koleżanka w reakcji na słowa marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, który w oświadczeniu na temat protestów rozwodzi się nad rolą kobiet ułatwiającą mężczyznom codzienne życie: „To kobiety sprawiają, że nasze codzienne życie toczy się harmonijnie i gładko w sposób trochę jakby niezauważalny". On naprawdę myśli, że to, co uważa za pochwałę, nie jest jedną z przyczyn gniewu, który czują kobiety?

Na tym właśnie dla tylu kobiet polega być może uwodząca moc tych protestów: wieje od nich wolnością, brakiem hamulców, bezkompromisowym buntem. To międzypokoleniowe, wspólne „wypierdalać" jest serio też o patriarchacie. Więc lepiej odróbcie szybko lekcje z tego, co to jest, jak działa i jak się tego pozbyć. Bo inaczej następny wkurw kobiet będzie wymierzony w was.

TO JEST PROTEST KOBIETY UCIELEŚNIONEJ. Wcielonej. Nad jej ciałem państwo i Kościół chcą mieć kontrolę. W Kościele dominuje wciąż teologia macicy, dla niepoznaki nazywana teologią ciała i broniona do upadłego jako dziedzictwo polskiego papieża. Teologa macicy, czyli wywodzenie roli kobiety z jej potencjalnego (choć nikt nie pyta, czy chcianego) macierzyństwa, przed którym trudno uciec. W państwie właściwie to samo, odkąd politycy tak bardzo chcą podporządkować dostępne Polkom usługi medyczne nauczaniu Kościoła. I stąd może te zabiegi, by decyzję o macierzyństwie utrudnić: tabuizowanie permanentnie niedostępnej edukacji seksualnej, marny dostęp do ginekologów, pełnopłatna antykoncepcja, ograniczanie usług związanych z kobie-

cym zdrowiem reprodukcyjnym, wycofywanie państwowego finansowania innych usług medycznych.

Decydowanie za kobietę o jej ciele odbywało się na długo, zanim Trybunał wydał wyrok w sprawie aborcji. Np. zakaz sterylizacji, choć są kobiety, które mają powody do pewności, że nie chcą mieć dzieci. Albo gdy tego chcą, ale potrzebują wsparcia, a rząd zmienia prawo tak, że mrożenie jajeczek możliwe jest tylko w nielicznych przypadkach. To symboliczne, ale też osobiste. Symboliczne, bo pokazuje, że zarządzanie kobiecym ciałem w kontekście płodności sięga aż tu i skutkuje brakiem władzy nad własnymi jajeczkami oraz planami na przyszłość. Osobiste, bo w czasie protestów towarzyszę na odległość przyjaciółce, która przechodzi tę procedurę w innym kraju, nie mogąc we własnym. I obie – choć ona z pewnością bardziej – jesteśmy o to wściekłe. Na salę operacyjną wjechała z wyrysowaną długopisem błyskawicą i wśród szeptów Czeszek, że Polska to nieludzki kraj.

To protest kobiety ucieleśnionej, która już trochę śmielej, dzięki akcji #MeToo, mówi, co spotyka ją i jej ciało. A gdyby zapomniała, to przypomni jej wyrok sądu mówiący, że gwałtu nie było, bo ofiara nie krzyczała. Ciągle wydaje nam się, że mamy już jakąś zmianę, a potem właśnie czyjś dotyk, gest, decyzja ściąga nas w dół. Serio, dziwicie się, że dziewczyny wychodzą na ulice i siarczyście klną?

Kobieta przychodzi z ciałem też do Kościoła i konfesjonału. Pisze do mnie Marta Bareja: „Mam dużo problemów zdrowotnych, które w wypadku ciąży mogłyby zagrażać mojemu życiu, a na pewno zdrowiu. Chodziłam od księdza do księdza, próbując otrzymać konkretną radę, co robić. Zamiast tego były okrutne zdania, wręcz zarządzanie cielesnością. »Tylko NPR!«, »To należy się powstrzymać od współżycia«. I najgorsze: »To zastanów się, czy powinnaś brać ślub. Chcesz go unieszczęśliwić?«. Nie było w tym mnie. Nie było mojego zdrowia. Nie było miejsca na mój strach. Był srogi patriarchat. W końcu trafiłam na osobę, która mnie wysłuchała. Bez oceniania. Ale we mnie pozostał lęk. To tabu, którym księża tak chętnie obłożyli moją cielesność, jest tym samym tabu, które rozlewa się na wszystkie wierzące. To mnie wkurza, porusza do trzewi i tak piecze, że nie umiem powstrzymać łez, gdy to piszę. Myślę, że to jest ta sama złość, którą czują kobiety. Ja się boję. Boję się zajść w ciążę. Boję się, bo nie wiem, jaki wybór podjęłabym w sytuacji takiej matki. Boję się najbardziej cierpienia dziecka. Boję się, że ktoś będzie decydował o mnie, o mojej rodzinie, moim ciele, moim dziecku. Boję się, że zmiany pójdą dalej. Boję się świata, w którym promuje się postawy tylko Gianny Beretty Molli”.

TO TEŻ CZAS OPOWIEŚCI O CIELE: o ciąży, poronieniach, porodach. O kontroli, decyzji i jej braku. O tym, o czym często nie mówiłyśmy z własnymi przyjaciółkami, ale teraz ogłaszamy to publicznie, by inne mogły się ośmielić, odnaleźć w tym doświadczeniu. Lub żeby je ostrzec.

W tym tygodniu kobiety wplatają te opowieści w rozmowy telefoniczne, piszą o nich w mailach. Nie tak, jak byście się spodziewali. Jedna mówi np., że nuciła modlitwy na fotelu ginekologicznym przed aborcją płodu z wadą rozwojową, tylko to ją uspokajało. I nie są to opowieści wyłącznie pod hasłem „aborcja jest ok” i „moje ciało, mój wybór”. Raczej: „to skomplikowane, posłuchajcie jak bardzo”.

Nie wiem, czy ci mówiłam – wtrącają mimochodem, ale chyba z rozmysłem – o moim poronieniu, o martwej ciąży, o aborcji. Jedna pyta, czy znam kobietę, która mówiłaby o sobie „byłam chodzącą trumną”, a w tej samej chwili druga pisze właśnie w ten sposób o swoim doświadczeniu ciąży z wadą letalną i o aborcji. Traumę czuje do dziś, co uświadomiły jej własne reakcje na ten protest. I dodaje: „Wiesz, gdzie mnie położyli z martwym dzieckiem w brzuchu? Na sali, gdzie leżały dziewczyny dzień przed porodem. Słuchałam bicia serc ich dzieci. Naprawdę się nie dziwię, że hasło przewodnie brzmi: wypierdalaj!”.

Żaden wyrok ani ustawa nie zlikwidują napięcia między zasadą świętości każdego życia ludzkiego, prawem kobiet do życia oraz poszanowaniem ich wolności i decyzji sumienia. Wola kobiety, żeby donosić ciążę do końca, jest niezbędna. Może to właśnie jest dla wielu tak frustrujące – że mimo restrykcji kobiety i tak mają w tej sprawie ostatnie słowo.

Państwo i Kościół łudzą się, że mogą zadecydować za kobiety. Jedna i druga instytucja mają zwyczaj rozwiązywania naszych spraw ponad naszymi głowami. O naszych potrzebach i odczuciach ani o tym, czy nie jest nam zbyt trudno z tym, co nas spotyka – nie mają zwyczaju ↦

Nie mam wspólnoty ani przestrzeni

ANIRA: Uwielbiam chodzić do mojego kościoła. Ale czemu proboszcz kazał nam się modlić za tłumy owładnięte przez szatana oraz za polityków, żeby mieli siłę bronić kościoła (czy Kościoła?), zamiast prosić, żebyśmy porozmawiały z dziećmi, wnukami, sąsiadami o tym, że Chrystus jest miłością? Żebyśmy się starały zrozumieć, co ci piękni młodzi, zdesperowani ludzie chcą nam zakomunikować?

JOANNA: Obserwując siłę i moc protestu kobiet, czuję zazdrość. Z postulatami nie mogę się w pełni zgodzić, ale te kobiety walczą o wpływ na dotyczące ich sprawy. Widzę zło mojego Kościoła, ale nie mam wspólnoty ani przestrzeni, żeby przedstawić swoje zdanie. Próbowałam, nie słuchają. I dlatego ja też miałabym ochotę je wykrzyczeć.

KAROLINA: Ostatnie dni są dla mnie czasem rachunku sumienia, stawianiem sobie pytań, na ile jestem gotowa wyjść poza swoją strefę komfortu, żeby pokazać, że każde życie jest wartością – i matki, i dziecka. Na razie mój bilans jest dla mnie bardzo, bardzo niezadowalający.

KATARZYNA: Bawią się nami. Coraz nachalniej. To mną wstrząsnęło. Poczułam wyrzuty sumienia, że wcześniej nie wyrażałam sprzeciwu. Chciałam wybrać zaangażowaną nakładkę na zdjęcie profilowe (jakby to mogło coś zmienić) i... nie wiedziałam którą. Byłam wściekła na władze, ale też czułam, że nie powinnam podpisywać się pod postulatami Strajku Kobiet. Kompromis mi odpowiadał.

URSZULA: Byłyśmy z przyjaciółką pod kurią, powiesiłyśmy wieszaki. To taka przyjaciółka, z którą się modlę i od której się uczę modlić. Siostra w Chrystusie i siostra we wkurwie. Czytamy razem Ewangelię i czytamy Suchanow.

Z odpowiedzi na ankietę
Zuzanny Radzik

↦ słuchać. Nie mówiąc o zastanawianiu się, jak nas realnie wesprzeć. Z niewiarygodną konsekwencją nie dostrzegają tych wszystkich sytuacji, w których kobiety i dziewczęta stają w obliczu braku dobrego wyjścia.

Bo tego, że aborcja to nie jest łatwy etycznie temat, wielu kobietom nie trzeba tłumaczyć. Czują to, zanim problem w ogóle będzie ich dotyczył.

ŻE KOŚCIÓŁ W POLSCE TONIE – mówiłyśmy i pisałyśmy od dawna, ale nie sądziłyśmy, że zdąży do końca roku. Kryzys przyszedł szybciej, niż się spodziewałyśmy. I gwałtowniej. To, co trzeszczało, ale wciąż się jakoś trzymało, nagle pękło. Ludzie ruszyli protestować pod kościoły, wściekli chyba o wszystko. Ktoś powie, że to koniec pozorów, że oto kulturowi katolicy uregulują swoją relację z Kościołem – więc dobrze. Jednak wściekli są ludzie głęboko wierzący.

„Też mam nadzieję, jak o. Adam Szustak, że ten polski Kościół runie – pisze Jadwiga Jędryas – ale czemu on zakłada, że dokona się to rękami »bezbożnych«? Przecież kondycja polskiego Kościoła frustruje katolików, a nie »bezbożnych«. Nie podoba mi się ten podział: »chrześcijanie« vs »wulgarnie protestujący«. Otóż o. Szustak się myli: ci wulgarnie protestujący to właśnie chrześcijanie! Pomazany sprayem kościół to często budynek, z którego wnętrza, z ambon, głoszono gorszące hasła, »złą nowinę«, czy więc nie zasłużyły sobie te kościoły na spray i wulgarne hasła? Czy obecność zastępów ONR-owców wystarczająco nie zbezcześciła ich od środka? Przecież w tamtą niedzielę we wnętrzach kościołów protestowali wierni, a nie niewierzący!”.

Katoliczki nie są mniej wkurzone niż ogół kobiet. Powstał nawet list otwarty, który skrzykuje protestujące z tej właśnie katolickiej perspektywy. Ale też wiele z nich waha się, czy wyjść na ulicę: jestem bezdomna, rozerwana, nie mogę sobie znaleźć miejsca, żadna grupa mnie nie chce, to jak siedzenie na żyletce, stanie na miedzy, brak przynależności. Poszłabym z koleżankami ze studiów, ale to nie wszystko są moje hasła.

Albo przeciwnie: były, protestowały, nie będą się wstydzić. Ale do świętości życia od jego początku są przekonane.

A jak nie były, to rozumieją te, które poszły.

„Znajomi tłumaczą mi, że moja przynależność do Kościoła to współudział, pytają, czy to rozumiem, i tłumaczą, jak dokonać apostazji” – opowiada przyjaciółka. Podobne wezwania słyszą inni. Jednych to drażni, inni przyjmują ten gniew ze zrozumieniem, czując że sami wpuścili politykę do świątyń, zawiedli. Jest jednak trudno. I ten wewnętrzny konflikt toczy się na marginesie ulicznego protestu.

„Od czasu ogłoszenia wyroku TK oraz protestów mam wrażenie, jakby zapadały się pode mną fundamenty, na których stoję. W chwilach, w których na protesty idzie tak wiele kobiet wiedzionych gniewem i zapałem siostrzeństwa, ja zastanawiam się, czy do nich dołączyć – tłumaczy Magdalena Macińska, która mogłaby zostać rzeczniczką wielu katoliczek. – Chcę protestować wraz z nimi, a jednocześnie nie jestem w stanie krzyczeć: »aborcja prawem człowieka«. Szarpią mnie różne lojalności, miejsca, w których chciałam budować i walczyć o lepszy świat. Czułam się częścią ruchów kobiecych, ale i mojego Kościoła. Protesty w sprawie aborcji są zawsze tym miejscem, kiedy moja z trudem sklecona tożsamość »katofeministki« staje się wielkim znakiem zapytania: czy te wspólnoty mnie chcą?”.

Anna Sikorska: „Dla mnie aborcja jest czymś w rodzaju gaśnicy, koniecznej w najpoważniejszych sytuacjach. Z tego powodu czuję, że zaczynają mnie nienawidzić obie strony sporu. Z jednej strony ludzki embrion to dla mnie coś więcej niż zlepek komórek. Z drugiej wiem, że heroizm tylko wtedy godzien jest aureoli, gdy jest dobrowolnie przyjęty. I co ja mam z tym wszystkim zrobić?”. Anna dodaje, że ona, osoba i matka z niepełnosprawnością i matka dziecka z niepełnosprawnością,

Buziak od mamy i muszę go zabrać, bo odetniemy pępowinę i zacznie umierać

JESTEM PIELĘGNIARKĄ, pracuję na neonatologii. Opiekuję się dziećmi zaraz po porodzie. Zajmowałam się noworodkami z zespołem Pataua, ze stwierdzoną w ciąży chorobą nowotworową mózgu, która pozostawiała ten mózg nieistniejącym. To są moi pacjenci i „moje” matki. Wyć mi się chce. Proliferzy chcą, żeby nikt nie decydował o życiu i śmierci nikogo, i uważam to za totalną obłudę, bo kończy się to tak, że między innymi ja o tym decyduję.

UMIERAJĄCE, CIERPIĄCE DZIECKO, które odchodzi, mam później pod opieką. Reanimować? Podpisany papier o zaprzestaniu czynności ratujących życie? Niepodpisany, bo komisja etyczna zbiera się tylko we wtorki, a dziś środa. Wezwany lekarz nie reaguje zbyt szczególnie, widzę, że gra na zwłokę. Wiem, że koleżanka z dyżuru wcześniej reanimowała, bo nie umiała patrzeć i nic nie zrobić. Rodziców przy dziecku brak, akurat w tym momencie lub na stałe. Marzy mi się odłączenie tych wszystkich pikaw, monitorów i pomp, położenie dziecka na piersi matki lub własnej (modląc się, by nikt inny z moich pacjentów mnie nie potrzebował, a oczywiste jest, że będzie) i utulenie tego umierającego człowieka do śmierci. Ale nie mogę tego zrobić. Bo komisja dopiero we wtorek.

PAMIĘTAM DYŻURY, gdy całą noc słuchałam, jak dziecko wrzeszczy z bólu. Najgorsze dyżury w życiu, jeszcze nie przebaczyłam medycynie, że nie umie na to poradzić. Pamiętam, jak przyszłam do porodu dziecka, które „raczej umrze”, wpadłam tam z tłumem ludzi, ze wszystkimi błyszczącymi, malutkimi narzędziami, wielkim pikającym inkubatorem, na drugi okres porodu. Matka patrzyła, jak się roimy i wszystko szykujemy, rodziła i płakała, płakała i rodziła. A potem ja podaję jej dziecko, na pępowinie jeszcze, i mówię: buziak od mamy i już muszę go zabrać, bo odetniemy pępowinę i on zacznie umierać.

JESTEM WKURWIONA, że stawiamy te moje przyszłe pacjentki pod ścianą, że teraz nie będą się miały nawet prawa zastanowić, że będą musiały rodzić. Lekarze będą musieli im kazać rodzić. Nie zgadzam się na to. Jestem katoliczką i jako taka proszę: niech to się wszystko już skończy.

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

nigdy nie nasłuchała się tylu strasznych rzeczy, co w ostatnich dniach. „I ciągle tylko słyszę: »nie bierz tego do siebie!«. Jak mogę nie brać tego do siebie? Jestem taka, jak te dzieciaki”.

„Grzechy Kościoła są i będą, ale ja nie zamierzam dłużej udawać i podtrzymywać upadającego – pisze Małgorzata. – Czas, by się przewrócił, bo to podtrzymywanie ciągnie mnie na dno, a jego wcale nie podnosi. Co miesiąc spowiadam się przed obcym facetem, słucham jego pouczeń, staję też przed moją rodziną i ich przepraszam, wynagradzam, poprawiam się. A wy, biskupi? Pokażcie mi, jak wygląda pokuta, spowiedź, postanowienie poprawy i wynagrodzenie krzywd. Bo na razie to nie doszliście do punktu pierwszego: rachunku sumienia”.

„Kościołowi to chyba nawet na dobre wyjdzie, jak tak nagi pobiega trochę i zobaczy, że nikt nie chce słuchać jego rad i mądrości – pisze Katarzyna Kajzar, blogerka i autorka podkastów „Oczy wiary”. – To bardzo przyśpiesza procesy mądrzenia, pokornienia, chrystusowienia. Wierzę, że czasy trudne i przełomowe niosą w sobie zawsze wielu świętych. Rozglądam się”.

I, jak wiele innych osób w tych dniach, dodaje: „Na episkopat nie liczę”.

Marta Bareja: „W tym wszystkim mam jednak trochę nadziei. Czekałam na tę rewolucję. Na rewolucję Kościoła. Na ferment, który pozwoli nam, świeckim, nam, kobietom, odzyskać w nim sprawczość. Modlę się, żeby to było teraz”.

© ZUZANNA RADZIK

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Czwarty dzień protestów. Kraków, 25 października 2020 r.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics
Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Cecha Sodomy

Kultura niesie zakodowane w języku przekazy dotyczące interpretacji wydarzeń biblijnych. Stąd usłyszawszy wyrwane z kontekstu zdanie „Pinchas był faryzeuszem", wielu pomyśli: „był obłudnym hipokrytą", a niewielu: „należał akurat do tego stronnictwa religijno-politycznego w starożytnej Judei". Na podobnej zasadzie, nie zdejmując z półki Biblii, by przeczytać omawiany fragment, „wiedziano" poprzez wieki, za co Bóg obrócił w perzynę Sodomę i Gomorę: w Sodomie mieszkali Sodomici, a „sodomita" oznaczał niegdyś geja. Czyż nie tym szlakiem biegła lotna myśl twórców billboardowej kampanii wymierzonej przeciw osobom LGBT?

W tradycji żydowskiej funkcjonuje też pojęcie „cecha Sodomy" (charakterystyczna dla jej mieszkańców) – aż trudno nie użyć tu po prostu słowa „sodomia". Cecha Sodomy to nazwa postawy, która gloryfikuje *ad absurdum* samowystarczalność. Dewizą życiową reprezentanta takiej postawy jest: „Moje – moje, twoje – twoje". Prorok Ezechiel określa wprost winę Sodomy i okolicznych miast: ludzie mieli dóbr w bród, do tego jeszcze spokój, byli jednak dumni i nie wspierali ubogich. Nie chcieli obcych, którzy korzystaliby z ich zasobów, nie chcieli współzależności. Ale jak ma nastąpić jakikolwiek rozwój, jeśli nikt nie będzie się z nikim niczym wymieniał?

Przyjrzyjmy się bliżej samej opowieści. Lot po rozbracie wziętym ze stryjem przybył do miasta jako nieznajomy – czyż ktoś go napadł albo zgwałcił? Moglibyśmy spekulować, gdyby zniknął nam w pomroce dziejów, ale Pismo akurat nie przemilcza jego dalszych losów. Dlaczego Lot oferuje „homoseksualnym gwałcicielom" swoje córki? Kpi sobie z nich czy jednak próbuje korzystnie do siebie usposobić? Oczywiście logicznie pomyślimy dopiero po zamknięciu noża, który już dawno nam się otworzył w kieszeni, kiedy weźmiemy pod uwagę nałożenie się dwóch elementów. Pierwszy to bliskowschodnia gościnność, która nakazuje gospodarzowi chronić wszystkich, którzy trafili pod jego dach – czyli także osoby nieznajome. Drugi to biblijne prawo ojca do dysponowania seksualnością córki, tzn. bezpośrednio jemu przynależy opłata, którą wniesie przyszły zięć za swoją żonę. Na uproszczonej skali od przedmiotu do człowieka, która obrazowałaby pozycję kobiety w twardej literze prawa, byliśmy wówczas zdecydowanie bliżej początku. Ostatnie pytanie do tekstu: co w gościach Lota tak rozsierdziło mieszczan? Zasugerujmy, że może nie przypadła im do gustu bezpłciowość aniołów, i stąd już tylko krok do teorii współczesnego komentatora Roberta Hanchetta, który winę Sodomitów upatruje przede wszystkim w ich homofobii. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Dzisiaj

„Wtedy obudziły się wszystkie panny i przygotowały lampy. Głupie powiedziały do rozsądnych: »Podzielcie się z nami oliwą, bo nasze lampy gasną«. Ale rozsądne odpowiedziały: »O nie, gdyż mogłoby nie starczyć i nam, i wam. Idźcie do sprzedawców i kupcie sobie«. Gdy one odeszły, przybył pan młody. Te, które były przygotowane, weszły z nim na wesele i drzwi zamknięto. Później przyszły pozostałe panny i wołały: »Panie, panie, otwórz nam!«. Lecz on im odpowiedział: »Zapewniam was, że was nie znam«. Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny". Ta rada Jezusa odnosi się oczywiście do procesu rozszerzania się królestwa niebieskiego tu na ziemi. A konkretnie: do sposobu przygotowania się na powtórne Jego przyjście. W opowiadaniu o pannach mądrych (roztropnych) i głupich (nieroztropnych) mamy do czynienia z dwiema grupami oczekujących na przyjście Jezusa. Jedni czynią przygotowania na to spotkanie, drudzy nie robią nic albo niewiele. Jedni czuwają, tzn. nie poddają się znużeniu spowodowanemu odwlekaniem się paruzji, drudzy, choć jakoś ta sprawa ich interesuje, nie bardzo się nią przejmują. A jak jest dzisiaj?

Tak zwany koniec świata najczęściej widzimy jako unicestwienie wszystkiego, co znamy jako nasz świat. Kiedy tymczasem już na początku każdej mszy prosimy: „Chryste, który przyjdziesz sądzić żywych i umarłych, zmiłuj się nad nami". Po konsekracji mówimy: „Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale". „Chrystus umarł, Chrystus zmartwychwstał, Chrystus powróci". Mało tego, ogłaszamy wszem i wobec, że: „Ile razy ten chleb spożywamy i pijemy z tego kielicha, głosimy śmierć Twoją, Panie, oczekując Twego przyjścia w chwale". Tym samym stwierdzamy, że nie boimy się tego totalnego kataklizmu, a przeciwnie, oczekujemy nań.

W modlitwie eucharystycznej z udziałem dzieci dopowiadamy, czego ta nadzieja dotyczy: „Boże, kiedyś Chrystus przyjdzie w chwale, w Jego Królestwie nie będzie już cierpiących, płaczących i smutnych". No i modlimy się: „Niech Twój Kościół (Panie) będzie żywym świadectwem prawdy i wolności, sprawiedliwości i pokoju, aby wszyscy ludzie otworzyli się na nadzieję nowego świata". Jeśli nawet ten nasz świat przestanie istnieć, to wcale nie musi oznaczać, że ulegnie anihilacji. Codziennie prosimy Boga „przyjdź Królestwo Twoje" i abyśmy „pełni nadziei oczekiwali przyjścia naszego zbawiciela, Jezusa Chrystusa" – i tym samym przyspieszamy ów rzekomy koniec świata. Ostatnie słowo będzie należało do Boga. Stąd: „Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja". W naszym świecie dzisiaj tworzy się i uwiecznia nowy wszechświat. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Jeśli się nie nawrócicie...

Przyszli jacyś ludzie i donieśli Jezusowi o Galilejczykach, których krew Piłat zmieszał z krwią ich ofiar. Jezus im odpowiedział: „Czy myślicie, że ci Galilejczycy byli większymi grzesznikami niż inni mieszkańcy Galilei, iż to ucierpieli? Bynajmniej, powiadam wam; lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie. Albo myślicie, że owych osiemnastu, na których zwaliła się wieża w Siloam i zabiła ich, było większymi winowajcami niż inni mieszkańcy Jeruzalem? Bynajmniej, powiadam wam, lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie" (Łk 13, 1-5).

Zawsze przy lekturze tego tekstu uderzało mnie najpierw to, czego Jezus nie mówi: nie mówi niczego o Piłacie. Nic o owym niesłychanym akcie okrucieństwa skrzyżowanego z bluźnierstwem, drwiną z religii i świętokradztwem. Jak można pozabijać ludzi, którzy w świątyni składają Bogu ofiary? Chcielibyśmy krzyczeć i protestować. Jezus o tym milczy.

Mówi natomiast o czymś, co jest równie zabójcze jak Piłat: „wszyscy tak samo zginiecie". O czymś, co jest równie zabójcze jak niespodziewana katastrofa budowlana, która pod gruzami grzebie niczego się nie spodziewających, zaskoczonych ludzi: „wszyscy tak samo zginiecie".

Co jest w naszym życiu aż tak zabójcze?

Odpowiedź brzmi: brak nawrócenia. A ściślej: nienawrócone myślenie – użyte tu przez Jezusa słowo brzmi (w greckim zapisie ewangelisty): *metanoéo*, to znaczy: myśleć inaczej, zmienić myślenie. „Jeżeli nie zmienicie myślenia, wszyscy tak samo zginiecie". Wasz sposób myślenia jest dla was zabójczy – równie groźny jak Piłat, zewnętrzny agresor, który cynicznie drwi ze wszystkiego, co dla was święte, i równie niebezpieczny jak nieszczęścia losowe, na które nie macie niemal żadnego wpływu.

O jakie myślenie chodzi?

O takie, że inni „są większymi grzesznikami".

Ja? Pewnie też jestem grzesznikiem. Ale inni są gorsi! No zgoda, mógłbym nie zrobić tego czy tamtego; ale i tak: cóż to jest wobec tego, jak postępują inni!

Właśnie w taki sposób reagujemy na padające pod naszym adresem oskarżenia.

Właśnie w taki sposób bronimy się osobiście; w taki też sposób bronimy swoich wspólnot i instytucji – z Kościołem włącznie.

Jezus mówi: ten sposób obrony jest samobójstwem. ©

Pewien brat spytał abbę Pojmena: „Co mam robić, staję się małoduszny?". Starzec rzekł: „Nie gardź nikim, nikogo nie potępiaj, nikogo nie obmawiaj. A Bóg udzieli ci pokoju".

APOFTEGMATY OJCÓW PUSTYNI

Zabiegaj o zgodę.

SENTENCJE DELFICKIE

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 XI)

32. niedziela zwykła: Mdr 6, 12-16; Ps 63; 1 Tes 4, 13-18; Mt 25, 1-13;
Poniedziałek – święto rocznicy poświęcenia Bazyliki Laterańskiej: Ez 47, 1-2. 8-9. 12; Ps 46; 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; J 2, 13-22;
Wtorek: Tt 2, 1-8. 11-14; Ps 37; Łk 17, 7-10;
Środa: Tt 3, 1-7; Ps 23; Łk 17, 11-19;
Czwartek: Flm 7-20; Ps 146; Łk 17, 20-25;
Piątek: 2 J 4-9; Ps 119; Łk 17, 26-37;
Sobota: 3 J 5-8; Ps 112; Łk 18, 1-8;
33. niedziela zwykła: Prz 31, 10-13. 19-20. 30-31; Ps 128; 1 Tes 5, 1-6; Mt 25, 14-30.

KRAJ

POLSKA WYCHODZI ZZA KULIS

Fala protestów po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego to skutek konsekwentnego betonowania sceny politycznej i odmowy dialogu społecznego ze strony władzy.

PAWEŁ MARCZEWSKI

Kiedy w 2015 r. Prawo i Sprawiedliwość odzyskało władzę, usiłowało zatrzymać społeczeństwo w stopklatce. Odrzucając „pedagogikę wstydu", zdawało się mówić Polakom, że nie muszą już gonić za zagranicznymi wzorcami cywilizacji i obywatelstwa. Niech pozostaną tacy, jacy są, pozbędą się kompleksów i zaczną korzystać z owoców transformacji po dekadach wyrzeczeń.

Rząd obiecywał, że te owoce pomoże rozdzielić bardziej sprawiedliwie. Do tego zarówno szkoła, jak i media publiczne zostały zmuszone do swego rodzaju podróży w przeszłość. Zlikwidowano bez przekonującego uzasadnienia merytorycznego gimnazja. Programy informacyjne telewizji publicznej zamieniono w tuby propagandowe rządu, jakby nie zauważając faktu, że media państwowe już od dawna nie mają monopolu na informację. Przypominało to wszystko rodzimą, uwspółcześnioną wersję „Good Bye, Lenin!", niemieckiego przeboju kinowego, w którym syn stara się odtworzyć dla matki przebudzonej ze śpiączki po upadku muru berlińskiego pozory życia w NRD.

Wszystkie te działania, które wedle rządzących miały nas wyrwać ze szponów imitacyjnej modernizacji, złożyły się paradoksalnie na imitację przeszłości w skali kraju. Procesy społeczne nie przestały jednak biec swoim torem tylko dlatego, że rządzący postanowili zorganizować zabawę w wielką rekonstrukcję historyczną. Zresztą w samym obozie rządzącym widać było napięcia między dążeniami do petryfikacji przeszłości a potrzebą modernizacji i twórczego odpowiadania na wyzwania nowoczesności. Z punktu widzenia tego fundamentalnego sporu personalia bohaterów są drugorzędne, minister Ziobro czy premier Morawiecki są tylko wyrazicielami podziału o wiele głębszego niż walka o wpływy w obozie władzy czy porządkujący od 15 lat polską scenę polityczną i przechodzący różne fazy konflikt pomiędzy PO i PiS.

Dopóki jednak dominującą narracją obozu władzy, skierowaną do twardych zwolenników i nieco mniej przekonanych sympatyków, było hasło „pozwalamy wam być takimi, jacy jesteście", ten fundamentalny spór można było ukrywać, a PiS mógł chodzić jednocześnie w aurze konserwatywnych modernizatorów i reakcyjnych obrońców przeszłości. Orzeczenie upolitycznionego Trybunału Konstytucyjnego z wadliwie powołanymi sędziami, które zakazuje przerywania ciąży w przypadku, gdy istnieje duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu lub jego śmierci poza organizmem matki, sprawiło jednak, że kontynuowanie tej maskarady stało się niemożliwe. Zakaz wprowadzony z przyczyn czysto ideologicznych, bez oparcia nie tylko na wiedzy medycznej, ale też z pominięciem wiedzy o jego realnych społecznych konsekwencjach, zarówno dla tysięcy kobiet, jak i dla spójności społecznej, ostatecznie obnażył fasadowość obozu rządzącego jako łaskawych, konserwatywnych modernizatorów.

W masowych protestach sprowokowanych orzeczeniem TK chodzi oczywiście przede wszystkim o zdrowie i prawa reprodukcyjne kobiet, ale skala demonstracji i postulaty protestujących daleko wykraczają poza kwestię aborcji. Dosadne „Wypierdalać!" zawiera w sobie żądanie głębokiej zmiany całego polskiego życia publicznego.

Strategia podpalacza

PiS wcale nie był gotowy do zakończenia gry pozorów, którą z powodzeniem uprawiał od 2015 r. Samodzielne rządy Zjed-

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Strajk Kobiet w Katowicach – siódmy dzień masowych protestów, 28 października 2020 r.

noczonej Prawicy nie byłyby możliwe bez przyciągnięcia dużego grona wyborców, którzy nie utożsamiali się z kulturowym tradycjonalizmem, ale doceniali programy socjalne rządu i ich pozytywne efekty (np. redukcję biedy wśród dzieci za sprawą 500 plus czy ułatwienie sporej części beneficjentów tego programu zmiany pracy na lepszą) i wierzyli, że twardsze negocjowanie interesów narodowych na arenie międzynarodowej może być dla Polski tylko korzystne. Po zakończeniu długiego cyklu wyborczego i reelekcji Andrzeja Dudy w obozie rządzącym zaczęła się jednak walka o wpływy pomiędzy skrzydłami: ultrakonserwatywnym i nastawionym bardziej modernizacyjnie. Pojawiła się też rosnąca w siłę konkurencja na prawym skraju sceny politycznej. Próba przeforsowania „Piątki dla zwierząt" zaostrzyła te konflikty i podziały, sprowokowała też ostre protesty społeczne. A równocześnie trwał lawinowy wzrost zachorowań na COVID-19.

Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli, prezes Kaczyński postanowił zatem odzyskać inicjatywę i uciec się do sprawdzonej metody, rozniecając kolejny konflikt społeczny i dając przyzwolenie na orzeczenie TK. PiS ma już wprawę w prowokowaniu gniewu społecznego, by go następnie przeczekiwać, umacniając swoją władzę i demotywując protestujące grupy. Działał tak podczas strajku pielęgniarek, gdy poprzedni raz był u władzy, i tak samo postępował w poprzedniej kadencji podczas protestów lekarzy rezydentów czy opiekunów osób niepełnosprawnych.

Tym razem jest inaczej – zaostrzenie przepisów antyaborcyjnych popiera zdecydowana mniejszość społeczeństwa, przeciwnych jest również 58 proc. wyborców PiS. Bezpośrednią przyczyną protestów nie jest też sytuacja konkretnej grupy społecznej (nawet protesty w obronie praworządności można było przedstawiać jako obronę interesów „kasty sędziowskiej" wobec niskiego zaufania do sądów przed 2015 r.), lecz konkretne, życiowe dylematy wielu rodzin, bez względu na ich przynależność klasową, sympatie polityczne czy miejsce zamieszkania.

Protestem w monolit

Protesty być może ograniczyłyby się do żądania cofnięcia skutków orzeczenia albo liberalizacji dostępu do legalnej ↦

↦ aborcji, gdyby taktyka Kaczyńskiego została zastosowana w innym kontekście politycznym. Tymczasem od pięciu lat opozycja parlamentarna nie ma właściwie żadnych możliwości wpływania na stanowienie prawa, poza – od roku – ograniczonymi możliwościami wstrzymywania ustaw przez Senat. Żadne z rozwiązań znanych z innych państw, które poprawiają dialog między rządem a opozycją, jak np. specjalne dni dla opozycji podczas posiedzeń parlamentarnych, w Polsce nie istnieją. W sytuacji niemal całkowitej blokady inicjatyw opozycyjnych i bardzo ograniczonych możliwości sprawowania przez nią funkcji kontrolnych powracające protesty uliczne są właściwie nieuchronne, gdyż duża część społeczeństwa nie może liczyć na to, że jej interesy będą realnie reprezentowane w parlamencie.

Orzeczenie TK zostało również wydane w momencie, kiedy polskie protesty wchodziły w etap radykalizacji. W przypadku ruchów protestu często mówi się o cyklach, falującej dynamice od wygaszenia do wzmożenia. Wpływ mają na nią zarówno okoliczności polityczne, jak i osobiste czy personalne, zmiany demograficzne, a niekiedy też dostępność symboli lub narzędzi protestu. Ten splot czynników jest na tyle złożony, że naukom społecznym bardzo trudno przewidzieć dokładny moment wezbrania fali, choć później, kiedy się patrzy wstecz, często wydaje się to nieuniknione. Pewna prawidłowość potwierdza się jednak w różnych kontekstach politycznych – po fiasku pokojowych protestów ich kolejna fala jest dużo ostrzejsza, zwłaszcza gdy protestujący czują, że nie mają już wiele do stracenia.

W 2014 r. mieszkańcy Hongkongu protestujący przeciwko coraz dalej idącemu zmniejszaniu autonomii przez rząd w Pekinie demonstrowali, rozkładając parasolki i starając się jak najmniej uprzykrzać życie współobywatelom. Podobnie polski Czarny Protest z 2016 r. przeciwko dalszemu procedowaniu drakońskiego prawa antyaborcyjnego, choć masowy, był pokojowy, a jego symbolem był czarny parasol.

W 2019 r., kiedy Pekin zaczął ostateczny demontaż autonomii Hongkongu, demonstrujący rozpoczęli okupację ważnych miejsc publicznych i doszło do regularnych walk z policją. Po orzeczeniu TK hasło „nie składamy parasolek" zamieniło się w „wypierdalać", a zamiast spokojnych marszy zaczęły się blokady i malowanie napisów na kościelnych murach. Choć sporo osób oburzało się na te działania, należy podkreślić, że polskie protesty są generalnie o wiele spokojniejsze niż podobne zrywy w wielu innych krajach, by przywołać tylko manifestacje francuskich Żółtych Kamizelek czy zamieszki w Hamburgu podczas szczytu G20.

Fala protestów po orzeczeniu TK okazuje się być zatem skutkiem konsekwentnego betonowania sceny politycznej i odmowy jakiegokolwiek dialogu społecznego ze strony władzy, czy to z opozycją parlamentarną, czy reprezentantami społeczeństwa. Skoro ani kanałami parlamentarnymi, ani pokojowymi demonstracjami nie da się władzy skłonić do rozmów, pozostaje radykalizacja, która jest właściwie nieuchronną konsekwencją formowania władzy na podobieństwo monolitu.

Poruszona stopklatka

Ostatnie pięć lat rządów PiS to próba utrzymania pozorów, że dzięki polityce obozu rządzącego polskie społeczeństwo zawróciło z błędnej ścieżki rozwoju na modłę zachodnią i powróciło do tradycyjnych wartości. Utrzymanie tej fasady było możliwe dzięki konsolidacji władzy i zbudowaniu kompletnie archaicznej sceny politycznej, ale te wysiłki nie zatrzymały przemian społecznych, które rozgrywały się za jej kulisami.

Gdyby obóz władzy zadowolił się takim podziałem na fasadową politykę i zakulisowe zmiany społeczne, mógłby zapewne rządzić bez większych przeszkód jeszcze długo. Część badaczek i badaczy polskiego społeczeństwa od dłuższego czasu powtarzała już, że politycy stworzyli sobie odrębną rzeczywistość, odległą od codziennego doświadczenia wielu obywatelek i obywateli. Toczą w niej spory między Polską solidarną a liberalną, PiS a PO, i jeśli przesadnie nie wtrącają się w życie codzienne, mogą liczyć na rytualne poparcie swoich elektoratów.

Przyzwalając na orzeczenie TK partia rządząca poruszyła jednak sama stopklatkę, którą tak pieczołowicie starała się utrzymać w bezruchu. Złamano zasadę „pozwalamy wam być takimi, jacy jesteście" w zamian za poparcie w wyborach. Na monolicie obozu rządzącego pojawiły się rysy, przez które dostrzec można zachodzące za fasadą zmiany społeczne.

Przedstawicielom obozu władzy było na tyle wygodnie z podziałem na fasadę i kulisy, że teraz mogą co najwyżej snuć na Twitterze opowieści o protestującej młodzieży „zostawionej sam na sam z internetem" (Joachim Brudziński) albo „wychowanej przez media III RP" (Patryk Jaki), której „obce są wartości, o których naucza Kościół". Tymczasem badania Pew Research Center dobitnie pokazują, że Polska jest jednym z krajów o największych różnicach międzypokoleniowych, jeśli chodzi o znaczenie religii w życiu.

Tylko 16 proc. Polek i Polaków poniżej 40. roku życia deklaruje, że religia jest w ich życiu bardzo ważna, wśród osób po czterdziestce ten odsetek wyniósł 40 proc. W 2015 r. 87 proc. respondentów w Polsce określało się jako katolicy, co oznaczało nie tylko spadek o 9 punk-

POŻEGNANIE

9 października 2020 roku odszedł

Ś.†P.

Mieczysław Krzyżowski

Absolwent KUL, teolog pewny powszechności zbawienia,
filozof i góral, wrażliwy nauczyciel.

Człowiek mądry i mocnej wiary.
Przyjaciel w kłopotach i sprawach trudnych.
Z wielu powodów będzie nam Go bardzo brakować.

Basia, Zuza, Daniel, Agnieszka i Przyjaciele

tów w stosunku do roku 1991, ale wziąwszy pod uwagę wspomniane dane o znaczeniu przypisywanym religii, jest to dla wielu osób raczej określenie przynależności grupowej czy etykieta kulturowa, a nie definicja tożsamości. Na pytanie o to, czy Polska jest dziś krajem religijnym, twierdząco odpowiedziało 56 proc. respondentów. Za kraj, który był religijny w latach 70. i 80., uważało Polskę 86 proc. badanych. Najwyraźniej respondenci rozumieli zachodzące w Polsce przemiany o wiele lepiej od rządzących.

Zmieniła się jednak nie tylko religijność Polaków, ale także ich oczekiwania wobec polityki. W 2015 r., po dojściu PiS do władzy, ale i pojawieniu się nowych formacji politycznych po prawej i po lewej stronie sceny politycznej, znacząco zmalał odsetek obywateli, którzy nie czuli się reprezentowani przez żadną partię polityczną. Niektórzy komentatorzy sympatyzujący z obozem władzy wysnuli z tego wniosek, że to PiS „upodmiotowił" Polaków, ale jest to jedynie część prawdy.

Oferta programowa i ideowa partii stała się szersza. Do tego polaryzacja sprawiła, że wyborcy zaczęli się utożsamiać z partiami o wiele silniej niż dotychczas. Jeśli zestawimy to polityczne ożywienie z próbami stworzenia monolitycznego ośrodka władzy, to okazuje się, że dzisiejsze protesty – ich radykalizm i intensywność, błyskawiczne pojawienie się postulatu nie tylko unieważnienia orzeczenia TK, ale oddania władzy przez PiS – są również pokłosiem rozbudzonego oczekiwania większego wpływu; oczekiwania, które dzisiejsza partia władzy sama pomogła rozbudzić, by następnie krok po kroku je zawodzić.

Ostatnie pięć lat to próba utrzymania pozorów, że społeczeństwo zawróciło z błędnej ścieżki rozwoju na modłę zachodnią, i budowa kompletnie archaicznej sceny politycznej, ale te wysiłki nie zatrzymały przemian społecznych.

Zmiana podziałów

Bardzo prawdopodobne, że obóz władzy będzie starał się przeczekać protesty, wymęczyć protestujących i okopać się na swoich pozycjach. Ta metoda zadziałała już wcześniej kilkakrotnie. Ma jednak swoje ograniczenia, które wynikają po pierwsze z cyklu protestów i ich rosnącej intensywności, jeśli demonstrujący napotykają na ścianę, a po drugie z faktu, że tym razem bezpośrednią przyczyną wybuchu społecznego gniewu jest sprawa, która łączy ludzi z bardzo różnych opcji politycznych, środowisk i o różnych tożsamościach.

Być może PiS zdoła mimo wszystko skutecznie wziąć protestujących „na przeczekanie" albo zamknąć ich w domach, ogłaszając stan wyjątkowy lub podobne restrykcje. Polska polityka po tej fali demonstracji będzie już jednak wyglądała inaczej. Liberalizacja drakońskiego prawa antyaborcyjnego stanie się celem łączącym bardziej umiarkowanych konserwatystów, liberałów i lewicę. A to oznacza, że podział na Polskę liberalną i solidarną, który tak długo przynosił korzyści polityczne PiS i PO, obozowi władzy i dużej części opozycji, może zostać skutecznie unieważniony. PiS-owi o wiele trudniej będzie przedstawiać się jako partia solidaryzmu społecznego, z kolei liberalizm przestanie być etykietą pasującą do szerokiego opozycyjnego frontu.

Paradoksalnie podsycenie wojny o prawa reprodukcyjne nie cofa Polski w mroki średniowiecza, choć decyzja TK ignorancją w zakresie wiedzy medycznej i brakiem poszanowania dla podmiotowości kobiet rzeczywiście przywodzi czasy, kiedy polityka nie liczyła się ze zdrowiem i zdaniem obywateli. Zerwanie politycznej fasady i odsłonięcie prawdziwego konfliktu o sprawy fundamentalne katapultuje nasz kraj w sam środek globalnej wojny kulturowej między tymi, dla których głównymi zasadami organizującymi społeczeństwa powinny być pluralizm i autonomia, a tymi, którzy uważają, że mogą się one opierać wyłącznie na autorytecie władzy, choćby narzuconym. Tego zasadniczego sporu nie da się już przykryć nową fasadą ani ignorować. Polityka stanie się jeszcze brutalniejsza, ale też bliższa realnego doświadczenia obywateli. © PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatele w forumIdei, think tanku Fundacji im. Stefana Batorego.

REKLAMA

Gwałt jest demokratyczny. Może spotkać każdego. Jest bezczelny, brutalny i bezkarny. Do czasu. Oby ta wstrząsająca opowieść ofiar gwałtów śniła się ich oprawcom. To często jedyna zemsta i zadośćuczynienie za to, że strach z ofiarami będzie już do końca.

KAROLINA KORWIN PIOTROWSKA

→ **WYDAWNICTWO KRYTYKAPOLITYCZNA.PL**

znajdziesz w empik salony / online / aplikacja i dobrych księgarniach

ANDRZEJ ZBRANIECKI / EAST NEWS

Demonstracja w Łodzi, 28 października 2020 r.

Kiedy triumfują paragrafy

BEATA ZADUMIŃSKA, PSYCHOLOŻKA:

Czasem mam wrażenie, że w zakazie aborcji nie chodzi o ochronę życia, tylko o kontrolowanie procesu emancypacji kobiet.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: No a jak to wygląda naprawdę?

BEATA ZADUMIŃSKA: Pamiętam parę, oboje bardzo młodzi. Kobieta przyniosła dokumentację, z której wynikało, że dziecko ma kompletnie zdeformowany mózg i pozbawione jest powłok brzusznych – wszystkie narządy znajdują się w płynie owodniowym. Ich rozpacz była ogromna. Analizowali wszystkie możliwości medyczne i szybko stało się jasne, że neonatologia jest bezradna. Katusze, których doświadczała ta kobieta, były równie dotkliwe w sferze fizycznej, jak i psychicznej. I w takim stanie rozedrgania odsyłano ją na kolejne badania. A ona wiedziała, że lekarzom chodzi wyłącznie o to, by doczekać tego momentu ciąży, w którym będzie można jej powiedzieć: za późno, nie da się wykonać zabiegu.

Pomogłam jej wtedy w uruchomieniu kontaktów wypracowanych przez Federację na Rzecz Kobiet, organizację pozarządową walczącą o sprawiedliwość reprodukcyjną.

Ta kobieta poddała się aborcji, a po zabiegu doświadczyła wielkiej ulgi, bo przerwała niewyobrażalne cierpienie. Dziecka, swoje, bliskich.

Po uldze przychodzi żałoba?

Aborcja wiąże się z gigantycznym kryzysem. Jednak to, jaki będzie miał on przebieg, zależy od struktury psychicznej konkretnej osoby. Praca z kobietami, które usunęły ciążę, pokazuje, że ok. jedna trzecia odczuwa przewlekłe, negatywne skutki, jedna trzecia uskarża się na przejściowe trudności, a jedna trzecia szybko, bez powikłań psychologicznych, wraca do stanu funkcjonowania sprzed zabiegu. Trudno przy tym wyraźnie rozgraniczyć emocje związane z samym zabiegiem od emocji wywołanych aurą społeczną dotyczącą aborcji. Część tej aury tworzą środowiska *pro-life*, które twierdzą, że przerwanie ciąży zawsze skutkuje syndromem postaborcyjnym.

Skutkuje?

Terapeuci *pro-life* wychodzą z założenia, że jeśli nawet kobieta subiektywnie nie odczuwa powikłań psychologicznych po zabiegu, to obiektywnie takie powikłania ma i pozostaje tylko kwestia odpowiedniego prowadzenia terapeutycznego, by potrafiła je odkryć, odczuć i być może wyleczyć. W części przypadków, z którymi się zetknęłam, kobiety sądziły, że jeżeli nie będą odczuwały żalu i poczucia winy za dokonaną aborcję, to nie wejdą w relację z terapeutą i spotka je odrzucenie. Słowem: doświadczają wtórnej, naznaczającej traumy.

Jak ona może się objawiać?

Wiele lat temu wzięłam udział w programie Ewy Drzyzgi „Rozmowy w toku". Bohaterkami były panie, które prowadziły terapię oswajania traumy postaborcyjnej wywodzącą się z Ameryki Łacińskiej. Pamiętam, że najpierw „rekonstruowały" ciążę: pod bluzkę wkładały poduszki, przygotowywały pokój dla dziecka, nadawały mu imię, rodzeństwo zapoznawało się z siostrą czy bratem... I dziecko umierało w chwili, kiedy było zadomowione z całą rodziną. Przez kilka lat cała rodzina żyła więc z fikcyjnym dzieckiem.

Niepokojące.

Zwłaszcza że te kobiety, same w nie najlepszej kondycji psychicznej, wciągały w ten świat swoich bliskich.

Kondycja psychiczna ciężarnej kobiety, która dowiaduje się, że płód ma poważną wadę genetyczną, również nie może być dobra.

Na pewnym etapie ciąża jest doświadczeniem czysto biologicznym, sprowadzającym się do jedności płodu i ciała kobiety. Jeśli poród ma oznaczać śmierć dziecka, to dla kobiety ta sytuacja jest wyjątkowo drastyczna – w pewnym sensie ciało matki staje się grobem.

To wbrew porządkowi istnienia.

Sporo kobiet czuje wtedy wściekłość na swoje ciało, obwinia je za to, że nie zadziałały mechanizmy biologiczne. Kobiety ze złym wynikiem badania genetycznego są tą wiadomością zszokowane. A szok się wzmacnia, gdy pojawia się efekt domina.

Efekt domina?

Uruchamiają się kolejne dramaty. Na przykład odejście partnera lub jego odcięcie się od problemu. Albo sytuacja, w której do kobiety dociera, że żyła tylko wyobrażeniem swojej rodziny i przyjaciół. A teraz wokół niej zrobiła się zupełna pustka.

Jeśli w takiej sytuacji kobieta nie ma prawnej możliwości przerwania ciąży, jest zrozpaczona, zdesperowana i zaszczuta. Jest wpędzona w sytuację, z której nie ma wyjścia.

A ona wtedy?

Staje się jeszcze bardziej zdesperowana. Jeśli myśli o zabiegu, to się przed nim nie cofnie. Bez względu na ryzyko uczyni wszystko, by go dokonać. Kończy się myślenie, zaczyna rozpacz: kobieta zażyje tabletki wczesnoporonne wątpliwego pochodzenia, skontaktuje się z kimś, kto w ogóle nie posiada wiedzy medycznej, zapożyczy się i wyjedzie za granicę zbiorowym transportem do miejsca, którego wcześniej nie sprawdzi, dokona ataku okaleczającego jej własne ciało.

W internecie łatwo znaleźć oferty legalnego wyjazdu do klinik w państwach ościennych – zabieg zamyka się w kwocie 600 euro. Jednak dla ludzi głębokiej wiary, podobnie zresztą jak dla niektórych niewierzących, aborcja jest aktem niedopuszczalnym.

W interwencji kryzysowej da się stworzyć inną perspektywę, w której, przy naturalnym szacunku dla systemu wartości, ujawni się plan dla wspomaganej osoby.

Plan?

Osoba interweniująca jest tylko i wyłącznie akuszerem różnych postaw, decyzji, które mogą się wyłonić z człowieka.

I jakie to mogą być decyzje?

Wszystkie. Dlatego jestem za wyborem.

I kobieta wierząca bierze pod rozwagę wybór aborcji?

Człowiek bez więzi, bez wspólnoty, pozbawiony bezpieczeństwa, niejako przełącza się do desperackiej walki o powrót do stanu sprzed urazu. W tym przypadku urazem staje się ciąża. A jeżeli ktoś zostaje sam z doświadczeniem biologicznym, jakim jest ciąża, to działa w sposób biologiczny, czyli kieruje się instynktem przetrwania. Refleksje religijne są filtrowane przez tę biologiczną sytuację. Przychodzą później albo w ogóle.

A ludzkie życia z ciąż niechcianych, lecz donoszonych?

Bywa różnie. Spotkałam osoby, które od matki usłyszały, że nie zdążyła z aborcją – ci ludzie egzystują w mroku niezwykle trudnej świadomości. Oczywiście od strony psychologicznej wiele rzeczy da się przepracować. Psychoterapia służy temu, by powiedzieć coś, o czym człowiek samodzielnie nie może pomyśleć – to droga ku temu, by radzić sobie z traumą.

A ciąże kobiet zgwałconych?

Pod koniec lat 90. razem z czterema prawniczkami założyłam nieformalną grupę, której celem było zbadanie sytuacji ofiar zgwałcenia w postępowaniu przygotowawczym. Jeździłyśmy po komisariatach, rozmawiałyśmy z policją i prokuraturą. Stworzyłyśmy wytyczne, w jaki sposób należy traktować kobiety zgwałcone w tym pierwszym etapie postępowania. Ku naszemu zdumieniu udało się ten raport przeforsować: ↦

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie

Szybka wycena książek

Miejsce na nowe książki

Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

↦ w 2001 r. podpisał go prokurator generalny Lech Kaczyński. Jednym z zapisów było coś, co wydaje się zupełnie podstawowym zadaniem policji, która powzięła wiadomość o zgwałceniu: przeprowadzenie obdukcji. Wykonuje się ją na dyżurze w szpitalu ginekologicznym. Kolejna wytyczna: lekarz ma zawiadomić kobietę o możliwości przyjęcia antykoncepcji postkoitalnej – to lek zapobiegający zapłodnieniu. Następny ruch: wskazanie leku, który zabezpiecza przed ryzykiem zarażenia HIV.

Czyli podstawowe informacje.

Tak, bo kobieta sama nie zapyta, jest w szoku, czuje się zbrukana i zdewastowana – potrzebuje wskazówek. I proszę sobie wyobrazić, że ani razu nie udało mi się uzyskać od kobiety zgwałconej informacji, że lekarz się nią zaopiekował w kompletny sposób. Jest coś sadystycznego w tak powszechnych aktach nieuważności. Sądzę, że właśnie o tym myślał Boy-Żeleński pisząc w 1929 r. o piekle kobiet.

Naprawdę nadal jest aż tak źle?

W lat 90. było lepiej: pamiętam ginekolożki i internistki, które okazywały prostą solidarność z kobietami. Kierowały się rozsądkiem i przyzwoitością. To są zawody na służbie – powinniśmy się zaopiekować człowiekiem, uznać jego regresję, rozpad, rozpacz. W pewien sposób włączyć się w jego los, by w krytycznym momencie dać wsparcie.

No a teraz?

Czuję przygnębienie, gdy słyszę, że w Szpitalu Bielańskim, skądinąd o bardzo dobrych tradycjach, lekarze niejako prewencyjnie wycofali się z wszelkich zabiegów aborcyjnych, nawet tych, które były zgodne z ustawą. Oprócz tego, że mamy bezwzględnych polityków i aparat władzy w Trybunale Konstytucyjnym, to łamie się ludzka solidarność na poziomie pacjent – lekarz – psycholog – pracownik socjalny.

Triumfują paragrafy. A ludzie mocno zorientowali się na swój komfort. Oraz zakres obowiązków – nie chcą przekraczać procedur. To rodzaj wycofania się z postawy autentycznego zaangażowania w los pacjenta.

Muszę powiedzieć, że nie czuję się sama ze sobą dobrze, gdy to wszystko mówię.

GRAŻYNA MAKARA

BEATA ZADUMIŃSKA jest psycholożką i psychoterapeutką, trenerką w Towarzystwie Interwencji Kryzysowej. Pracuje z osobami doświadczającymi traum, w tym zaburzeń na tle przemocy seksualnej. Posiada kwalifikacje biegłego sądowego i mediatora sądowego.

Dlaczego?

Bo muszę epatować cierpieniem moich pacjentów. Jakby kobieta miała się tłumaczyć i uzasadniać swoją trudną sytuację. W ten sposób spycha się ją do pozycji ofiary – prawo przysługuje jej o tyle, o ile wykaże się cierpieniem. Totalne zanurzenie się w problemie, roztrząsanie, spędzanie lat nad badaniem powodu, poszukiwania winnych, to też jest złe powikłanie aborcji.

A powikłaniem nie jest lekkie traktowanie kwestii aborcji?

Tak, bywa, że kobieta traktuje aborcję na równi z regulacją brwi. To też budzi mój terapeutyczny niepokój.

Ale jest jeszcze jedna kwestia: nie możemy oddzielać aktu poczęcia od seksu, który przecież jest kojarzony z przyjemnością. Kobieta, która nie dostaje kulturowego prawa do przeżywania przyjemności, jest w jakimś sensie atakowana za akt przyjemności. Żyjemy w czasie, w którym za przeżycie przyjemności należy liczyć się z karą. Dlatego czasem mam wrażenie, że w zakazie aborcji nie chodzi o ochronę życia, tylko o kontrolowanie procesu emancypacji kobiet.

No a w tym wszystkim sprawa dzieci?

Pracowałam ostatnio w ośrodku, w którym spotkałam niewidomego młodego mężczyznę z ruchu *pro-life*. Jego rodzice od początku wiedzieli, że będą mieć dzieci niewidzące, ich córka, a młodsza siostra tego mężczyzny, też od urodzenia nie widzi. I myśmy się z tym mężczyzną polubili i porozumieli, to mądry i sensowny człowiek. Rozmawialiśmy też o aborcji. I miałam spostrzeżenia, że każde z nas ma ten problem przemyślany, ale tylko w granicach własnych przekonań.

Poruszał mnie jego styl pracy, wrażliwość i sposób rozumienia – np. molestowanych seksualnie dzieci i gwałconych kobiet. Zauważyłam, że mimo iż byliśmy na zupełnie innych etapach ścieżki zawodowej – łączyła nas podobna wrażliwość. Choć wszystko powinno nas dzielić. Gdy odchodziłam z pracy, zażartowałam, że pewnie spotkamy się po dwóch stronach barykady.

Po dwóch stronach sporu o aborcję?

Sporu szalonego, w którym żadne z nas nie ma szans, by sprawę głębiej przemyśleć. Zbiera plon toczona przez dziesięciolecia dialektyka wokół tej kwestii: te samochody-szczekaczki, te wystawy z porozrywanymi płodami, te mównice sejmowe pełne mowy nienawiści. Od czegoś takiego można się odbić tylko w prymitywny sposób.

A przecież teraz jest nam potrzebna wspólnotowość – porozumienie pomiędzy podziałami, rodzaj czystości, w której nikt nikogo nie będzie etykietował i nie uczyni z tematu aborcji swojego kapitału politycznego. Ale ten rodzaj spotkania, refleksji jest w moim odczuciu możliwy tylko wtedy, gdy ustanowimy prawo do wyboru.

Naprawdę wierzy Pani w brak podziałów?

Przez wiele lat pracy na rzecz kobiet spotkałam wiele osób: wyznawczynie różnych religii, anarchistki, panie domu, ateistki i kobiety stowarzyszone w grupach charyzmatycznych. Asertywne bizneswoman i wstydliwe, zakłopotane mężatki. Wszystkie one szukały kontaktu ze mną – z często dla nich obcą, egzotyczną przedstawicielką organizacji feministycznej. Chyba wiedziały, że każdą – także aborcyjną – drogę możemy poważnie rozważyć. Spotkanie możliwe jest wtedy, gdy strach, zaszczucie i brak wyboru zostawia się za drzwiami.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

HENRI KOSKINEN / ALAMY STOCK / BEW

Soplówka bukowa (Hericium coralloides)

Bieszczadzka rafa koralowa

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Wypróchniały, ośmiometrowy pień jodły zagadkową siłą ciągle trzyma pion. Żywią się jego ciałem tysiące organizmów. W butwiejącej kłodzie, jak w donicy, kiełkuje nowe pokolenie.

Żeby zapisać wszystkie wrażenia, których dostarcza jesienny, bieszczadzki las, musiałbym w nim zostać na zawsze. To nie jest łagodna, kojąca kąpiel leśna, ten las oszałamia. Ten las jest żywiołem.

Zamykamy oczy, żeby posłuchać, bo oślepia mnie fosforyzujące światło mchów. Najprościej jest z dźwiękiem. Dzisiaj jest jednostajny. Deszcz bębni na kapturze, na rękawach, na plecaku. Las szumi. Kiedy zrywa się wiatr, a krople na liściach spadają z drzew – las huczy. Czasem zaskrzypi powalony buk wsparty na ramionach sąsiadów. Gdzieś poniżej przechodzą zwierzęta, słychać wyraźnie trzask łamanych gałęzi. Wysoko, wysoko w koronach urywa się jodłowanie sikory sosnówki „djudi-djudi-djudi-dju". Ile to dźwięków? Czy każdą kroplę deszczu liczyć osobno?

PACHNIE WODĄ I ZIEMIĄ. Deszczem i błotem. Kałużami i runem. Ten las jest jak rafa koralowa. Biała, prawie przezroczysta, szkli się w deszczu jak meduza, a może jakaś niesłychanie droga, krucha porcelana. Monetka kleista, drobny blaszkowy grzyb cierpliwie rozkłada włókna złamanego buka. Na ogromnym pniu rozsiadła soplówka, zwana dawniej kolczakiem koralowym. Faktycznie, wygląda jak zamarznięty wodospad, a równocześnie przypomina kawałek koralowca. Nie zdziwiłbym się, gdyby zza buka wypłynęła nagle ławica kolorowych rybek. Ale nazwy to skojarzenia systematyków. Ja bym powiedział chyba, że to frędzlówka, względnie frędzelkówka, bo przypomina jakieś psychodeliczne, zwielokrotnione kotary, staromodne, babcine zasłonki. Soplówka jest operowa, a przy tym rzadka, wpisana do Czerwonej Księgi, narażona na wymarcie. Jak rafy koralowe.

Pejzaż jest dramatycznie piękny. Jawory stoją w deszczu, pokryte korą, która przypomina zbroję średniowiecznego rycerza. Wypróchniały, ośmiometrowy pień jodły zagadkową siłą ciągle trzyma pion. Drzewo dochodziło pewnie do czterech metrów obwodu, ale jego życie nie kończy się ze śmiercią. Żyją w nim, żywią się jego ciałem tysiące organizmów. Chrząszczy, grzybów czy śluzowców. ↦

↦ Gdyby jodła u podstawy miała jeszcze wertykalne pęknięcie, wypróchniałą komorę, mogłaby służyć za gawrę dla niedźwiedzia. Za to w jej butwiejącej kłodzie, jak w donicy, kiełkuje nowe pokolenie. Spójrzmy dalej, w drugim planie rumowiska drzew. Monumentalne wykroty i szczerbate drzazgi złomów. Jak brutalna musi być siła, by przewracać, by łamać buki, te drzewa konie, pod których cienką skórą grają mięśnie.

Ten las to jednak przede wszystkim kolor, kolor nasycony, jeszcze nie przesycony i podbity do niemożliwości. Taki będzie za dwa tygodnie. Na razie zieleń wycieka z liści powoli, ale zieleń buków jest schyłkowa, gasnąca. Buki stoją spokojnie, na wietrze połyskują czasem wypolerowanym wierzchem liścia. Za to wykręcona przez górski wiatr wierzba rozrzuca już liście tryumfalnie, jak garście konfetti. Te, co kurczowo trzymają się gałęzi, wzdłuż nerwów są jeszcze zielone, żółkną ku brzegom i pokrywają się rdzawym nalotem. W środku jeszcze jędrne, sprężyste, przy krawędzi już martwe i suche jak papier.

JEDYNE ZWIERZĘ przecina nam ścieżkę niezdarnie i nieśpiesznie. Czarno-żółta błyskawiczka, pochłonięta poszukiwaniami dobrej kłody na zimowe legowisko. „Nic brzydszego nie znam jak salamandra. Jest to tłusta, ciężka, niezgrabna jaszczurka, czarną śliską skórą powleczona, nakrapiana pomarańczowymi płatkami" – pisał o niej Wincenty Pol. Salamandra jest drapieżnikiem, poluje na ślimaki i dżdżownice, które nawet jej nie potrafią uciec. Zwano ją słusznie jaszczurką deszczową, bo kocha wilgoć, a słoneczne dni spędza w ukryciu. Zwano ją też niesłusznie jaszczurką ogniową, wierzono, że rodzi się w płomieniach, i ten związek z ogniem wybrzmiewa w niemal każdej jej europejskiej nazwie. *Fire salamander, feuersalamander, ogniennaja salamandra.*

Mgła to reżyser tych scen, który bezszelestnie zmienia scenografię. Kiedy podnosimy głowy znad salamandry, las jest już inny. Ciemne, rozmyte sylwetki odległych buków zniknęły. Jeżeli mgła jest gdzieś pomiędzy bielą a zielenią, to ta mgła jest jaśminowa. To zjawisko nie ma fachowej nazwy, nie wiem nawet, czy faktycznie istnieje. To, że widzę jaśminową mgłę, o niczym jeszcze nie przesądza. Tak jak z niebieskim piórkiem ze skrzydła sójki, najcenniejszym skarbem w kolekcji każdego dziecka. Lazur i czerń, królewskie połączenie. A przecież faktycznie to piórko jest szarawe, niebieski kolor to tylko gra światła w strukturach keratyny. W uporządkowanych rządkach promyków i haczyków dopiętych do samego szczytu jak suwak w zimowej kurtce.

RUSZAMY W DOLINĘ. Bajka kończy się przy pierwszych ściętych pniach, tu las przerzedza się, rozwiewa się mgła. Jakbyśmy budzili się ze snu. Teraz schodzimy rynną błota, szerokim na kilka metrów szlakiem zrywkowym. To nie jest Park Narodowy, to nie jest rezerwat, ot las, w którym prowadzi się tę słynną, zrównoważoną gospodarkę leśną. Specjaliści mówią, że jej metody są w Bieszczadach archaiczne i prymitywne. Alarmują, że tutejsze, deficytowe nadleśnictwa przecinają stoki gór coraz gęstszą siecią dróg zrywkowych, którymi deszcz spływa w doliny do rzek i potoków. A przecież Bieszczady to lasy wodochłonne, powinny zatrzymywać opady, uwalniając wodę powoli i ratując doliny przed powodziami.

Pod koniec września Lasy Państwowe pokazały mapy, z których wynikło, że w ciągu ostatnich stu lat lasów w Bieszczadach przybyło dwukrotnie. Leśnicy odpowiadali na protest aktywistów domagających się zaprzestania wycinki w pozostałościach Puszczy Karpackiej. To prawda, w międzywojniu te tereny były gęsto zaludnione, a ludność zajmowała się wypasem i wyrębem lasu. Po wojnie i akcji „Wisła" Bieszczady stały się legendarnie dzikie. Pastwiska i wsie zarosły. To nie była raczej zasługa leśników, bardziej zwycięstwo fotosyntezy. Przyroda zwyczajnie wróciła na swoje miejsce. Lasu przybyło, ale nie o takie lasy chodziło aktywistom.

Najcenniejsze, najstarsze lasy, które widać dobrze na mapach z 1830 r., wciąż są wycinane. Lasy, które przez wieki były bezpieczne w niedostępnych dolinach. Wycina się na Otrycie, w otulinie Parku Narodowego i setkach miejsc, do których dostępu bronią tablice „zakaz wstępu".

© STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Zbigniew Poprawski

1930–2020

aktor Teatru Rapsodycznego,
reżyser związany z teatrami Groteska w Krakowie,
Banialuka w Bielsku-Białej i Ateneum w Katowicach
oraz autor popularnych sztuk dla dzieci,
zmarł w Krakowie 24 października 2020 r.

Został pochowany na cmentarzu Rakowickim,
o czym zawiadamiają pogrążeni w smutku

ŻONA, DZIECI Z MAŁŻONKAMI I WNUKI

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Kozienicach, pod sygn. akt I Ns 3/20, toczy się postępowanie wszczęte na wniosek Prokura Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego we Wrocławiu o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Teresie Kokowskiej, ur. 10 lipca 1938 r., zm. 21 marca 2018 r. w Radomiu, mającej ostatnie miejsce pobytu w Pionkach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców ww. zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po zmarłej Wiesławie Teresie Kokowskiej.

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

310 756,83 zł
to kwota, jaką do końca września otrzymaliśmy z przekazanego nam przez Państwa 1% podatku w jubileuszowym roku 75-lecia „Tygodnika Powszechnego".

Dziękujemy –
to bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność
jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Copernicus, Conrad
to festiwale – perły w koronie fundacyjnych przedsięwzięć. Razem z Lekcjami Czytania budują kulturę odbioru literatury czy nauki, edukują kolejne pokolenia świadomych odbiorców – obywateli.

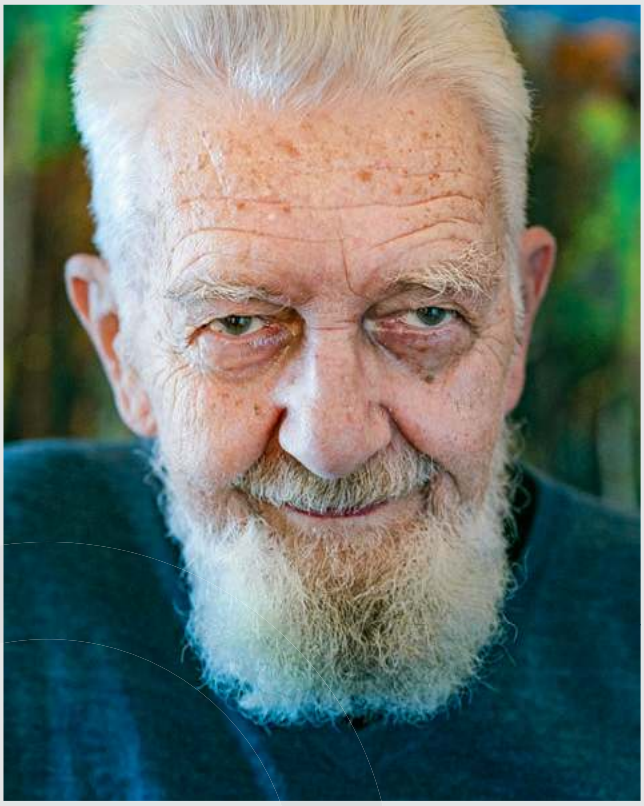

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wdzięczność
wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za to bardzo wymierne potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest Wam potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

ks. Adam Boniecki

i zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego

OGŁOSZENIE OPP

CHRZEŚCIJAŃSTWO JUTRA

Potrzebujemy nowego Soboru Jerozolimskiego, który podzieli zadania: jedni zadbają o tych wierzących, którzy potrzebują bezpiecznych zasad z przeszłości, inni wsłuchają się w Boże wezwania nadchodzących czasów.

KS. TOMÁŠ HALÍK

LUIS ACOSTA / AFP / EAST NEWS

Kilkanaście dni temu w światowych mediach ukazała się sensacyjna informacja z Watykanu. Papież Franciszek zaszokował świat, bo przemówił o homoseksualistach i ich prawach do miłości w sposób ludzki, jak normalny człowiek XXI wieku, który ma serce i rozum na swoim miejscu. Przemówił, jakby nie było tych stuleci strachu, prześladowań i nienawiści wobec ludzi o odmiennej orientacji seksualnej, jakby nie było uprzedzeń, które skutkowały niezmierzoną liczbą ludzkich tragedii i wielu doprowadziły do samobójstwa.

Tym razem papież nie poprzestał na odwołaniu do tego niby kompromisowego, niby postępowego, ale w rzeczywistości naznaczonego hipokryzją i niekonsekwencją stanowiska współczesnych dokumentów kościelnych. One z jednej strony zachęcają do współczującego podejścia do osób LGBT, a z drugiej wierzącym homoseksualistom proponują jako jedyne możliwe do przyjęcia rozwiązanie dożywotnią abstynencję seksualną. Nigdy nie zapomnę oczu i głosu pewnego geja ze środowiska intelektualistów katolickich, kiedy na moje słowa, aby rozważyć możliwość przyjęcia jego związku jako mniejszego zła – co wtedy w dobrej wierze uważałem za wspaniałomyślne i postępowe z mojej strony jako spowiednika – zareagował cichym pytaniem: „Dlaczego mam pojmować mój życiowy związek, który trwa w miłości, wierności i wzajemnym wsparciu, jako zło?”.

W następnych dekadach przeżyłem wiele niespodzianek, kiedy spostrzegałem, że wyobrażenia o wysokim odsetku gejów wśród kleru katolickiego nie są bynajmniej podszytymi złą wolą pomówieniami ze strony nieprzyjaciół Kościoła. Poznałem ich całe spektrum: od tych, którzy rzeczywiście żyli we wstrzemięźliwości i celibacie, a do stylu ich duszpasterstwa przenikało jakieś delikatne, rozumiejące macierzyństwo, aż po tych, którzy w ogóle nie mieli ochoty przyznawać się do swojej orientacji, żyli podwójnym życiem i wewnętrzny konflikt związany z tą sytuacją kompensowali sobie superkonserwatywną agresją wobec homoseksualistów. Dzięki swojemu psychoterapeutycznemu doświadczeniu u najbardziej gorliwych bojowników przeciwstawiających się „tsunami homoseksualizmu” niemal zawsze rozpoznaję księdza, który zakrzykuje swój osobisty problem.

Reakcja na słowa papieża

Najważniejsze nie jest to, co papież w tym filmie dosłownie mówi; przecież jego wsparcie partnerstwa rejestrowanego (ale nie „małżeństwa”) osób LGBT i ludzkiego podejścia do nich jest długotrwałe i znane z szeregu poprzednich wystąpień. Czekałem, jaka będzie tym razem reakcja konserwatywnych nieprzyjaciół Franciszka. Czy będzie podobnie, jak po innej ludzkiej wzmiance papieża w encyklice „Amoris laetitia” o tym, że wszystkim rozwiedzionym i poślubionym na nowo nie trzeba koniecznie, w każdych okolicznościach i na zawsze twardo odmawiać Eucharystii i wymuszać seksualnej wstrzemięźliwości w drugim małżeństwie, ale że należy analizować mądrze i łagodnie każdy przypadek z osobna oraz dać przestrzeń także indywidualnemu sumieniu? Czy będą nowe „synowskie napomnienia” konserwatywnych teologów, dubia (wątpliwości) kilku kardynałów? Tych, którzy domagają się od papieża bezkompromisowej wierności literze prawa – a zatem dokładnie takiego stanowiska, przeciw któremu Jezus przez całe życie walczył z elitami religijnymi swojego czasu. ↦

↦ Myślę, że ci współcześni faryzeusze dopiero zastanawiają się nad tym, co robić. Niektórzy biskupi zareagowali w ten sposób, że oto rubaszny papież przejęzyczył się przed kamerą, jego wypowiedzi nie mają żadnej dogmatycznej ważności. Znany komentator czeskiej redakcji Radia Watykańskiego pośpiesznie zaczął tłumaczyć, że słowa papieża zostały wyrwane z kontekstu i zmanipulowane. Wśród wysokich czeskich przedstawicieli Kościoła znalazła się i taka wersja (podszyta teorią spisku): reżyser filmu jest homoseksualistą i pracuje na zamówienie, aby w ten sposób wpłynąć na wynik zbliżających się wyborów prezydenckich w USA.

Dwa przeciwstawne światy

Spiskowe teorie o tym filmie na pewno by zadowalały kręgi, które prezentują jako obrońcę „wartości chrześcijańskich" amoralnego, zakłamanego, aroganckiego politycznego cynika, który całym swoim życiem, postępowaniem i sposobem wypowiadania się pokazuje, że jego jedynym bogiem są pieniądze, za które może sobie kupować najdroższe przedmioty zbytku, najwyższe wieżowce, piękne żony, które potem zmienia jak koszule, a także najwyższe stanowiska polityczne na tej planecie (człowieka niedojrzałego do jakiejkolwiek odpowiedzialności politycznej). Tak, są wśród nich ewangelikanie i katoliccy ultrasi. Ludzie, którzy reagują jak automaty bez rozumu i sumienia: kiedy tylko ktoś przyciśnięciem guzika zapali lampkę z napisem „kryminalizować aborcję!", „precz z homoseksualistami, cudzoziemcami i imigrantami!", zaraz skaczą tak, jak im zagra, choćby to był nawet sam diabeł. W ogóle ich nie interesują moralne i intelektualne cechy takiego człowieka, staje się on dla nich natychmiast „chrześcijańskim bohaterem".

To całkiem logiczne, że ci, którzy podziwiają Trumpa, nienawidzą Franciszka. Nie chodzi tu tylko o zwykłe preferencje polityczne, ale o zasadniczy kulturowy i moralny wybór. Jeśli Kościół ma być „szpitalem polowym", to do jego proroczych celów należy też diagnostyka moralno-politycznego klimatu w społeczeństwie. Możliwe, że to właśnie Kościół w naszej części świata, Kościół, który ma za sobą doświadczenie prześladowania, teraz, w epoce nadużywania przez polityczną skrajną prawicę symboli chrześcijańskich, nie powinien pozostać „Kościołem milczącym".

Papież nie reformuje dogmatów

Wróćmy jednak do Franciszka i jego stylu reformy Kościoła. Papież nie jest rewolucjonistą zmieniającym naukę Kościoła. Ludzie, którzy go dobrze znają, mówią o nim: „On nie jest teologicznym progresistą, on jest miłosierny". To klucz do zrozumienia jego osobowości i reformy.

Ten papież nie zmienia pisanych norm, nie burzy wewnętrznych struktur – zmienia jednak praktykę życia. Przemienia Kościół nie z zewnątrz, ale znacznie dokładniej – duchowo, od wewnątrz. Przemienia go duchem Ewangelii, rewolucją miłosierdzia. W jego przypadku nie są to puste, pobożne frazy – i dlatego jego reforma ma szansę przemienić Kościół i zbliżyć go do samego jądra przesłania Jezusa znacznie bardziej niż liczne reformy w przeszłości.

Nacisk na zmianę zachowania bardziej niż zmianę litery i struktur inspirował z jednej strony działania pierwotnego Kościoła, a z drugiej filozofię politycznego ruchu oporu w czasach komunizmu. W Liście do Filemona czytamy paradygmatyczną opowieść: apostoł Paweł zajął się zbiegłym niewolnikiem, ochrzcił go i zwrócił jego chrześcijańskiemu panu, dodając, że będzie mu służyć nadal, ale żeby pamiętał, że teraz jest to jego brat w Chrystusie. Chrześcijaństwo nie zaleca opartej na przemocy rewolucji, obalenia władzy posiadaczy niewolników, jak w powstaniu Spartakusa. Wzywa do wytworzenia moralnego klimatu ludzkiego braterstwa i wzajemnego szacunku, godności i wartości każdej osoby ludzkiej, klimatu, w którym niewolniczy system musi w końcu wydać ostatnie tchnienie.

Widzę pewną analogię tej politycznej etyki w antykomunistycznym ruchu oporu, przede wszystkim w Karcie 77 w Czechosłowacji. Sygnatariusze Karty nie domagali się rewolucyjnego obalenia komunistycznych rządów w czasie sowieckiej okupacji, ale wzywali rząd, aby przestrzegał swoich własnych praw (i dobrze wiedzieli, że rząd tych wezwań nie potraktuje poważnie). Temu wezwaniu towarzyszył apel do obywateli, aby zaczęli się zachowywać jak ludzie wolni – tak jakby prawo rzeczywiście obowiązywało. Sygnatariusze Karty tak żyli, jakkolwiek musieli się liczyć z represjami. Niemniej ten przykład pokojowego moralnego oporu i alternatywnego stylu życia stał się szkołą odwagi. Później, pod koniec lat 80., doprowadziło to do masowych demonstracji i szybkiej kapitulacji komunistów z na pozór „niewiarygodną lekkością". Na pewno dobrze jest uważnie analizować różne czynniki, które doprowadziły do *annus mirabilis 1989*, ale byłoby cynicznym całkowicie zapomnieć o doświadczeniu, że wielu wtedy, przynajmniej na krótki czas, zaczęło się naprawdę zachowywać jak ludzie wolni.

Tak, szczególny typ „katolicyzmu bez chrześcijaństwa" (właśnie ten, którego pupilem jest dziś Donald Trump) przypomina swoją mentalnością nie tylko uczonych w Piśmie i faryzeuszy naszego czasu, ale także biurokratyczny, komunistyczny reżim w fazie jego ostatecznego rozkładu. Jak z tym bagażem kościelnej historii żyć, zachować szacunek do Kościoła, wierność Ewangelii i czerpać siłę z Bożej obietnicy, że nam da „przyszłość pełną nadziei"?

Franciszek nie zmienia dogmatów, nie występuje nawet przeciw kościelnym dokumentom, przypominającym konserwę, której termin przydatności do spożycia dawno minął i teraz jest niebezpiecznie toksyczna. Podobnie Sobór Watykański II oficjalnie nie odwołał np. niemożliwych do obrony klątw Piusa IX pod adresem wolności sumienia, wolności druku i religii (słynny „Syllabus"), ale zamiast tego wydał obowiązujący dokument (konstytucja „Gaudium et spes"), gdzie te dotąd odrzucane wartości uczynił integralną częścią nauki Kościoła. Zmiana stylu pastoralnego (także ostatni Sobór uznał się za pastoralny) na pewno jednak spowoduje, że liczne struktury i urzędowe sformułowania prędzej czy później po cichu wywietrzeją.

Franciszek swoim przykładem chrześcijańskiego męstwa inspiruje do tego, abyśmy się niektórymi zjawiskami we współczesnym Kościele nie dali ani zastraszyć, ani zniechęcić i zachowywali się jak wolne dzieci Boże, odpowiedzialnie używali wolności, do której wyzwolił nas Chrystus. I nie dali sobie nałożyć jarzma niewoli religii kodeksów – jak do tego w Liście do Galatów wzywa apostoł Paweł.

„Nic wielkiego się nie stało, wszystko zostanie po staremu!" – wołają zdenerwowani wyznawcy martwej religii. Tak, nie stało się nic takiego, na czym mogliby papieża Franciszka przyłapać albo za co ukamienować, tak jak Jezusa chcieli ukamienować jego współmieszkańcy z Nazaretu. Nie jest heretykiem. Również ci, którzy przyjmują jego wezwanie do duchowej odnowy Kościoła, nie są heretykami. Trzeba w jego duchu wierzyć w rewolu-

cyjną moc Bożego Miłosierdzia, które jest alfą i omegą jego teologii – także wtedy, gdyby Franciszek stracił siły, aby kontynuować potrzebną reformę.

Na początku Roku Miłosierdzia niektórzy z nas mieli teologiczne wątpliwości, czy pojęcie miłosierdzia nie przedstawia miłości Bożej nadmiernie „z góry". Stało się jednak jasne, dlaczego papież wzywa nas do miłosierdzia, przez które zapraszamy Boga w złożone i bolesne sytuacje, nie jako gwaranta niezmiennych zasad, ale jako życzliwą, wielkoduszną, wyrozumiałą, przebaczającą i uzdrawiającą siłę przemiany człowieka, Kościoła i społeczeństwa.

Linia horyzontalna ludzkiego braterstwa – o której papież opowiada w encyklice „Fratelli tutti" – potrzebuje także wertykalnej linii miłości jako nieskończonego miłosierdzia, które przekracza wszystkie wyobrażalne po ludzku granice. Do miłości bez granic możemy tylko podążać jak do celu spełniającego się dopiero w objęciach Boga. Ten ideał nie może stać się „prawem", jak większość najważniejszych wyzwań Jezusa, ale musi być stale prowokującym i prorocko ekscytującym impulsem, który dla żadnego chrześcijanina nigdy nie może stać się „sprawą raz na zawsze załatwioną" .

Pandemia fundamentalizmu

Przyznaję, że w tych dniach, kiedy koronawirus zabija ludzi w mojej ojczyźnie, nie mogę pozbyć się obaw przed jeszcze jedną pandemią: fundamentalizmu i fanatyzmu. Patrząc na katolickich wielbicieli Trumpa, muszę walczyć z pokusą sceptycyzmu co do tego, czy w ogóle możliwy jest jeszcze jakikolwiek „ekumeniczny dialog wewnątrz Kościoła katolickiego". Dialog międzyreligijny, a szczególnie dialog z wykształconymi i refleksyjnymi ludźmi spoza Kościoła wygląda mi czasem na łatwiejszy od próby komunikacji z ludźmi, którzy łączą religię z tendencjami populistycznymi i nacjonalistycznymi. Pół wieku swojego życia śniłem wielki sen o zjednoczeniu wszystkich wierzących w Chrystusa. Dziś ten sen się rozpłynął.

Istnieją podziały, ale nie między Kościołami, tylko w poprzek. Podziały, które wyglądają dla mnie na niemożliwe do pokonania. Naprawdę nie mogę kroczyć pod jednym sztandarem z ludźmi, którzy z wielką pewnością siebie twierdzą, że wiedzą, iż Bóg stworzył świat w ciągu

Pół wieku swojego życia **śniłem wielki sen o zjednoczeniu wszystkich wierzących w Chrystusa.** Dziś ten sen się rozpłynął. Walczę z wątpliwością, czy dialog ma sens.

sześciu dni, albo że Mojżesz jest autorem Ksiąg Mojżeszowych (łącznie z fragmentem o własnej śmierci); którzy argumentują przeciwko wyświęcaniu kobiet w ten sposób, że Jezus pomiędzy swoich apostołów nie wybrał żadnej kobiety (nie wybrał też nikogo z nas, nieobrzezanych – czy my zatem mamy prawo teraz wyświęcać nie-Żydów?); z ludźmi, którzy nie wiedzą, że głośne ostatnio zwycięstwo grup *pro-life* w Polsce i kryminalizacja aborcji bardziej niż obronie nienarodzonych przysłuży się turystyce aborcyjnej Polek do Czech i na Słowację, ale zła aborcji w rzeczywistości nie powstrzyma. W Polsce trwa właśnie najszybszy proces sekularyzacyjny w całej Europie – ci biskupi, którzy krótkowzrocznie wspierają nacjonalistycznych polityków cynicznie nadużywających chrześcijaństwa, ponoszą winę za to, że młode pokolenie na dobre odejdzie od Kościoła i „katolicka Polska" może podążyć za „katolicką Irlandią" w przepaść historii.

Niemała część chrześcijan ma tak zredukowaną pozytywną stronę swojej wiary, że tożsamość chrześcijańską opiera na walce kulturowej, na wojnie przeciw prezerwatywom, aborcji, związkom homoseksualistów itp. Tak negatywnie określony katolicyzm Franciszek miał odwagę nazwać neurotyczną obsesją.

Na pewno nie wystąpię z Kościoła, w którym nadal będę się spotykać u jednego Stołu Eucharystycznego z ludźmi o takich poglądach. Dobrze wiem, że jestem omylnym i błądzącym człowiekiem. Walczę jednak z wielką wątpliwością: czy nie należy z realizmem zaprzestać prób tworzenia ekumeny wszystkich chrześcijan i raczej zaangażować wszystkie siły do pogłębiania płodnej ekumeny (dzielenia się, synergii, wzajemnego wzbogacania) z ludźmi myślącymi – zarówno wierzącymi, jak i niewierzącymi? Czy mamy nadal tracić czas i energię na puste próby dialogu z ludźmi, dla których samo to słowo wzbudza gniew i reakcje obronne – jakkolwiek chyba jesteśmy w stanie zrozumieć ich subiektywne motywacje do takich zachowań?

Jeden z działaczy czeskiej katolickiej prawicy, wojujący przeciw Unii Europejskiej, przymierzany przed laty na stanowisko ministra kultury, w wykazie nieprzyjaciół „prawdziwego Kościoła" wymienił obok siebie ekumenizm i homoseksualizm. Dziś ludzie o podobnej mentalności z poparciem części hierarchii kościelnej dostają się do ciał kierujących publicznymi mediami w naszym kraju, a na Węgrzech i w Polsce ci wyznawcy nieliberalnej demokracji (czyli państwa autorytarnego) krok za krokiem likwidują wolność mediów, wymiaru sprawiedliwości, organizacji pozarządowych i uniwersytetów.

Wąska ścieżka

Tak, razem z tymi ludźmi i ja recytuję to samo „Ojcze nasz" oraz „Credo". Nie zaprzeczam, że są wśród nich ludzie osobiście dobrzy i szczerzy. A jednak obawiam się, że żyjemy w nieprzezwyciężenie odmiennych wszechświatach. Po pewnym sławnym, apokaliptycznym kazaniu o zepsutym świecie, w którym nie było nawet małej iskry ewangelicznej wiary, miłości i nadziei, kiedy kaznodziei nie można było usprawiedliwiać tym, że to człowiek prostoduszny, straciłem ufność, że z ludźmi tej mentalności – choć formalnie jesteśmy w jednym Kościele – naprawdę łączy mnie ta sama religia. W pełni podzielam stanowisko jednego z największych chrześcijańskich przywódców XX wieku, kard. Carla Marii Martiniego: „Nie boję się ludzi, którzy nie wierzą, ale ludzi, którzy nie myślą". Uświadomiłem sobie jednak, że granica między ludźmi, którzy myślą, a tymi, którzy nie myślą, na pewno nie jest tożsama z podziałem na ludzi wykształconych i niewykształconych. Nie domagam się elitarnej religii dla wykształconych. Ten podział leży głębiej, w ludzkich sercach.

Czuję, że jestem na jednej łodzi z ludźmi, którzy kierują się współczesnym naukowym rozpoznaniem we wszystkich dziedzinach, w których wiedza jest kompetentna, a jednocześnie stawiają sobie poważne etyczne i duchowe pytania. Droga między religijnym fundamentalizmem niemałego odsetka chrześcijan i tak samo aroganckim, scjentystycznym fundamentalizmem wojujących ateistów jest czasem wąska i trudna. ↦

↦ Jestem jednak głęboko przeświadczony, że dziś jest to droga naśladowania Chrystusa.

Możliwe, że jeszcze moglibyśmy uniknąć schizmy dzięki jakiejś formie nowego Soboru Jerozolimskiego, o którym czytamy w Dziejach Apostolskich, by na nim podzielić zadania: niech jedni dbają o tych wierzących, którzy pragną dających poczucie bezpieczeństwa zasad z przeszłości, a inni niech wsłuchują się w Boże wezwania nadchodzących znaków czasu. Często myślę o tym, że dziś jesteśmy w podobnej sytuacji, jak apostoł Paweł, kiedy zostawił Jakuba, Piotra i innych czcigodnych apostołów, aby poświęcili się pracy wśród judeochrześcijan (w tej części Kościoła, która szybko zanikła), i wyprowadził odważnie młode chrześcijaństwo z wąskich granic judaizmu do ówczesnej *oikúmené* – do zupełnie innego kontekstu kulturowego. Z misji Pawła wyrosło to, co dziś nazywamy chrześcijaństwem i co prawdopodobnie czeka na podobną odwagę do przekraczania dotychczasowych granic.

Czy Franciszek nie pokazuje nam dziś – i to nie tylko tym ostatnim wystąpieniem – takiego rozumienia Ewangelii, takiego stylu zachowania wobec przyrody, takiego podejścia do ludzi, szczególnie tych na marginesie, które w proroczy sposób wskazują na to, co jutro będziemy nazywać chrześcijaństwem? Tożsamość chrześcijańska nie spoczywa w bezruchu, ale jest w ruchu ducha, który w historii uczniów Jezusa stale głębiej wprowadza nas do pełni prawdy. Nie wzywam do bezkrytycznego kultu osoby i poglądów Franciszka, ale do kultury duchowego rozróżniania i do rozwijania tego, co jednocześnie wiedzie do jądra Ewangelii i do odważnej, twórczej odpowiedzi na znaki czasu.

© Przełożył TOMASZ MAĆKOWIAK

KS. TOMÁŠ HALÍK *(ur. 1948) jest filozofem, teologiem i socjologiem. Tajnie wyświęcony na księdza, stał się jedną z ważniejszych postaci podziemnego Kościoła w Czechach. Później m.in. doradca prezydenta Havla, wykładowca Oksfordu, Cambridge i Uniwersytetu Karola, duszpasterz akademicki. Autor kilkudziesięciu książek. Laureat Medalu św. Jerzego przyznawanego przez „Tygodnik Powszechny”.*

ALFRED FACELLY / SIPA / EAST NEWS

Kardynałowie podczas konsystorza, październik 2003 r.

Czerwone birety

EDWARD AUGUSTYN

Nominacjami kardynalskimi Franciszek walczy z frakcyjnością i kunktatorstwem przyszłego konklawe.

Brunei to małe, azjatyckie, muzułmańskie państwo, w którym żyje niespełna 15 tys. (5 proc.) katolików. Ich wikariusz, abp Cornelius Sim, za miesiąc będzie kardynałem. W ten sposób Brunejczycy będą mieć jeden głos w wyborze papieża, podczas gdy sporo większe i „tradycyjnie katolickie” narody Irlandii, Słowacji, Węgier albo Litwy – ani jednego. Niezbadane są wyroki papieża Franciszka.

Peryferie dostają głos

Nominacja kardynała z Brunei to jeden z wielu przykładów otwierania się Kościoła na inne kultury przy jednoczesnej jego decentralizacji i deeuropeizacji. Franciszek już wcześniej mianował kardynałami hierarchów z Burkina Faso, Birmy, Tonga, Bangladeszu, Mauritiusa, Papui-Nowej Gwinei, Lesoto, Laosu, jak też z wielu krajów afrykańskich – dużych, ale z niewielkim odsetkiem katolickich mieszkańców.

Statystyki pontyfikatu dobrze pokazują tę tendencję: gdy na papieża wybierano biskupa Buenos Aires, kardynałowie z Europy stanowili jeszcze ponad połowę (52,1 proc.) elektorów. Teraz, po siódmym konsystorzu Franciszka (odbędzie się 28 listopada), będą w zdecydowanej mniejszości (42 proc.; zob. infografikę).

Nowe nominacje, ogłoszone już 25 października, wyraźnie wpisują się w ten trend. Jeśli spojrzymy tylko na listę kardynałów elektorów – a więc tych, którzy nie ukończyli 80 lat i będą uczestniczyć w konklawe – znajdziemy aż pięć (na dziewięć) nazwisk spoza naszego kontynentu (poza wspomnianym abp. Simem z Brunei Azję reprezentuje jeszcze abp Jose Advincula z Filipin, Afrykę abp Antoine Kambanda z Rwandy, Amerykę Południową abp Celestino Aós Braco z Chile, a Amerykę Północną abp Wilton Gregory z Waszyngtonu). Daje to łączną liczbę 128 elektorów, czyli... za dużo, aby wybory mogły się odbyć zgodnie z obowiązującym prawem. Na mocy konstytucji apostolskiej Pawła VI „Romano Pontifici eligendo” z 1975 r., potwierdzonej przez

LICZBA KARDYNAŁÓW-ELEKTORÓW PO 28 LISTOPADA 2020*

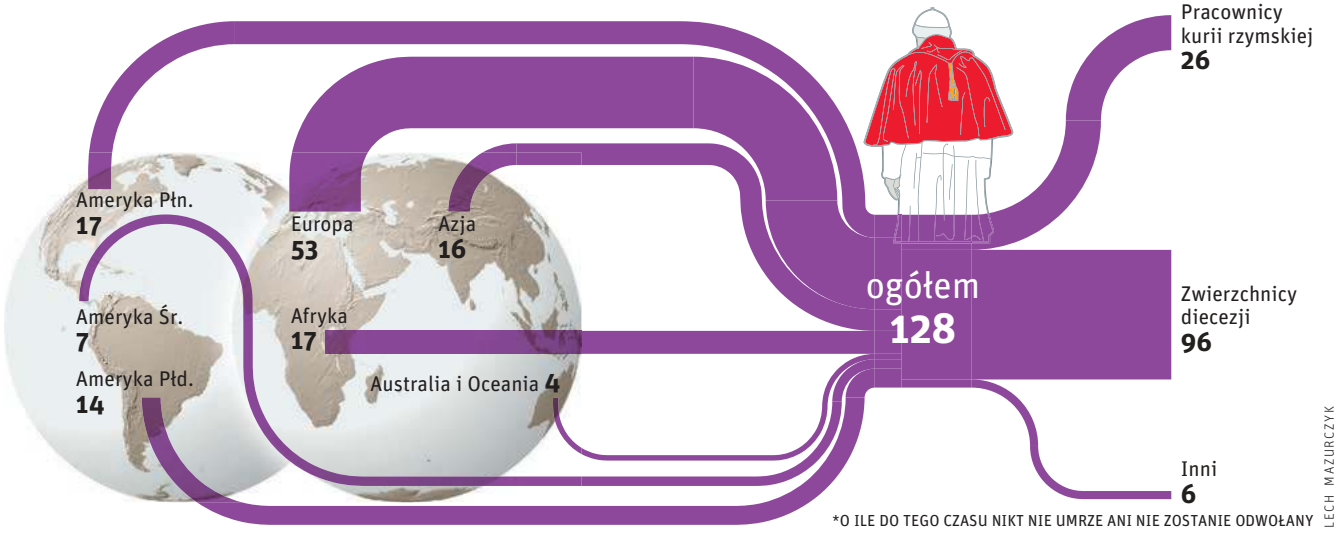

*O ILE DO TEGO CZASU NIKT NIE UMRZE ANI NIE ZOSTANIE ODWOŁANY

LECH MAZURCZYK

Jana Pawła II i Benedykta XVI, ma ich być maksymalnie 120. Jeśli Franciszek nie zmieni tych przepisów, będzie to oznaczało, że nie zamierza abdykować (ani umierać) przed kwietniem 2022 r., bo dopiero do tego czasu kolejnych ośmiu kardynałów przejdzie na emeryturę. Oczywiście o ile wcześniej któryś z elektorów nie umrze albo nie zostanie pozbawiony praw kardynalskich, co – jak wiadomo – też się zdarza.

Liczy się charakter

Gdy nieco ponad rok temu dokonywałem podobnych obliczeń, wnioski nasuwały się też podobne. Drugą, poza szukaniem na peryferiach, zasadą modelowania „czerwonych biretów" przez Franciszka jest kierowanie się cechami osobistymi i dorobkiem kandydata, a nie tradycją, która za „kardynalskie" uznaje kilka zasłużonych stolic biskupich.

W tegorocznych nominacjach po raz kolejny pominięci zostali hierarchowie z takich historycznie ważnych stolic, jak Mediolan, Wenecja czy Turyn we Włoszech albo Kraków, Gniezno czy Wrocław w Polsce. A kardynalskie kapelusze otrzymają np. abp Augusto Lojudice z niewielkiej Sieny czy o. Mauro Gambetti, gwardian franciszkańskiego klasztoru w Asyżu – zwykły zakonnik bez biskupich święceń.

Biskupowi Sieny warto przyjrzeć się z bliska. Ma 56 lat. Zanim objął stolicę toskańskiej diecezji, był jednym z biskupów pomocniczych Rzymu, odpowiedzialnym za obszary południowych przedmieść stolicy Włoch. Wystarczyły cztery lata, by dał się poznać jako duszpasterz ekonomicznych i społecznych peryferii – bliski był mu los najbiedniejszych mieszkańców, prostytutek pracujących przy drogach wiodących do Rzymu czy licznej w tamtych rejonach ludności romskiej. Wielokrotnie sam albo z klerykami papieskiego seminarium, gdy jeszcze był ich duchowym opiekunem, odwiedzał największy obóz romski w stolicy, gdzie – pomiędzy via Casilina a viale Togliatti – koczowało ponad 600 osób. Organizował dla nich pomoc materialną, zbierał wolontariuszy, którzy prowadzili zajęcia dla dzieci, chodził po urzędach, by wstrzymać eksmisje. Po likwidacji obozu (w 2010 r.) udało mu się znaleźć dom dla czterech dużych romskich rodzin i opracować projekt pomocy mieszkaniowej dla innych – gdyby miasto przekazało na ten cel niewielkie działki, 10-15 arów na trzy rodziny, przy wsparciu Caritasu i sponsorów udałoby się wybudować – siłą rąk samych zainteresowanych – domy modułowe. Pomysł jak dotąd nie doczekał się akceptacji.

W Sienie, do której trafił w maju 2019 r., zaczął od porządkowania spraw kurii i odbudowy zaufania po głośnych aferach finansowych, które nadszarpnęły reputację jego poprzednika. Sprawy ekonomiczne przekazał w ręce świeckich specjalistów, zintegrował działające przy biskupie, a dotąd niezbyt ze sobą współpracujące organizacje charytatywne. Nie zapomniał też o Romach, tworząc dla nich sieć mobilnych przychodni lekarskich.

Kardynał gay friendly

Jest mało prawdopodobne, by Lojudice pozostał w Sienie jako kardynał. Wszystko wskazuje, że papież przewidział dla niego jakąś funkcję w odnawianej rzymskiej kurii. Podobnie jak dla franciszkanina z Asyżu, o. Gambettiego – wiadomo, że będzie musiał opuścić klasztor i przenieść się do Watykanu.

Bo tłem dla tegorocznych nominacji kardynalskich jest – co do tego nie ma wątpliwości – reforma kurii rzymskiej. Pojawią się w niej też, po raz pierwszy w czerwonych szatach, jej dwaj dotychczasowi pracownicy. Pierwszy to abp Mario Grech, Maltańczyk ściągnięty dwa lata temu do Rzymu, najpierw na zastępcę, a po zdobyciu odpowiedniego doświadczenia – na sekretarza generalnego synodów biskupich. Tej nominacji można się było spodziewać. Synody biskupie są narzędziem szczególnie cenionym przez Franciszka, a czerwony kapelusz dla ich koordynatora jeszcze tę rangę uwypukli.

Nie jest też zaskoczeniem awans abp. Marcella Semeraro, nowego prefekta Kongregacji ds. Kanonizacji, który zastąpił na tym stanowisku odchodzącego ↦

↦ w niesławie i pozbawionego praw kardynalskich Angela Becciu. Wcześniej Semeraro był sekretarzem rady kardynałów (którą, od zmiennej liczby członków, można nazwać skrótem C-9-6-7), a całkiem ostatnio, jako autor wstępu do książki ks. Aristidego Fumagallego, teologa moralnego, „Miłość możliwa. Osoby homoseksualne a moralność chrześcijańska", był często gościem mediów, gdzie próbował rozwiać zamęt, jaki powstał po słowach papieża o potrzebie prawnej ochrony związków homoseksualnych, i przekonywał, że „z całą pewnością w przestrzeni publicznej związki homoseksualne powinny być prawnie usankcjonowane".

Kościelne Black Lives Matter

Innym nominatem, cenionym za odważne stawanie po stronie mniejszości, także seksualnych, jest abp Wilton Gregory z Waszyngtonu. Będzie pierwszym afroamerykańskim kardynałem w Stanach Zjednoczonych, co w czasie rasistowskich napięć jest wydarzeniem wręcz symbolicznym.

W USA tylko dwie ze 194 diecezji kierowane są przez czarnoskórych biskupów, a na blisko 37 tys. księży ledwie 250 jest Afroamerykanami. Rasizm w Kościele katolickim ma długą tradycję. Przez lata nie przyjmowano innych niż białych kandydatów do seminariów czy zakonów, a gdy wreszcie odstąpiono od tej praktyki, wyznaczano ich do gorszych prac i uniemożliwiano objęcie parafii.

Gregory został biskupem w 1983 r. Najpierw pomagał ordynariuszowi w Chicago, potem kierował diecezją w Belleville, a następnie, do zeszłego roku, w Atlancie. W Waszyngtonie zastąpił kard. Donalda Wuerla, oskarżanego o mataczenie w sprawie swego poprzednika, ekskardynała Theodore'a McCarricka, ukaranego za molestowanie kleryków. Nie trzeba więc wiele tłumaczyć, w jak trudnym momencie przejmował diecezję. Ale w czyszczeniu brudnych sprawek kleru miał już doświadczenie – jako przewodniczący Konferencji Biskupów USA doprowadził do przyjęcia w 2004 r. pierwszych przepisów o zapobieganiu wykorzystywaniu seksualnemu nieletnich, od czego rozpoczął się powolny proces uzdrawiania amerykańskiego Kościoła.

Pod koniec maja tego roku, gdy przez kraj przelewała się fala protestów po zabójstwie przez policję George'a Floyda, archidiecezja waszyngtońska włączyła się w ogólnokrajową akcję na rzecz zwalczania rasizmu, organizując serie wykładów i spotkań modlitewnych, a sam Gregory wielokrotnie stawał w obronie demonstrantów. Latem w bezprecedensowym komunikacie skrytykował katolickie sanktuarium Jana Pawła II w Waszyngtonie za udostępnienie świątyni prezydentowi Trumpowi, który składając tam ostentacyjną wizytę, próbował pozyskać głosy katolickiego elektoratu. „Papież Jan Paweł II z pewnością nie pochwalałby używania gazu łzawiącego i innych środków odstraszających po to, by zrobić sobie zdjęcie w miejscu kultu" – pisał Gregory, nawiązując do rozpędzenia przez policję, raptem dzień wcześniej, manifestantów sprzed kościoła episkopalnego, który prezydent także wybrał sobie na miejsce kampanii wyborczej.

Dług wdzięczności

Warto też nieco uwagi poświęcić nominacjom honorowym. Na niemal wszystkich konsystorzach (z wyjątkiem czwartego) Franciszek nadawał tytuł kardynała zasłużonym biskupom i księżom, którzy z racji wieku nie mogą już korzystać z pełni praw kardynalskich (i uczestniczyć w konklawe), ale ich nominacja traktowana jest jako wyraz wdzięczności Kościoła „za całokształt".

Jednym z nich jest ks. Enrico Feroci, wieloletni szef rzymskiego Caritasu i innych organizacji charytatywnych, człowiek, którego zmysł organizacyjny wykorzystywany był w Rzymie w czasie liczonych na setki przedsięwzięć kościelnych, z Wielkim Jubileuszem 2000 na czele. Swoją nominację kardynalską określił „jako hołd dla wszystkich zwykłych księży" – w czym wyczuwa się subtelną aluzję do faktu, że przez lata był pewnym kandydatem do biskupstwa, ale jego awans blokował nieustępliwie były wikariusz Rzymu kard. Camillo Ruini.

Innym zasłużonym dla Watykanu duchownym jest o. Raniero Cantalamessa, kapucyn i charyzmatyk, kaznodzieja Domu Papieskiego, który od blisko 40 lat głosi w Watykanie rekolekcje adwentowe i wielkopostne, nieustannie zaskakując słuchaczy pomysłowością w doborze tematów, oryginalnością ich przedstawienia i pięknem języka.

Nominacje Franciszka, zwłaszcza te elektorskie, decydujące o kształcie przyszłego konklawe i wyborze kolejnego papieża (zapewne zostanie nim któryś z tych 128 purpuratów), nie tylko wzmacniają „Franciszkowy rys" kolegium kardynalskiego, ale też skutecznie osłabiają, a może i wręcz uniemożliwiają frakcyjność i kunktatorstwo podczas następnego konklawe. Nie ma już mocnych stronnictw. Środowisko kurialne jest nie tylko mało liczne (26 głosów), ale i niejednorodne. Mianując kardynałami ludzi z różnych stron świata, o odmiennej mentalności, kulturze i historii życia, Franciszek przygotowuje w Kościele rewolucję, która odbędzie się nawet po jego, oby nieprędkim, odejściu.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KONSYSTORZ • 28.11.2020 r.

• **Kardynałowie elektorzy** (od lewej):

abp Jose Advincula (Filipiny)
abp Celestino Aós Braco (Chile)
o. Mauro Gambetti (Włochy)
abp Mario Grech (Malta)
abp Wilton Gregory (USA)
abp Antoine Kambanda (Rwanda)
abp Augusto Lojudice (Włochy)
abp Marcello Semeraro (Włochy)
abp Cornelius Sim (Brunei)

• **Kardynałowie nieelektorzy:**

o. Raniero Cantalamessa (Włochy)
bp Felipe Arizmendi Esquivel (Meksyk)
ks. Enrico Feroci (Włochy)
abp Silvano Tomasi (Włochy)

IL SISMOGRAFO / STUDIO TP

Po raz kolejny pominięci zostali hierarchowie z takich historycznie ważnych stolic, jak Mediolan, Wenecja czy Turyn we Włoszech albo Kraków, Gniezno czy Wrocław w Polsce.

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Ks. Mieczysław Puzewicz, październik 2018 r.

Oczy, uszy, ręce, usta

MARIUSZ SEPIOŁO

O bezdomnych mówi „nasi". Oni o nim rzadziej mówią „ksiądz", częściej po prostu „Mietek".

Od młodych lat nie zgadza się na branie rzeczywistości taką, jaka jest. W liceum w Kołobrzegu razem z ośmioma kumplami rozdaje ulotki wzywające do bojkotowania wyborów, za co grozi mu wyrzucenie ze szkoły. W jego domu odbywa się nawet rewizja, ale „smutni panowie" muszą się zadowolić tylko wydrukowanym w Portugalii egzemplarzem Biblii. Dyrekcja liceum urządza apel, krnąbrnych chłopców piętnuje za próbę „rozmontowania Polski Ludowej", a kilka dni później o wyczynach licealistów mówi nawet Radio Wolna Europa.

Z domu rodzinnego w małej wsi Świelubie w Zachodniopomorskiem Mieczysław Puzewicz wynosi też inną, konstytutywną dla siebie cechę: wrażliwość na tych, którzy z różnych powodów znaleźli się w gorszej sytuacji. – Rodzice byli ludźmi, którzy zwracali uwagę na słabszych i potrzebujących. Zdarzało się, że przyjmowali ich w domu, pomagali jak tylko mogli – opowiada dziś.

Kiedy w 1979 r. do Polski na pierwszą pielgrzymkę przyjeżdża Jan Paweł II i na placu Zwycięstwa wygłasza słynną homilię, w ludziach budzi się nowa nadzieja. – Rok 1980, karnawał Solidarności i ten wielki entuzjazm, wszystko, co działo się później, było pokłosiem słów Jana Pawła II – uważa ks. Puzewicz. Nie tylko w Polsce, ale także w jego życiu.

Początki

Przez chwilę planuje studiować w Szczecinie, a jego drogą zawodową ma być rolnictwo. Szybko jednak orientuje się, że nie o to mu w życiu chodzi. To wtedy po raz pierwszy – za sprawą pewnej wspólnoty z miejscowości Lipie koło Świdwina – styka się z osobami uzależnionymi od narkotyków. W Lipiu pojawia się nawet Marek Kotański, by zobaczyć, jak młodym entuzjastom idzie pomaganie narkomanom. Z założycielem Monaru ks. Puzewicz będzie współpracował także po latach w Lublinie.

W końcu wybiera „jedyny wolny uniwersytet od Łaby do Władywostoku". Studiuje teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. To kolejne z wielu kształtujących go doświadczeń. Otwartość i tolerancja, których tam doświadcza, będą dla niego drogowskazem także w późniejszych latach. Kiedy po pomoc przychodzi do niego człowiek, Puzewicz nie pyta o pochodzenie i wyznanie. Chce poznać historię jego życia, zrozumieć, co złożyło się na jego obecną sytuację, i poszukać sposobów, by pomóc mu wyjść z kryzysu. O wyznanie nie pyta też wolontariuszy, z którymi dziś pracuje. Sam też doświadczy trudnych chwil. W 1980 r. zostanie aresztowany w Sandomierzu na procesie Jana Kozłowskiego, działacza Solidarności Rolników Indywidualnych (razem m.in. z o. Ludwikiem Wiśniewskim).

Jeszcze w latach 80. i nadal jako człowiek świecki angażuje się w pomoc tym, których władze – i społeczeństwo – zdają się nie zauważać. Przy kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Lublinie zakłada grupę pomocy osobom niepełnosprawnym Siloe. Tworzy też grupę abstynentów od alkoholu. Angażuje się w wolontariat – po wybuchu w elektrowni w Czarnobylu asystuje przy dzieciach z chorobami popromiennymi w Szpitalu Dziecięcym w Lublinie.

Powołanie

– Mówi pan: „późne powołanie". Ja wolę mówić: „dojrzałe" – uśmiecha się ks. Mieczysław Puzewicz. Ma 29 lat, kiedy w 1989 r. wstępuje do seminarium, po roku już jest wyświęcony. – Powołanie to nie był jeden moment, decydująca o wszystkim chwila. Nie, niebo się nade mną nie rozstąpiło. To był proces.

Podkreśla, że każde kapłaństwo powinno mieć swoją własną treść, własny pomysł. – Ja postanowiłem swoje kapłaństwo wypełnić pomocą potrzebującym – mówi ks. Puzewicz. W 1988 r. współorganizuje w Łęcznej cykl spotkań z muzyką i rozmowami „Święto Młodych". To właśnie wokół nich gromadzi się grupa ludzi, z którymi ks. Puzewicz postanowi w 1991 r. reaktywować Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, działające do dziś.

Puzewicz, od początku lat 90. diecezjalny duszpasterz młodzieży, zostaje rektorem kościoła św. Ducha w Lublinie. Kościół jest w sercu miasta, przy Krakowskim Przedmieściu. Wokół kamienice, w których na przełomie lat 80. i 90. życie potrafi dać w kość. Rodzą się społeczne dysfunkcje, zwłaszcza w „nowych" czasach niespotykane w takiej skali. Ks. Mieczysław wpada na pomysł stworzenia dla ↦

↦ tamtejszych dzieci świetlicy, w której będą mogli spędzić czas inaczej niż w ciemnych bramach i odrapanych podwórkach.

Potem postanawia swoje działania rozszerzyć. – Któregoś dnia jechałem samochodem i w radiu usłyszałem informację o tym, że w Lublinie ostatniej zimy zamarzło 60 osób – opowiada. – Ta informacja mną wstrząsnęła. Jak to, 60 osób? W XXI wieku? Od kolegi lekarza dowiedziałem się, że aby zapobiec takim zdarzeniom, osoby próbujące przetrwać zimę np. w pustostanach potrzebują odpowiedniej ilości kalorii, najlepiej wieczorem. Tak powstał pomysł na Gorący Patrol, który wieczorami dociera do bezdomnych z ciepłym jedzeniem. Ubiegłej zimy w Lublinie nie zamarzł ani jeden bezdomny.

Od Gorącego Patrolu jest już blisko do idei jednej dużej instytucji zrzeszającej wolontariuszy pomagających wszystkim w potrzebie, czyli najpierw Centrum Duszpasterstwa Młodzieży, a potem Centrum Wolontariatu w Lublinie. Ostatnie współtworzy z Jackiem Wnukiem, lubelskim społecznikiem, przez wiele lat prezesem Centrum.

Energia

– To było w 2005 r. Byłem studentem prawa. Spacerując po Lublinie trafiłem na „potykacz" z informacją o naborze do Centrum Wolontariatu – opowiada Tomasz Danielewicz, wolontariusz, przy Centrum od 15 lat, kiedyś specjalista od marketingu w lubelskim Radio eR, kolejnym projekcie ks. Puzewicza (kierował nim w latach 2011-17). – Postanowiłem wybrać się na pierwsze spotkanie. Razem z innymi wolontariuszami przeszliśmy szkolenie i wyjechaliśmy na pierwszy Gorący Patrol. Spotykałem różnych ludzi, często świetnie wykształconych, byłych biznesmenów, oficerów. Inteligentne osoby, na których los złożyło się wiele różnych czynników.

Na Tomaszu spotkanie z bezdomnymi również zrobiło wrażenie, choć osoby dotknięte takim kryzysem poznał już wcześniej, w innych okolicznościach. – Podczas mojego wyjazdu na Wyspy Brytyjskie poznałem Polaków, którzy z różnych powodów stracili dach nad głową – mówi. – Zrozumiałem, że nie ma jednej definicji „bezdomnego", są za to zawsze indywidualne losy każdego człowieka. Tak naprawdę może to spotkać każdego z nas, także mnie. Wystarczy jedna chwila, jeden błąd albo niezależne ode mnie zrządzenie losu i też mogę trafić na ulicę.

KS. MIECZYSŁAW PUZEWICZ:

Nauczyłem się, że oprócz chleba i dachu nad głową osoby dotknięte bezdomnością przede wszystkim potrzebują uwagi.

Pytam, jakie jest dla wolontariatu największe wyzwanie. – Chyba to, by nie działać rutynowo – mówi. – W pewnym momencie można poczuć się pewnie i w konkretnych sytuacjach reagować automatycznie, spodziewając się tego samego efektu.

Czy to oznacza, że nawet jeśli wolontariusza dotyka wypalenie, musi ciągle na nowo szukać w sobie energii? – Co tydzień mieliśmy spotkania, na których każdy mógł się wygadać, podzielić tym, co go spotkało, co widział i słyszał – mówi Tomasz. – Mogliśmy też przyjść do ks. Mietka i po prostu pogadać. W każdej sytuacji i przy każdym napotkanym bezdomnym uczyliśmy się czegoś nowego.

Wolność

Przewodnikiem w sprawach duchowych i duszpasterskich będzie dla ks. Puzewicza abp Józef Życiński. Od 1997 r. do 2011 r. pracuje jako jego rzecznik prasowy. „Otwartość abp. Życińskiego na ludzi wyzwoliła otwartość w Mietku" – powie wieloletni współpracownik ks. Mieczysława, lubelski społecznik Jacek Wnuk. „Już po śmierci abp. Józefa Życińskiego (2011 r.) zrobiłem mały remanent w moim archiwum i okazało się, że trzy czwarte wystąpień dla dziennikarzy, o które prosił, dotyczyło obrony różnych ludzi" – powie o swoim szefie ks. Puzewicz.

Czy istnieje jedna metoda, według której należy postępować, żeby skutecznie i uczciwie pomóc drugiemu człowiekowi? – Zawsze mówię, że wszystko, co potrzebne w wolontariacie, mam ze sobą – tłumaczy. – Oczy, żeby dostrzegać to, czego nie widzą inni. Uszy, by uważnie słuchać każdej historii, a czasem wsłuchiwać się nawet w to, czego osoba potrzebująca pomocy nie chce powiedzieć na głos. Usta, żeby przekazywać wsparcie. I ręce, by bezdomnym czy więźniom podawać rękę. W Centrum Wolontariatu nie mówimy o nich „bezdomni". Mówimy „nasi".

Specyfika bezdomności, przyznaje, zmienia się z biegiem lat. – Widzę, że coraz częściej dach nad głową tracą ludzie młodzi – mówi ks. Puzewicz. Bezdomność spowodowana wyjściem z więzienia również jest coraz częstsza. – Dziś osoba opuszczająca więzienne mury często pozostaje sama, bez pracy, mieszkania i nadziei na poprawę sytuacji. Często więc wraca do starych nawyków i dawnych środowisk. Osadzeni przez cały okres wyroku tęsknili za wolnością, ale kiedy wychodzą, często okazuje się, że nic poza wolnością nie mają.

Dawniej relacje rodzinne były na tyle silne, że trwały także podczas osadzenia członka rodziny w więzieniu. Dziś bywa, że wyrok oznacza przerwanie więzów i pozostawienie bliskiego na pastwę losu. – Dlatego tak ważne jest zadbanie o to, żeby ci, którzy opuszczają więzienne mury, mieli gdzie się podziać i czym zająć ręce – tłumaczy ksiądz.

Choć zmieniają się statystyki i przyczyny, dla których ludzie lądują na ulicach, to nie zmienia się jedno: potrzeba poczucia godności. – Wie pan, po latach nauczyłem się, że oprócz chleba i dachu nad głową osoby dotknięte tym kryzysem przede wszystkim potrzebują uwagi. Chcą czuć się potrzebne i wysłuchane – mówi Puzewicz.

Droga

Jednym z jego sztandarowych projektów jest „Nowa Droga": były więzień przez wiele dni maszeruje polskimi szlakami św. Jakuba z towarzyszem poznanym chwilę przed wyruszeniem z pierwszego przystanku – Lublina. Tak dobrana dwójka nocuje w zaprzyjaźnionych parafiach, a po drodze nie tylko pokonuje kilometry, ale przede wszystkim rozmawia i wymienia się doświadczeniami. To forma resocjalizacji, której finałem ma być zatrudnienie osadzonego w wybranym zakładzie pracy.

Latem 2015 r. spotykam jedną z takich par – byłego więźnia Piotrka i jego towarzysza, coacha Przemka. Piotrek wspominając czasy sprzed wyroku i odsiadki stwierdza: – Jakbym mógł spotkać siebie samego z tamtego okresu, tobym kolesiowi sprzedał takiego kopa w tyłek, że by się otrząsnął.

Potem śledzę jego losy na Facebooku i widzę, że świetnie sobie radzi. W rękach

ma fach: jest wziętym tapicerem. Ze zniszczonego skórzanego fotela potrafi zrobić cacko. Droga zmieniła też Przemka. Oprócz pracy coacha odnalazł nową misję: pomoc niepełnosprawnym. Co chwilę na Facebooku pisze, że choć nieraz jest ciężko i pod górkę, to chyba jest szczęśliwy.

Solidarność

Nie wszystkim bezkompromisowość ks. Puzewicza odpowiada. Kilka lat temu na swoim blogu opisuje sen, w którym osoby o różnych orientacjach seksualnych znalazły się w niebie. Notkę podchwytują media, a Puzewiczowi dostaje się m.in. od Tomasza Terlikowskiego, który tekst nazywa „homoherezją w dość wulgarnym wydaniu". „Liczę się z tym, że mam wielu krytyków i oni mają do tego prawo. Trzeba się jednak odwołać do ewangelii i tego, ilu ludzi krytykowało Chrystusa – jedni twierdzili, że ma złego ducha w sobie, drudzy, że odszedł od zmysłów. Przyjmuję spokojnie, że ktoś może mieć inne zdanie. Myślę, że nikogo nie można odrzucać i nikomu nie możemy odmówić prawa do zbawienia. To wydaje mi się oczywiste w imię wierności ewangelii" – mówi wtedy Puzewicz „Gazecie Wyborczej".

W jednym z artykułów współpracownicy przyznali, że bywa trudny. Czy ks. Mietek jest cholerykiem? – Raczej jest to człowiek nastawiony na skuteczność i wymagający tej skuteczności od innych – mówi Tomasz Danielewicz.

Pytam ks. Puzewicza o plany na przyszłość. Jest w trakcie współtworzenia domu dla uchodźców, działającego w podobny sposób, jak domy pomocy bezdomnym. – Oczywiście, zdarzają się przypadki niechęci czy agresji. Ale my, Polacy, jeśli coś lepiej poznamy, to zaczynamy to akceptować. Także inne wyznanie czy ciemniejszy kolor skóry.

Nadzieję pokłada także w młodym pokoleniu. W Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży działa już kolejna generacja młodych. – Z ks. Mietkiem spotykamy się od czasu do czasu przy okazji różnych działań, wspieramy się – mówi Martyna Gieleta, prezes stowarzyszenia. Do KSM dołączyła w 2009 r. – Prowadzimy warsztaty, są medytacje słowa Bożego. W tym roku przyjmiemy 60 osób. W nich jest nadzieja. Są weseli, głośni, szukają dla siebie przestrzeni, chcą działać. Więc chyba jest dobrze. Świat nie zgłuszył ich energii, wręcz przeciwnie: myślę, że te trudne czasy sprawiły, że stają się ludźmi świadomymi społecznie.

Puzewicz wierzy, że narodzi się coś na kształt nowej Solidarności. Podczas ostatniej brutalnej kampanii wyborczej na swoim blogu pisał: „No i teraz, 40 lat później, wraca pytanie o solidarność, o los ludzi bezdomnych, bardzo ubogich, o uchodźców, o niezadbane dzieci na ulicach, o pozostawionych sobie samym więźniów wychodzących z zakładów karnych, o samotnych starców, których dzieci robią kariery daleko od nich, o ludzi pogrążających się coraz bardziej w depresjach. Wraca pytanie o Polskę, Polskę, która o to wszystko się upomni".

– Ciągle mam wiarę, że po tym, co spotkało świat w ostatnim czasie, po światowej pandemii i w kryzysie nią spowodowanym, dojdzie w nas do jakiejś zmiany – mówi.

Kiedy Polska podczas epidemii zamknęła się na klucz, na ulicach pozostali bezdomni. Bez środków do życia i dostępu do miejsc, w których wcześniej mogli się ogrzać i umyć. Zamknięto schroniska, ale też choćby galerie handlowe z publicznymi łazienkami. Kilku bezdomnych w Lublinie zamieszkało w jednym z domów pomocy, które zapoczątkował ks. Puzewicz.

Pierwszy dom powstał przed Bożym Narodzeniem, jeszcze przed epidemią, drugi przed Wielkanocą. Dziś w domach mieszka po kilka osób. Mieszkańcy sprzątają, robią zakupy, gotują. Bo idea jest taka, by z kryzysu wychodzić nie tylko poprzez zapewnienie miejsca do spania, ale poprzez stworzenie wspólnego domu z prawdziwego zdarzenia.

Centrum Wolontariatu nadal prowadzi jadłodajnię dla bezdomnych i ubogich, przez którą rocznie przewija się około 600-700 osób potrzebujących. Od początku jesieni po raz kolejny zaczął działać też Gorący Patrol. Bo kiedy robi się zimno, bezdomność staje się śmiertelnie niebezpieczna.

Są też chwile satysfakcji. – Ostatnio jeden z mężczyzn, któremu udało się wyjść na prostą, poprosił mnie o poświęcenie samochodu – mówi ks. Puzewicz. – Dla byłego bezdomnego kupienie własnego samochodu za 1600 zł było życiowym przełomem. Potwierdzeniem, że jego ciężka praca miała znaczenie, sens. Wie pan, jaki on był z tego auta dumny?

© MARIUSZ SEPIOŁO

Korzystałem m.in. z tekstu „Choleryk wrażliwy na innych ludzi" Moniki Zawadki, sylwetki ks. Puzewicza autorstwa Tomasza Kowalewicza w lubelskiej „Gazecie Wyborczej", wywiadów w Deon.pl i „Magazynie Kontakt".

pomóż → PMM.ORG.PL

Polska Misja Medyczna

130 mln osób
na świecie jest zagrożonych niedożywieniem.

COVID-19

REKLAMA

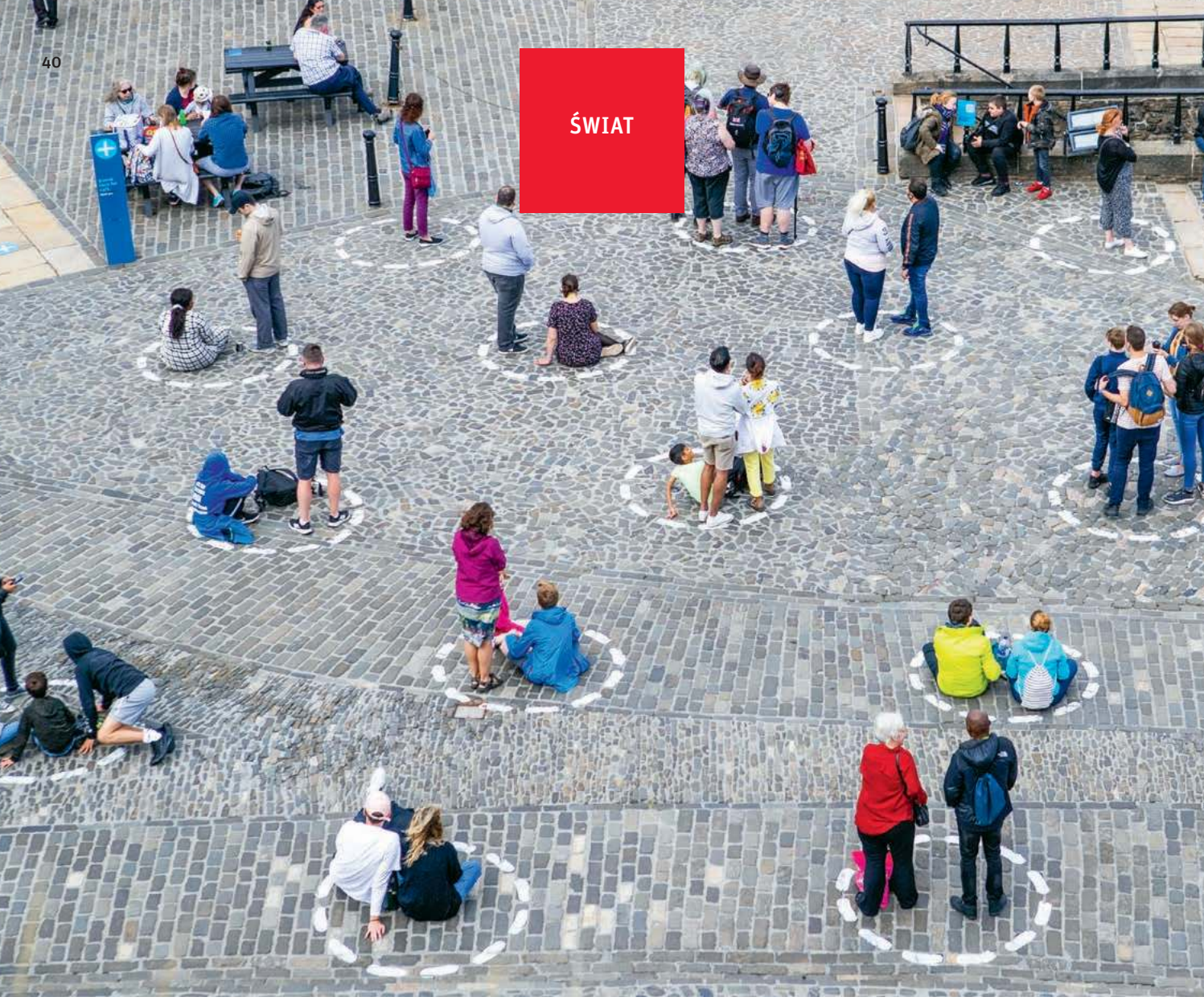

KTO URATUJE ŚWIĘTA

Jesienna fala epidemii idzie przez Wielką Brytanię. Wyostrza stare podziały i ukazuje nowe.

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Na londyńskim lotnisku Heathrow w kolejce do kawiarni popularnej sieci stoi kilka osób. W zachowaniu dystansu pomagają duże kropki na posadzce. Są obowiązkowe maseczki i jest specjalny kod QR, który każdy z gości musi zeskanować za pomocą aplikacji w swoim telefonie – to część systemu śledzenia i ostrzegania o bliskim kontakcie z osobą zakażoną. Jeśli ktoś nie chce lub nie może zeskanować kodu, pozostaje mu kawa na wynos.

Rządowa aplikacja ma być magiczną bronią w walce z wirusem. Jest też obiektem krytyki, bo nie zawsze działa tak, jak powinna. Problem mają np. osoby ze starszymi modelami telefonów i seniorzy, czasem gorzej radzący sobie z nowymi technologiami. Jednak samego stosowania aplikacji – obowiązkowego w restauracjach i kawiarniach Anglii oraz Walii – raczej się nie podważa.

Jak wszędzie w Europie, także w 67-milionowej Wielkiej Brytanii sta-

JANE BARLOW / EAST NEWS

Turyści zwiedzający zamek w Edynburgu stoją w wyznaczonych odstępach sanitarnych. Edynburg, Szkocja, 20 sierpnia 2020 r.

tystyki nowych infekcji idą w górę: utrzymują się na poziomie ok. 20 tys. dziennie. Ale choć sytuacja nie jest tak dramatyczna jak w liczącej niemal tyle samo mieszkańców Francji (tu liczba nowych infekcji przekroczyła 45 tys. dziennie), na spokój nie można sobie pozwolić.

Stąd kolejne restrykcje wprowadzane przez rząd. Lub raczej: przez rząd w Londynie oraz rządy lokalne, bo w każdej z części Zjednoczonego Królestwa – Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii Północnej – zestaw przepisów wygląda trochę inaczej i cały system wydaje się dość skomplikowany. Punktowo wprowadzane są dodatkowe lockdowny, np. w północnej Anglii. I jak wszędzie główne pytanie brzmi: czy to wystarczy, by zatrzymać dynamikę epidemii?

Brytyjczycy zastanawiają się już także, co ze świętami Bożego Narodzenia: czy będą mogli spędzić je jak zwykle, z bliskimi i przyjaciółmi? Prognozy medycznych doradców rządu nie dają wiele nadziei. Sugerują, że należy przygotować się na kolejne restrykcje.

Kolory epidemii

Mapa Anglii, wszechobecna w mediach, pstrzy się kolorami: zielonym, żółtym i czerwonym. Albo żółtym, pomarańczowym i czerwonym, bez zielonego, zależnie od fantazji grafika. Tylko czerwony musi być, ten najbardziej alarmujący z kolorów: oznacza regiony największego zagrożenia i najostrzejszych restrykcji.

Od połowy października w Anglii obowiązuje podział na strefy: zagrożenia średniego, wysokiego i bardzo wysokiego. W tej ostatniej ograniczenia idą najdalej: zamknięte są puby, nie wolno w ogóle spotykać się w zamkniętych pomieszczeniach, nawet w prywatnych ogrodach; należy też unikać wjazdu do takiej strefy i opuszczania jej. Na pierwszy ogień poszedł Liverpool, potem kolejne miasta w północnej Anglii. Pod koniec października w czerwonych strefach były niektóre miasta w regionach Lancashire, South Yorkshire i Midlands oraz cały rejon Greater Manchester. Miliony ludzi.

Gdyby jednak spojrzeć szerzej, na mapę nie tylko Anglii, lecz całej Wielkiej Brytanii, kolorów będzie więcej. Bardziej zniuansowany, pięciostopniowy system stref przyjęła Szkocja (obowiązuje od listopada). Jednolite kolorystycznie są Irlandia Północna i Walia.

Ta ostatnia poszła najdalej i na dwa tygodnie wprowadziła pełen *lockdown*. Walijczycy nie mogą opuszczać domów bez ważnego powodu, zamknięte są kina, biblioteki, zakłady fryzjerskie, a także te sklepy, które nie sprzedają artykułów pierwszej potrzeby. Zakaz sprzedaży innych artykułów niż te niezbędne do przeżycia (w praktyce to głównie żywność i leki) zmusił supermarkety do zasłonięcia lub odgrodzenia półek z ubraniami czy sprzętem elektronicznym.

Prowadziło to do kuriozalnych dyskusji, jak wymiana zdań między telewizyjną dziennikarką a walijskim ministrem zdrowia: ona dociekała, dlaczego alkohol można kupić, a suszarki do włosów już nie. „Proszę mi wierzyć, dla mnie suszarka jest niezbędna" – argumentowała, wskazując swoje długie włosy. Szef walijskiego rządu lokalnego tłumaczył potem, że chodzi o to, by restrykcje były takie same dla wszystkich i nie stawiały supermarketów w lepszej pozycji wobec np. małych sklepów ze sprzętem elektronicznym, całkowicie zamkniętych.

Król Północy...

Widać już, że podczas wiosennej fali pandemii łatwiej było przekonać Brytyjczyków do respektowania obostrzeń – choć już wtedy zamykanie sklepów, firm czy restauracji było trudne, także dla ich właścicieli i pracowników. Wielu z nich kolejnego lockdownu może nie przetrwać, więc decyzje rządu są teraz częściej kwestionowane.

Tak stało się w Manchesterze, gdzie burmistrz Andy Burnham odmówił wprowadzenia w rejonie Greater Manchester restrykcji – wynikających z faktu przynależności do czerwonej strefy – bez rekompensaty finansowej. Negocjacje trwały 10 dni, po których się załamały: w chwili, gdy obie strony, rządową i lokalną, dzieliło już tylko 5 mln funtów (burmistrz prosił o 65 mln, a premier Boris Johnson skłonny był dać 60 mln). Ostatecznie restrykcje zostały wprowadzone odgórnie przez rząd. Wsparcie finansowe ma być dostępne, ale pozostały gorzkie słowa pod adresem rządu, że „niszczy społeczności", „łamie ducha" i „prowadzi wojnę" przeciw mieszkańcom regionu.

Burmistrz Burnham – doświadczony i ambitny polityk opozycyjnej Partii Pracy, krytyk „londyńskiej perspektywy" w polityce – już wcześniej dorobił się przydomka „Król Północy" (zapożyczonego z serialu „Gra o tron"). Teraz do licznych memów, którymi zaowocowała próba sił między nim a premierem, doszedł i taki: „Północ pamięta" (z tego samego serialu). Bo czas polityczno-gospodarczych rozrachunków niewątpliwie nadejdzie. Na razie rząd Johnsona coraz bardziej traci na popularności – i to wszędzie, nie tylko w północnej Anglii.

Inaczej niż Burnham postąpił Joe Anderson, burmistrz Liverpoolu (także strefa czerwona): zadeklarował, że zgodziłby się nawet na dalej idące ograniczenia, byle tylko wyhamować transmisję ↦

wirusa. Pandemia doświadczyła go osobiście: niedawno zmarł jego brat, zaledwie osiem godzin po tym, jak został przyjęty do szpitala. „Nie mieliśmy nawet szansy, aby powiedzieć sobie: do widzenia" – mówił Anderson.

...i królowa Szkocji

„Nie wierzę, że możemy na dłuższą metę funkcjonować w ten sposób jako kraj w czasie pandemii – mówił gorzko Andy Burnham. – Potrzebujemy jedności narodowej". Choć odnosił się do swojego regionu – jego zdaniem nie dość wspieranego przez rząd – to pod tym stwierdzeniem podpisałoby się zapewne wielu Brytyjczyków. Jedność to coś, czego w Zjednoczonym Królestwie coraz bardziej brakuje.

Weźmy Szkocję. Jeszcze niedawno wydawało się, że Szkoci będą musieli odłożyć na jakiś czas swoje żądanie przeprowadzenia kolejnego referendum niepodległościowego. Sondaże wskazywały, że zwolennicy i przeciwnicy niepodległego państwa niemal idealnie się równoważyli. Zmieniła to epidemia, albo ściślej: działania szefowej szkockiego rządu lokalnego Nicoli Sturgeon, postrzegane jako wyjątkowo skuteczne. Według ostatniego z szeregu sondaży Ipsos MORI dziś za niepodległością głosowałoby już 58 proc. mieszkańców Szkocji. Szczególnie wysokie poparcie, sięgające niemal 80 proc., odnotowuje się wśród ludzi młodych, z których wielu nie mogło głosować w referendum w 2014 r.

Wpływ na taką radykalizację postaw ma zapewne także brexit (Szkocja głosowała za pozostaniem w Unii Europejskiej). Ale główny czynnik to sposób, w jaki Nicola Sturgeon radzi sobie z pandemią. Aż 72 proc. ankietowanych uważa, że dobrze kieruje ona rządem – Boris Johnson o takim wyniku nie może nawet marzyć. Co więcej, nawet większość (55 proc.) tych, którzy deklarują się jako przeciwnicy niepodległości, dobrze ją ocenia (Johnsona tylko 33 proc.). Być może to jej spokój, zdecydowanie (nawet przy podejmowaniu decyzji o ostrych ograniczeniach, ostrzejszych niż w Anglii) i konsekwencja pokazały, że w sytuacji kryzysowej Szkocja może radzić sobie lepiej niż reszta kraju.

Rosnące poparcie dla niepodległości Szkocji miało już zaalarmować rząd w Londynie i uświadomić premierowi, że samo powtarzanie „nie, nie" na żądania kolejnego referendum może nie wystarczyć. Pytanie, co Johnson może zrobić, by ten trend odwrócić.

Walijski smok

Nie tylko Londyn pilnie obserwuje nastroje w Szkocji. Na to, co dzieje się na Północy, uważnie patrzą też Walijczycy. Jak dotąd ruch niepodległościowy jest w Walii nieporównanie słabszy: możliwe jednak, że pandemia zmieni i tę perspektywę.

Każda z części Zjednoczonego Królestwa mogła bowiem wprowadzać – i wprowadzała – własne regulacje sanitarne, w tym zasady dotyczące kwarantanny osób przyjeżdżających z zagranicy. Przypomniało to mieszkańcom poszczególnych krain Zjednoczonego Królestwa, że w wielu obszarach mogą być niezależni od polityki Londynu.

Utrzymaniu ducha jedności nie pomaga przy tym fakt, że działania rządu Johnsona są postrzegane jako chaotyczne i niekonsekwentne. Na tym tle nie tylko Nicola Sturgeon, ale też władze Walii wypadają lepiej. Sondaże są tu jednoznaczne: 78 proc. Walijczyków uważa, że ich rząd lokalny dobrze radzi sobie z pandemią, a 64 proc. sądzi, że rząd w Londynie radzi sobie źle. Co więcej, aż 72 proc. ankietowanych deklaruje, że nie ufa parlamentowi w Westminsterze, iż zadba on o interesy Walii.

Istotne jest, że odczucia te podziela całe walijskie społeczeństwo, bez względu na sympatie polityczne. Czy kiedyś one znikną, wraz z wirusem? Rhiannon Lucy Cosslett, walijska felietonistka dziennika „Guardian", zauważa: „COVID-19 pokazał Walii, jak samostanowienie i autonomia mogłyby wyglądać, i jest to inspirujące. W czasach wielkiego lęku i niepewności posiadanie polityków, którym można ufać, nie jest drobnostką i łatwo się o tym nie zapomina".

Nakarmić dzieci

W połowie października Walijczycy postąpili inaczej niż władze w Londynie w jeszcze jednej istotnej sprawie. Parlament lokalny zdecydował, że podczas każdych ferii i przerw świątecznych aż do Wielkanocy potrzebujący uczniowie w dalszym ciągu będą dostawać darmowe posiłki, tak jak dostawali je dotąd w szkołach. Podobnie jest w Szkocji i Irlandii Północnej.

Tymczasem rząd Johnsona odrzucił propozycję wsparcia dzieci z angielskich szkół podczas obecnej przerwy semestralnej i późniejszych ferii świątecznych. Wiosną, gdy szkoły były zamknięte, dzieci korzystające wcześniej z darmowych posiłków otrzymywały bony żywnościowe. Dzięki kampanii znanego piłkarza Manchester United Marcusa Rashforda, akcję tę przedłużono na okres letnich wakacji.

Rashford sam kiedyś, jako dziecko, korzystał z darmowych obiadów i wie, jak ważny jest ten szkolny posiłek dla dzieci, których rodzice z powodu pandemii stracili pracę, są chorzy lub zmagają się ze śmiercią bliskich. Jesienna fala najmocniej uderza w najuboższe rodziny i według jego szacunków do żywnościowego wsparcia kwalifikuje się już ponad 2 mln dzieci.

Jednak rząd w Londynie nie zgodził się teraz na bony czy posiłki. Rashford się nie poddał: na jego apel w akcję darmowych posiłków włączyły się bary i restauracje w całym kraju, a finansowo wsparli ją inni piłkarze i trenerzy.

Skala tej pomocy jest olbrzymia i pokazuje, że w pewnych kwestiach jedność jest możliwa. Petycję w sprawie darmowych posiłków podpisało już prawie milion osób. Być może Johnson ugnie się pod taką społeczną presją. Na razie zapewnił: „Nie chcemy widzieć głodnych dzieci tej zimy, w te święta. Z pewnością nie na skutek braku uwagi rządu".

Mikołaj dostanie zgodę

No właśnie – święta. Pierwsze obawy, co będzie z Bożym Narodzeniem, pojawiły się jeszcze pod koniec września, gdy wprowadzono zasadę, że w domu nie może spotkać się więcej niż sześć osób (nie dotyczy to stałych domowników). Jak to pogodzić z rodzinnym świątecznym obiadem? Od tego czasu restrykcji przybywa, a pomyślnych prognoz brak. Wątpliwości nie pozostawiła Nicola Sturgeon: przyznała już, że w Szkocji Boże Narodzenie nie będzie takie jak zawsze. Przy okazji podkreśliła, że nie będzie mówić ludziom tego, co chcą usłyszeć („tak jak to robią politycy"), tylko po to, aby ich później rozczarować.

Pewnym pocieszeniem może być zapewnienie Nicoli Sturgeon skierowane do dzieci: że żadne restrykcje nie uniemożliwią Świętemu Mikołajowi dostarczenia im prezentów, gdyż Mikołaj jest „kluczowym pracownikiem".

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

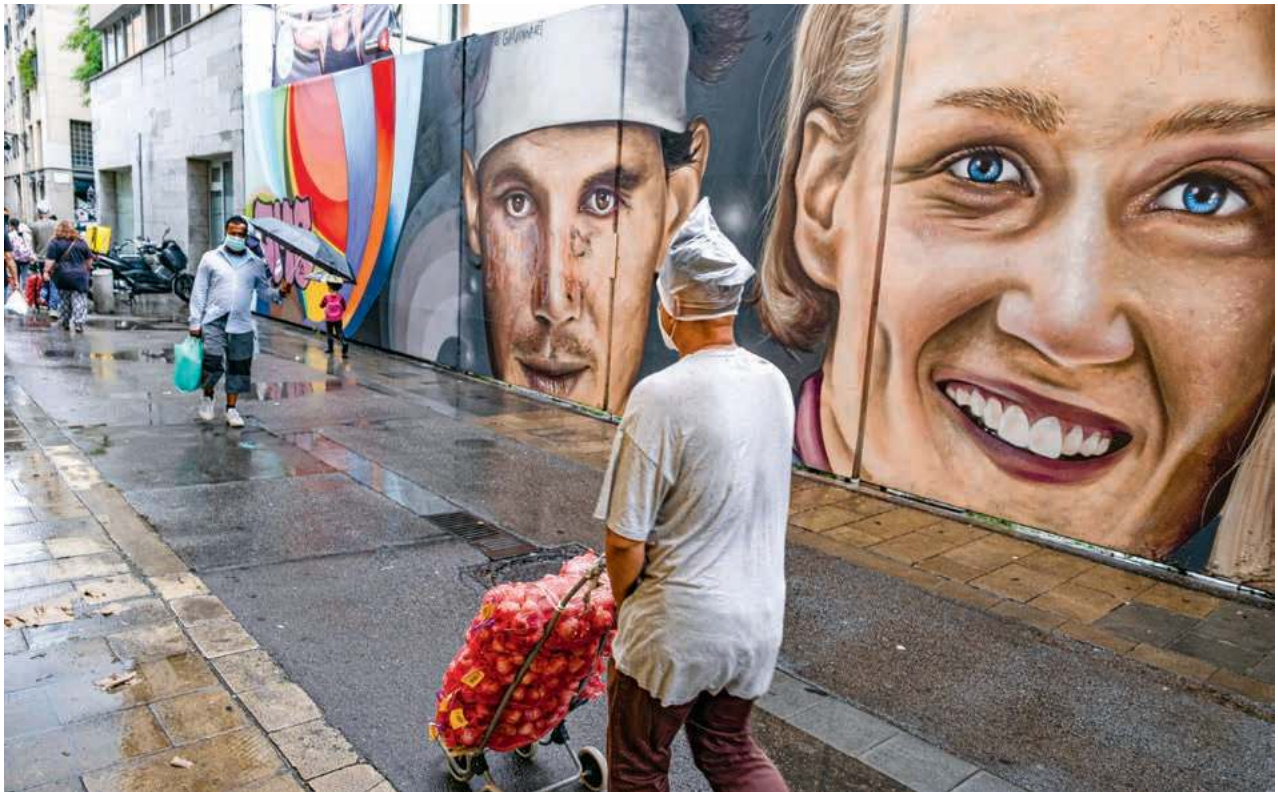

PACO FREIRE / GETTY IMAGES

Dzielnica Raval w Barcelonie, 21 września 2020 r.

Gdy sypie się świat

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Wakacje minęły tak, jakby nie było epidemii. Teraz stolica Katalonii znów zastyga. „Zabijacie nas" – czytam w oknie jednego z zamkniętych lokali.

To miasto nie przyzwyczaja do ciszy. Dlatego gdy Barcelona nagle milknie – gdy nikt nie dyskutuje w barze na rogu, gdy fale turystów nie przetaczają się uliczkami, gdy nawet sąsiad musi dać sobie spokój z cotygodniowymi imprezami – można się tutaj poczuć obco.

Po raz pierwszy Barcelona milknie w marcu. Po pustych ulicach przemykają jedynie ci, którzy przemykać muszą: starszy farmaceuta, ekspedientki, przemęczeni lekarze. I ci, którzy na przemykanie dostali specjalną przepustkę. Wśród tych drugich ja i mój pies. Wychodzimy na nudne spacery po miejskim pustkowiu, gdzie wszystkie drogi i tak prowadzą w jedno miejsce: do osiedlowego parku. Tu oboje możemy zachwycić się faktem, że w mieście ostały się jednak inne osobniki naszego gatunku. Gdy psy załatwiają swoje psie potrzeby, ludzie załatwiają własne, przez *lockdown* zaniedbane. Rozmawiamy.

W kwietniu przeważają dyskusje o liczbach, bo w Hiszpanii zakażenia rosną w zawrotnym tempie. Część obwinia rząd, inni mówią: „Nikt by sobie lepiej nie poradził". Cudzoziemcy, którzy mieszkają tu na stałe lub na chwilę, są przepytywani z sytuacji za granicą. Jordi, 70-letni emeryt, ulgę odnajduje w ciągłym oburzeniu („Nie można usiąść na minutę na ławce, żeby policja nie straszyła mandatem!").

Maj i czerwiec przynoszą więcej luzu, w parku można zostać dłużej niż kilka minut. Z niektórych twarzy zaczynają zsuwać się maseczki i nikt nie zwraca na to specjalnie uwagi.

Wakacyjne weekendy to już regularna impreza. Tylko ostrożniejsi kręcą głową z niedowierzaniem lub dezaprobatą.

A teraz: jesienna fala. Znowu dystans, znowu liczby. I pytanie, które w żadnym momencie pandemii nie staje się mniej aktualne: co dalej?

A nuż ktoś przyleci

– To może cię oprowadzę?

Z Aurorą rozmawiam niecałe dwie minuty, a już spieszy się do pokazania mi swojej restauracji. – Na początku była mała tawerna. Skąd nazwa? Ludzie mówili, że *caracoles*, ślimaki, są u nas pyszne – zaczyna się opowieść o rodzinnym biznesie. – Popularność lokalu rosła, pomógł w tym brat dziadka. Robił w filmach i znał się z ówczesnymi gwiazdami kina. Znasz Avę Gardner?

Przełomem dla biznesu jest zdjęcie. Zrobione w 1948 r., autor to sławny fotograf Irving Penn, a fotografowany obiekt to *bullabesa*, zupa rybna. Do tej pory z całego świata przylatują, żeby o tę zupę zapytać.

– Tu mamy kuchnię węglową, oryginalna, z roku 1835 – Aurora wie, że stare wnętrze robi wrażenie. Nie bez powodu każdy klient musi przejść tędy w drodze do stolika. A w pierwszej sali, na ścianach, fotografie: – Popatrz, to Bergman. Dalej Giorgio Armani z moim bratem. Z wujkiem siedzi Robert de Niro. Catherine Deneuve, Lenny Kravitz, Jon Bon Jovi. A tutaj ja i Jimmy Carter. ↦

↦ Prowadzi mnie jeszcze do portretu polskiej śpiewaczki operowej, której nie kojarzę, ale uśmiecham się na ten gest (Aurora podkreśla, że była w Polsce wielokrotnie, uwielbia pierogi). A później do kolejnych pustych teraz sal. – Normalnie mieści się tu 250 osób, teraz obsługujemy około 50 – tłumaczy nienakryte stoły. – Po pięciu miesiącach w końcu odważyliśmy się otworzyć. Większość personelu mamy na ERTEs, tymczasowych zwolnieniach. Turystów brak, hotele zamknięte, miejscowi boją się przychodzić.

Aurora zachęca do zrobienia zdjęcia, w końcu wnętrze takie urokliwe. Wie, że nie przyszłam robić reklamy lokalu, mimo to powtarza: – Napiszesz, a nuż ktoś przyleci i zajrzy.

Jest spięta. Przyszłość tawerny Los Caracoles, która w ostatnich latach przyjmowała tłumy turystów z zagranicy, wisi na włosku. Trzeba było zmniejszyć kartę, organizować dostawy do domu. Aurora nie liczy nawet na zysk, cel to jak najmniej stracić.

Jednak tydzień po naszej rozmowie w Katalonii wchodzą w życie nowe regulacje: restauracje muszą pozostać zamknięte przez kolejnych 15 dni. „W Katalonii jest ok. 80 tys. barów i restauracji. To rozwiązanie karze jeden sektor bardziej od pozostałych" – mówi dziennikowi „La Vanguardia" Josep Sánchez Llibre, prezes reprezentującej przedsiębiorców organizacji Foment del Treball.

Niektórzy próbują obejść ograniczenia. Restauracja El Mordisco jeszcze przez kilka dni przyjmuje klientów, przekonując o skuteczności zainstalowanego w lokalu supernowoczesnego systemu oczyszczania powietrza. W końcu, jak wszyscy, zamkną sale, a przed drzwiami wystawią stolik z menu i płynem do dezynfekcji. I napisem, z którym nie można dyskutować: „Take away only/ Solo para llevar".

Nowe światło, stare problemy

W centrum tracą wszyscy. Kilka kroków od Los Caracoles mieści się targ La Boqueria, dla turystów punkt obowiązkowy. Świeże owoce morza, bary z tapasami, jaskrawe kolory przy stoiskach z owocami – jeszcze w zeszłym sezonie najlepsze tło dla wakacyjnych *selfie*. Zwykle trudno się przecisnąć przez płynący między alejkami tłum. Dziś miejsce jest opustoszałe.

– Nie mam nawet za co pokryć wydatków – María cały dzień czeka na tego jednego, podnoszącego na duchu klienta. W ofercie ma krojonego arbuza, mango, mieszanki owoców. Wszystko zamknięte w plastikowych opakowaniach i gotowe do spożycia: przekąski pod turystów. – Wyjdziemy z tego pewnie dopiero w następne wakacje – prognozuje.

Sprzedawczyni falafeli radzi sobie trochę lepiej, najwierniejsi klienci są tutejsi: – Ale gdybym wynajmowała lokal w budynku, w życiu bym się nie wypłaciła.

Wie, co mówi, bo dwoje znajomych musiało zamknąć biznesy.

Z centrum znikają kolejne sklepy i restauracje – przewiduje się, że już jedna trzecia. Sytuacja wygląda tu poważniej niż w pozostałych dzielnicach. Pustki podkreślają to, o czym barcelończycy wiedzą już od jakiegoś czasu: turyści odebrali mieszkańcom Stare Miasto. Trudno się dziwić, że niektórym nagła cisza może odpowiadać.

– Kiedyś mieliśmy tu sklepy z AGD, księgarnie, nie wszystko było pod turystów. Teraz były imprezy do drugiej w nocy. Gdy masz dwoje dzieci, to może być problem – mówi Miquel Uriondo, mieszkaniec Gòtic, jednej z centralnych dzielnic. – Ale *lockdown* rzucił też nowe światło na wiele naszych starych problemów.

Jak na nieustanną, męczącą obecność handlarzy narkotyków. To ich pierwszych po lockdownie przyuważył na ulicach Miquel. Przedtem, przy tłumach zwiedzających, nie rzucali się aż tak w oczy. – Stracili klientów wśród turystów, to zaczęli sprzedawać miejscowym – denerwuje się Miquel. Jeszcze przed kryzysem sanitarnym dostawał od starszych mieszkańców sygnały, że przez narkogangi przestają czuć się u siebie. – Coś się musi zmienić – zaznacza.

Możesz liczyć na sąsiada

Kryzys niczego nie zdemaskował, bo takie problemy, jak uzależnienie centrum od turystów, od lat są oczywiste. Przyniósł za to przykre niespodzianki: tych, którym dotąd z trudem udawało się opłacać czynsz, wywindowany do granic możliwości, spotkały pandemiczne zwolnienia.

– I to właśnie wtedy – mówi Miquel – do gry wchodzą sąsiedzi.

Sieć wsparcia tworzy się najpierw wirtualnie, w komunikatorach. Później przenosi się na ulice. Mieszkańcy Gòtic, we współpracy z zaprzyjaźnionym marketem, organizują rodzinom paczki z jedzeniem, starszym donoszą leki. Jeśli samotny rodzic ma szansę wrócić do pracy, szukają wśród siebie chętnych do opieki nad dziećmi. To nieoficjalna pomoc, bazuje na wzajemnym zaufaniu. Ale dociera do ludzi szybko, zanim zdąży zareagować miasto.

– Właśnie będę dzwonić do tych naszych rodzin, żeby sprawdzić, jak sobie radzą – mówi Miquel.

Widać, że jest zmęczony. Do domu wraca późno, zwykle koło 23. Oprócz własnej pracy, pandemia mija mu na spełnianiu roli z jednej strony znajomej, ale w pewnym sensie zupełnie nowej: sąsiada, który zawsze jest tuż obok.

Dwie pandemie

W dzielnicy Raval ruch jest dużo większy. Ktoś biegnie do pracy, kawałek dalej ktoś inny głośno dyskutuje o przyszłości kraju. Przy osiedlowej siłowni krążą ludzie.

– Dwie wody, poproszę.

– Dwie wody i chleb, jeśli jeszcze jest.

– Coś do jedzenia, cokolwiek.

Jeden po drugim podchodzą do barierki ogradzającej budynek. Ochroniarz uśmiecha się, czasem tylko zwróci uwagę. „Znasz zasady, zasłoń nos" – rzuca do starszego rozgadanego mężczyzny. Najwyraźniej go zna. Niektórzy jedzą od razu, na schodku nieopodal. Inni znikają za rogiem z paczuszką pod pachą. Z drugiej strony ustawia się druga kolejka po ciepły prysznic.

– Wielu jest tu po raz pierwszy, kryzys ich do tego zmusił – mówi Ernest Morera Muñoz, który występuje tu także w roli rzecznika. – Widać, że się wstydzą.

Ernest jest zabiegany. Odkąd epidemia zmusiła ich do zamknięcia siłowni, zajmują się pomocą doraźną: codziennie wydają 150 posiłków, 150 paczek z ubraniami i zapewniają prysznic 150 osobom. Funkcja budynku w czasie pandemii przypomina tę, którą pełnił do lat 60. XX w., zanim przekształcił się w siłownię: wtedy była tu publiczna łaźnia dla najbiedniejszych, którzy nie mieli w domu łazienki bądź żyli na ulicy.

– Od 2012 r. nasza misja jest dużo ciekawsza – tłumaczy Ernest. Gimnasio Sant Pau to kooperatywa realizująca projekt społeczny: tylko część osób korzystających z siłowni to klienci komercyjni, większość ma zapewniony wstęp dzięki konkretnym instytucjom i organizacjom pozarządowym.

PAULINA MAŚLONA

Ernest Morera Muñoz przygotowuje jedzenie i ubrania dla bezdomnych, rozdzielane przez kooperatywę Gimnasio Social Sant Pau. Barcelona, 30 października 2020 r.

Ernest: – Nie zamykamy osób w trudnej sytuacji w osobnym pomieszczeniu, nie organizujemy dla nich specjalnych zajęć. Przychodząc tu na basen, nie wiesz, czy chłopak obok ciebie wróci zaraz do wygodnego domu czy z powrotem na ulicę.

A tych drugich z roku na rok w Barcelonie przybywa. Według danych zebranych w czerwcu w trakcie lockdownu na ulicy przebywało 1200 osób (wprawdzie doliczono się ponad 4 tys. bezdomnych, jednak większość z nich spędza noce w noclegowniach i ośrodkach pomocy).

– Średnia wieku to 45 lat, zwykle mężczyźni. Ale trudno ustalić jeden profil osoby bezdomnej, na ulicę może trafić każdy – tłumaczy Jesús Ruiz, dyrektor ASSÍS, jednego z ośrodków pomocy dla osób w kryzysie bezdomności. – To prawda, że dużą część stanowią cudzoziemcy. Kiedyś głównie ze wschodu Europy, w tym z Polski. Później z Ameryki Południowej. Teraz w tej grupie przeważają przybysze z północnej Afryki.

W trakcie lockdownu miasto zorganizowało dla bezdomnych sześć dodatkowych domów pobytu tymczasowego. Nie wszyscy jednak mieli szansę z nich skorzystać. – Osoby cierpiące na choroby psychiczne nie zostają długo w takich miejscach – przyznaje Jesús. – Dla nich i dla wszystkich innych, którzy zostali na ulicy, przygotowaliśmy plecaczki z maską, rękawiczkami i pakietem informacji o tym, co się dzieje i gdzie mogą szukać pomocy.

Dziennik „La Vanguardia" podaje, że aż 40 proc. osób przebywających w prowizorycznych ośrodkach nigdy wcześniej nie doświadczyło bezdomności. Większość pracowała na umowach-zleceniach albo poza oficjalnym rynkiem pracy. To ci, o których Ernest mówi, że przychodzą zawstydzeni. – To zwykle cudzoziemcy. Miejscowy raczej znajdzie jakąś kanapę u znajomego czy u rodziny. Obcokrajowcy nie mają swojej grupy wsparcia – tłumaczy.

W budynku siłowni Ernest spędził już dwie kwarantanny. Spotyka codziennie setki ludzi. Tymczasem w domu ma dwójkę dzieci i mamę chorującą na płuca. Czasem woli nie ryzykować powrotu. Boi się o przyszłość ludzi najbardziej dotkniętych kryzysem: rządowa pomoc jest niewystarczająca i za długo trzeba na nią czekać.

Ernest: – Według mnie są dwie pandemie. Jedna sanitarna. Druga, społeczna, jest tuż za nią. Opóźniona o jakieś cztery miesiące. Pierwsze efekty już widzimy, a to, co nadchodzi, to nie będzie fala, tylko tsunami.

Pocztówki

Od kilku dni właściciele barów i restauracji protestują przeciw ograniczeniom, chcą ich zniesienia. Wstawia się za nimi burmistrzyni Barcelony Ada Colau: przypomina katalońskiemu rządowi autonomicznemu, że restauratorów nie należy pozostawiać samym sobie.

„Zabijacie nas" – czytam w oknie jednego z zamkniętych lokali. Ten widok robi wrażenie, jak smutna pocztówka wysłana z ogarniętego pandemią miasta. Inne obrazki, które przychodzą na myśl, to te, do których wszyscy są tu przyzwyczajeni: przepełnione szpitale, konflikty między politykami i dyskusje o *nueva normalidad*, nowej normalności.

– Nie podoba mi się to wyrażenie – mówi Ernest z Gimnasio Sant Pau. – Ono zakłada, że wystarczy powrót do tego, co było wcześniej. Że sytuacja nie wymaga specjalnych środków. Przecież już wiemy, że to nieprawda.

Wielu widzi w tym kryzysie dobry moment na bardziej radykalne zmiany. W takim tonie wypowiada się dla „El Pais" Ada Colau: tłumaczy, że chwilowy zastój należałoby wykorzystać na ograniczenie turystyki i jej lepszą kontrolę. Cały ciężar turystycznego chaosu nie może spadać na centrum, do którego powinni wrócić mieszkańcy.

Ten pomysł podoba się Miquelowi: – Liczyłbym jeszcze na lepszy kontakt między nami i ratuszem. Bo my, sąsiedzi, więzy między sobą mamy już silne.

Miquel i jego sieć sąsiedzkiego wsparcia też nadaliby się na pocztówkę, tylko inną: jedną z tych niosących nadzieję. Można dorzucić jeszcze Ernesta z jego 150 posiłkami dziennie. Oraz nowe centrum La Llavor dla kobiet w kryzysie bezdomności: po lockdownie pojawiło się ich więcej, uciekały przed przemocą w domu. Albo duże zdjęcie grupy wolontariuszy: podobno w samym Czerwonym Krzyżu od marca przybyło ich w Katalonii aż 6 tys., przy czym 90 proc. z nich to ludzie młodzi.

Stan alarmowy

Od ponownego zamknięcia restauracji i barów ludzi w parku jest znów coraz więcej.

Carlos, właściciel sznaucera miniaturki, sam przez te ograniczenia trafił na zwolnienie, przynajmniej do końca roku. Jest jedną z tych osób, które zawsze szeroko się uśmiechają, nawet gdy w kilka dni sypie im się cały świat. Nie wie, co dalej. Może jakaś magisterka? Jeśli zgodziliby się wypłacić mu zasiłek dla bezrobotnych za jednym razem, może nawet byłoby go stać. Do tej pory pracował w gastronomii.

– Cztery tysiące nowych w samej tylko Katalonii – rzuca Carlos w środę 21 października.

Kilka dni później rząd w Madrycie ogłasza – tak jak zrobił to wiosną – stan alarmowy.

Znowu liczby. I pytanie, które w żadnym momencie pandemii nie staje się mniej aktualne: co dalej?

© PAULINA MAŚLONA

RADOVAN STOKLASA / REUTERS / FORUM

Próbne testowanie w Orawskim Podzamczu, 23 października 2020 r.

Do wymazu razem marsz

MARCIN ŻYŁA Z TRZCIANY (SŁOWACJA)

Wiosną stawiano ją za wzór w walce z epidemią. Teraz Słowacja postanowiła – jako pierwszy kraj w Europie – przetestować prawie wszystkich dorosłych obywateli.

Chodniki bez ludzi, zamknięta kawiarnia, w delikatesach raptem dwoje kupujących. Nie o takiej atmosferze senności marzyli mieszkańcy Trzciany (słow. Trstená), siedmiotysięcznego miasta przy granicy z Polską, gdy dekadę temu – dzięki nowej obwodnicy – tiry przestały w końcu korkować centrum.

Teraz pustawy rynek to efekt epidemii. W jej środku, niespodziewanie, znalazła się Trzciana i cała słowacka część Orawy, regionu między Tatrami i Babią Górą, którego fragment znajduje się także w Polsce. Od marca do sierpnia wykryto tu zaledwie 75 przypadków COVID-19. Potem, w samym tylko wrześniu – już ponad 1200. Sytuacja pogorszyła się w całym kraju, ale tutaj zakażeń przybywało najszybciej.

Dlatego to właśnie na Orawie – na tydzień przed wyznaczoną na 30 października i 1 listopada ogólnokrajową akcją testowania – rząd w Bratysławie przeprowadził próbę generalną.

To nie koniec świata

Juraj Spuchľák jest księdzem nietypowym. Nie chce, żeby koncentrować się na kazaniach. – Odpowiedzialność za to, co robimy, spoczywa na naszych czynach, a nie na słowach innych – precyzuje.

Proboszczem jest tutaj od niedawna. Chciał zacząć od remontu, lecz trudno było o fachowców. Mówi: – Najlepsi pracują w Austrii i Czechach, przyjeżdżają do domu w weekendy albo co kilka tygodni. To trudne dla rodzin, zwłaszcza teraz.

Rozmawiamy pod kościołem św. Marcina. Świątynia, postawiona na gotyckich fundamentach, odnowiona w stylu renesansowym, z dodaną potem barokową kopułą, była świadkiem największej traumy w historii Trzciany: grabieży obrazu Maryi, wzorowanego na częstochowskiej Czarnej Madonnie. Dokonały tego w 1683 r. wojska litewskie, idące tędy pod Wiedeń. Obraz zniknął z kościoła, ale pozostał w herbie miasta.

Dziś mierzy się ono z nowym kryzysem. – Codziennie spotykam ludzi, w których epidemia wydobyła na wierzch tłumione dotąd problemy. Próbują koić swoje lęki w internecie, wierzą w teorie spiskowe. Niektórzy szukają pocieszenia w religii i dostają się pod wpływ sekt przepowiadających koniec świata. Z kolei ludzie leczeni psychiatrycznie odstawili leki – wylicza ks. Spuchľák.

Najbardziej martwi się starszymi. Zanim skierowano go do Trzciany, przez kilkanaście lat szefował katolickiemu radiu w Bańskiej Bystrzycy. Obecnie dla swoich parafian nagrywa w sieci krótkie katechezy: o śmierci, o oczyszczeniu, o tym, żeby nie dali się temu, co wokół.

Teraz milczy, jakby i w myślach szukał pocieszenia. W końcu z twarzy schodzi napięcie. – Chrztów mamy wciąż dwa razy więcej niż pogrzebów! – mówi. I trochę się uśmiecha.

Cień wakacji

Gdy przez Europę szła wiosenna fala epidemii, pięcioipółmilionową Słowację stawiano za wzór. Na nowego koronawirusa kraj zareagował błyskawicznie. W Bratysławie szkoły zamknięto już dwa dni po wykryciu w kraju pierwszego nosiciela. Najszybciej w Europie nakazano chodzenie w maskach. Powołano apolityczny sztab kryzysowy, którego zalecenia realizował rząd.

Opłaciło się: śmiertelność spowodowana koronawirusem jest na Słowacji prawie cztery razy mniejsza niż w Polsce – do minionego piątku zmarło 212 osób. Ale 1 października rząd wprowadził stan wyjątkowy. – Jest już dużo gorzej – mówi

MARCIN ŻYŁA

Kościół św. Marcina przy wylotówce w stronę Polski, Trzciana, październik 2020 r.

ARCHIWUM PRYWATNE

Magdaléna Zmarzláková, burmistrzyni Trzciany na Orawie

MARCIN ŻYŁA

Ks. Juraj Spuchľák, proboszcz miejscowej parafii

prof. Vladimír Krčméry, specjalista chorób zakaźnych i rektor Wyższej Szkoły Nauk o Zdrowiu i Pracy Społecznej w Bratysławie. Jego zdaniem Słowacy płacą teraz za wydarzenia z sierpnia i września: wznowienie lig piłkarskiej i hokejowej, częste wesela, masowe powroty z wakacji oraz początek roku akademickiego (21 września).

– Błędem było natychmiastowe otwarcie szkół. Gdyby dzieci zaczęły naukę choćby dwa tygodnie później, te z nich, które przywiozły wirusa z wakacji, mogłyby przechorować w domu – tłumaczy lekarz. Dodatkowo na Orawie epidemię mogły przyspieszyć kontakty z Małopolską, gdzie przed miesiącem zaczęła się jej jesienna fala.

Sztab kryzysowy w Bratysławie podjął więc precedensową w Europie decyzję: o przetestowaniu wszystkich obywateli między 10. a 65. rokiem życia. Właściwie należałoby powiedzieć, że to masowe badania odsiewowe – bo stosuje się proste testy antygenowe, które kosztują po 4 euro za sztukę. Według premiera Igora Matoviča ogólnosłowackie testowanie pomoże jednak zidentyfikować tzw. superroznosicieli i da lepsze pojęcie o skali epidemii.

– Nie ma jeszcze idealnych testów. Ale cała akcja może zapobiec jesiennemu lockdownowi – ma nadzieję prof. Vladimír Krčméry.

Test testu

Na tydzień przed narodowym testowaniem w orawskich powiatach Namiestów, Twardoszyn i Dolny Kubin, a także w położonym we wschodniej Słowacji powiecie Bardejów odbyła się próba generalna. Przez trzy dni przebadano prawie 141 tys. osób, uzyskując 5594 wyniki pozytywne (3,97 proc.). Do wymazów zgłosił się co dziewiąty mieszkaniec w wieku 10-65 lat. Ci, którzy nie chcieli poddać się testowi, musieli pozostać w izolacji domowej przez kolejne dziesięć dni.

Kolejki tworzyły się jeszcze przed otwarciem punktów pobrań. – Pierwszego dnia, w piątek, przyszli młodzi, chcieli mieć wolny weekend – opowiada ks. Spuchľák. – Niektórzy z naszego miasta poszli do sąsiedniej wsi, żeby ominąć tłumy, ale miejscowi nie dopuścili ich do testów. Bali się, że zabraknie dla nich.

Prof. Krčméry dobrze ocenia całą akcję: – Wysoka frekwencja i dyscyplina mieszkańców były bardzo obiecujące. Ale ostateczna ocena będzie możliwa dopiero za kilka dni, po porównaniu wyników z czterech powiatów ze wskaźnikami z całego kraju – zastrzega.

Musimy sobie pomagać

W Urzędzie Miejskim w Trzcianie pracuje podczas epidemii tylko kilkoro urzędników. Aby usprawnić wentylację, wszystkie drzwi otwarto na oścież – także te do gabinetu burmistrzyni.

Magdaléna Zmarzláková rządzi miastem od czterech lat. Wcześniej była dyrektorką szkoły i to od niej zaczyna rozmowę: – Wiele klas musieliśmy wysłać na kwarantannę. Niektóre szkoły zamknęliśmy, bo zabrakło nauczycieli – mówi 42-latka. I dodaje: – No cóż, to epidemia, trzeba to jakoś znieść.

Burmistrzyni uważa, że masowe testy spełniły swoją funkcję: – Wierzę, że trochę spowolniliśmy rozprzestrzenianie się wirusa, np. w zakładach pracy. Dzięki temu lekarze złapią oddech, w szpitalach odzyskamy trochę wolnych łóżek. W naszym mieście było 5,4 proc. pozytywnych wyników. To dużo, ale wzrosła też ogólna świadomość zagrożenia – tłumaczy.

Przed siedzibą urzędu – pamiętającą węgierskie panowanie, zakończone sto lat temu – umieszczono obok siebie symbole miasta, regionu, państwa i Unii Europejskiej. Zmarzláková opowiada o współpracy z burmistrzami innych miast Orawy, w tym o internetowym serwisie samopomocy, gdzie mieszkańcy regionu deklarują wsparcie dla starszych, samotnych i ubogich: – Spotykamy się regularnie, wymieniamy doświadczeniami. Mamy przecież podobne problemy. Staramy się też przekonywać mieszkańców, aby nie wierzyli wszystkiemu, co znajdą w internecie. Trzeba się zdać na własny rozum i lojalność wobec innych.

Byle do lata

Trzciański obraz Madonny odnaleziono po wielu latach w wileńskiej katedrze. Dopiero po 300 latach od grabieży mieszkańcy pogodzili się z utratą: w 1983 r. w kościele św. Marcina zawisła kopia. Jakie ślady pozostawi w nich epidemia?

Magdaléna Zmarzláková: – Wierzę, że będziemy żyć uważniej. Doceniać to, co najbliżej: rodzinę, nauczycieli, pracę. Ale też myśleć gospodarnie, ostrożniej planować przyszłość.

Ks. Juraj Spuchľák: – Ci, którzy chodzili do kościoła, ponieważ robili tak inni, już nie wrócą tak licznie. Inni przyjdą z nową wiarą, zahartowaną w trudnym czasie. To dobrze.

Prof. Vladimír Krčméry: – Mam nadzieję, że po trudnej jesieni Boże Narodzenie będzie już spokojniejsze. Wiosną jeszcze raz masowe testy. A latem może już szczepionka? ©℗

Sędzia last minute

MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU

Amy Coney Barrett, 48-letnia katoliczka i matka siedmiorga dzieci, została sędzią Sądu Najwyższego USA. Dla amerykańskich konserwatystów to może być największe osiągnięcie prezydentury Donalda Trumpa.

Był to intensywny dzień na finiszu jego kampanii o reelekcję. Po serii wieców w Pensylwanii Donald Trump wrócił do Białego Domu i poprowadził ceremonię zaprzysiężenia nowej sędzi. Już po godzinie 21 czasu waszyngtońskiego niezmordowany uśmiechał się do kamer i przekonywał, że zaprzysiężenie Amy Coney Barrett to „doniosły dzień dla Ameryki, konstytucji Stanów Zjednoczonych i dla uczciwych oraz bezstronnych rządów prawa".

Tracący w sondażach prezydent powinien być może dodać, że to doniosły dzień także dla niego. Bo nawet jeśli przegra wyścig o Biały Dom – ten numer „Tygodnika" zamykaliśmy w chwili, gdy wyniki wyborów prezydenckich z wtorku 3 listopada nie były jeszcze znane – nominacją tą zacementował ideowy układ sił w głównej instytucji wymiaru sprawiedliwości w USA. I to na tydzień przed wyborami.

Po dołączeniu Amy Coney Barrett do Sądu Najwyższego przewaga sędziów o poglądach konserwatywnych wynosi sześć do trzech. Biorąc pod uwagę, że pełnią oni funkcję dożywotnio, 48-letnia Barrett będzie może orzekać przez kolejne dekady. Jej poprzedniczka Ruth Bader Ginsburg, z liberalnego skrzydła Sądu, zwlekała z przejściem na emeryturę i zasiadała w nim aż do śmierci. Zmarła na raka we wrześniu, w wieku 87 lat.

Przepychanki na finiszu

Obsadzeniu wakatu po sędzi Ginsburg towarzyszyła krótka, ale burzliwa walka polityczna. Politycy Partii Demokratycznej postulowali, aby obsadą tak ważnego stanowiska zajął się wyłoniony w wyborach prezydent. Republikanie nie chcieli ustąpić i robili wszystko, by jeszcze przed 3 listopada przepchnąć kandydatkę nominowaną przez Trumpa. Rozjuszyli tym Demokratów, bo w 2016 r. skutecznie zblokowali kandydata do Sądu Najwyższego wyznaczonego przez kończącego drugą kadencję Baracka Obamę.

Nominacja Barrett została zatwierdzona przez Senat zgodnie z linią partyjnego podziału. Czarną owcą w republikańskich szeregach okazała się jedynie Susan Collins ze stanu Maine (uznała, że poparcie dla Barrett mogłoby zaszkodzić jej w walce o senatorską reelekcję).

Demokraci od dawna ostrzą sobie zęby na uzyskanie większości w Senacie. Już teraz odgrażają się, że jeśli wygrają listopadowe wybory do tej izby, to po nowym roku spróbują zmniejszyć przewagę konserwatystów w Sądzie Najwyższym, zwiększając liczbę jego członków. Konstytucja tego nie zabrania, więc taki scenariusz jest możliwy. Kandydat na prezydenta Joe Biden unika jednak deklaracji na ten temat.

Cała sprawa wywołuje w Stanach dużo emocji, bo Sąd Najwyższy ma bezpośredni wpływ na politykę i rozstrzyga w sporach ideowych. Jego orzecznictwo zaważyło o zniesieniu segregacji rasowej w szkołach, legalizacji małżeństw homoseksualnych i aborcji.

Teraz, gdy Sąd skręcił jeszcze bardziej na prawo, liberałowie obawiają się prób zniesienia wyroku z 1973 r., legalizującego aborcję na życzenie w całym kraju. A na to po cichu liczą konserwatyści.

Cztery lata temu Trump wykorzystał te nastroje w swojej kampanii, obiecując, że będzie nominował sędziów znanych z poglądów *pro-life*. Amy Coney Barrett to już trzeci sędzia z jego nadania: w 2017 r. nominował 53-letniego Neila Gorsucha, a rok później 55-letniego Bretta Kavanaugh.

Profesorka z Indiany

Barrett nie wpisuje się w schemat kandydata do Sądu Najwyższego. Nie skończyła prestiżowej uczelni z tzw. Ligi Bluszczowej (należą do niej m.in. Yale i Harvard), nie wspinała się po szczeblach kariery w Waszyngtonie. Od prawie 20 lat mieszka w South Bend w Indianie. Jest absolwentką prawa na pobliskim katolickim Uniwersytecie Notre Dame, gdzie poświęciła się karierze profesorskiej. Pracę na uczelni zostawiła w 2017 r., gdy z nadania Trumpa została sędzią federalnego sądu apelacyjnego w Chicago. Nie zdecydowała się na przeprowadzkę: do pracy dojeżdżała z oddalonego o 150 km South Bend.

W konserwatywnym środowisku prawniczym zauważono ją już zaraz po studiach. Zdobywała szlify jako asystentka sędziego sądu apelacyjnego w Dystrykcie Kolumbii i dostała się na prestiżowy staż u Antonina Scalii, wpływowego sędziego Sądu Najwyższego o poglądach konserwatywnych. Tak jak jej zmarły w 2016 r. mentor, jest zwolenniczką dosłownej interpretacji konstytucji. Z punktu widzenia konserwatywnej Ameryki to ważne, bo takie podejście ułatwia ochronę tradycyjnych wartości i blokuje dążenia do zmiany prawa zgodnie z duchem czasu.

Barrett należy do konserwatywnej organizacji prawniczej Federalist Society, która promuje ideę dosłownej interpretacji konstytucji. Z tych kręgów wywodzi się wielu spośród dwustu sędziów federalnych, których w trakcie swej prezydentury nominował Trump. Jej nazwisko pojawiło się na liście kandydatów do Sądu Najwyższego już w 2018 r. „New York Times" pisze, że miała być „kołem ratunkowym", gdyby Brett Kavanaugh nie został zatwierdzony (w ostatniej chwili wysunięto wobec niego oskarżenia o molestowanie). Federalne Biuro Śledcze prześwietliło więc zawczasu jej przeszłość. Analizowano też jej artykuły naukowe i sprawdzono, jak orzekała. Serwis Axios twierdzi, powołując się na anonimowe wypowiedzi osób z Białego Domu, że Trump miał powiedzieć wtedy współpracownikom: „Zachowam ją na wakat po Ginsburg".

Szósta katoliczka

Gdy nominacja Barrett doszła ostatecznie do skutku, jej krytycy zaczęli szukać dowodów, że może wywrócić do

AL DRAGO / BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

Donald Trump i Amy Coney Barrett na balkonie Białego Domu podczas ceremonii jej zaprzysiężenia do Sądu Najwyższego USA. Waszyngton, 26 października 2020 r.

góry nogami amerykańskie orzecznictwo. Jako sędzia sądu federalnego orzekała w dwóch sprawach dotyczących aborcji. W obu przypadkach była w sędziowskiej mniejszości, opowiadając się za zachowaniem restrykcji forsowanych przez władze stanu Indiana. Media dokopały się też do informacji, że w 2006 r. wsparła lokalnych aktywistów *pro-life*. Podpisała się pod oświadczeniem dołączonym do reklamy prasowej, która wzywała do zniesienia aborcji na życzenie.

Barrett należała do działającej na Uniwersytecie Notre Dame grupy antyaborcyjnej Faculty for Life i wraz z innymi wykładowcami poparła podobną inicjatywę w 2013 r. Podpisała się też pod petycją przeciw reformie administracji Obamy, gdy w 2012 r. wprowadził przepisy nakazujące pracodawcom opłacanie kosztów antykoncepcji w ramach obowiązkowego ubezpieczenia. Uwadze mediów nie umknęło też, że Barrett należy do ekumenicznej grupy People of Praise, zrzeszającej głównie chrześcijan z Indiany. Jako wykładowca zasiadała w zarządzie jednej z prowadzonych przez tę organizację szkół. Obowiązuje tam zakaz przyjmowania uczniów wychowywanych przez pary homoseksualne.

Teraz Barrett dołączyła do Sądu Najwyższego, w którym zasiada już pięciu katolików. Z wyjątkiem latynoskiej sędzi Sonii Sotomayor, którą w 2009 r. nominował Obama, należą oni do konserwatywnego skrzydła. Na przestrzeni ostatnich 30 lat można zaobserwować ciekawą tendencję: aż siedmiu z ośmiu sędziów nominowanych przez republikańskich prezydentów to katolicy lub osoby wychowane w wierze katolickiej. Eksperci sądzą, że może to wynikać z faktu, iż amerykańska prawica mocno inwestuje w katolickie szkoły prawnicze, będące kuźnią dla konserwatywnych sędziów.

Jednak członkowie Sądu Najwyższego to nie marionetki na usługach partii. Przykładem jest katolik i konserwatysta John Roberts, który miał decydujący głos przy zablokowaniu w czerwcu tego roku ustawy antyaborcyjnej stanu Luizjana, a także przy zagwarantowaniu ochrony dla pracowników LGBT.

Przedwyborcze przesłuchania

Jak każdy świeżo zaprzysiężony sędzia, Barrett deklarowała, że interpretując prawo, nie będzie kierować się swoimi przekonaniami i preferencjami politycznymi. To samo podkreślała wcześniej podczas przesłuchań przed senacką komisją ds. sądownictwa.

Trwające cztery dni przesłuchania przerodziły się w *quasi*-wiec wyborczy, który miał podkręcić kampanię obu kandydatów. Republikanie puszczali oko do konserwatywnych wyborców, chwaląc Barrett za jej poglądy *pro-life*, Demokraci zaś chcieli zrobić z niej wroga powszechnego systemu ubezpieczeń Obamacare, dzięki któremu ponad 20 mln Amerykanów ma polisę zdrowotną. Wykorzystywali przy tym fakt, że tuż po wyborach Sąd Najwyższy zajmie się sprawą Obamacare (jej podważenie może doprowadzić do rozmontowania całego programu). Sugerowali, że skoro Barrett została nominowana przez Trumpa, żarliwego przeciwnika Obamacare, to z pewnością opowie się przeciw tej reformie.

Demokraci próbowali też przyprzeć Barrett do muru, pytając ją o stanowisko w sprawie dostępu do broni palnej, dopuszczalności aborcji, ochrony klimatu i polityki migracyjnej. Ona zaś zręcznie uchylała się od odpowiedzi, cytując słowa Ruth Bader Ginsburg: gdy 27 lat temu legendarna sędzia przechodziła podobną serię pytań, powiedziała, że kandydat do Sądu Najwyższego nie powinien wypowiadać się w sprawach, w których będzie potem sądził.

Czarny scenariusz

Najwięcej emocji wzbudziła odpowiedź Barrett na pytanie, czy zrezygnuje z orzekania w sporach powyborczych, jakie mogą pojawić się przy okazji wyrównanego wyścigu o Biały Dom. „Mam nadzieję, że członkowie komisji [senackiej] mają wystarczająco wiary w to, że nie zostanę wykorzystana jako narzędzie do rozstrzygnięcia wyniku wyborów" – odparła.

Obawy Demokratów nie powinny jednak dziwić – trudno o czarniejszy scenariusz niż świeżo zaprzysiężona sędzia orzekająca w sprawie reelekcji Trumpa. Tym bardziej że prezydent od dawna szykuje się na powyborczą walkę w sądach, m.in. podważając wiarygodność głosowania korespondencyjnego. Przypomnijmy, że Sąd Najwyższy odegrał już kluczową rolę w wyścigu o Biały Dom: w 2000 r. jego decyzja o zakończeniu ponownego liczenia głosów na Florydzie zaważyła o zwycięstwie Republikanina George'a W. Busha nad Demokratą Alem Gorem. ↦

↦ Nadchodzące tygodnie będą więc sprawdzianem dla Amy Coney Barrett. Już następnego dnia po wyborach, 4 listopada, sędziowie spotkają się na obradach w sprawie, czy katolicka agencja adopcyjna z Filadelfii miała prawo odmówić przyjmowania wniosków od małżeństw jednopłciowych. Tydzień później pochylą się nad Obamacare, w której stroną pozywającą jest 20 republikańskich stanów i administracja Trumpa. Nie minęły zresztą dwa dni od zaprzysiężenia Barrett, gdy Sąd musiał rozpatrzyć pilne sprawy dotyczące reguł głosowania w Pensylwanii i Karolinie Północnej, stanach kluczowych dla wyniku wyborów. Nowa sędzia miała za mało czasu na zapoznanie się z dokumentacją i Sąd podjął decyzję we wcześniejszym ośmioosobowym składzie.

Szklany sufit

Amy Coney Barrett z pewnością nie będzie drugą sędzią Ginsburg, która reprezentowała wartości liberalne. Jednak łączy je jedno: należą do garstki kobiet, które dołączyły do tej najważniejszej instytucji wymiaru sprawiedliwości w USA. Barrett to dopiero piąta kobieta w 231-letniej historii Sądu.

Przyjmując nominację w Białym Domu, Barrett wspomniała, że jej poprzedniczka zaczynała karierę w czasach, gdy kobiety były wręcz niemile widziane w zawodzie prawniczym. „Mimo to ona nie tylko rozbiła szklany sufit, ona go doszczętnie roztrzaskała" – powiedziała o sędzi Ginsburg, która lubiła też podkreślać, że macierzyństwo nie musi przeszkadzać w karierze. W 2017 r. w wywiadzie dla magazynu „The Atlantic" Ginsburg mówiła, że zaczęła studia na Harvardzie, gdy jej córeczka miała nieco ponad rok.

Amy Coney Barrett, matce siedmiorga dzieci – w tym dwójki z adopcji (oboje pochodzą z Haiti) i jednego z zespołem Downa – też nie brakowało determinacji. Po otrzymaniu nominacji od Trumpa żartowała, że jest przyzwyczajona do przebywania w gronie dziewięciu osób.

Jaką rolę odegra w instytucji, która rozstrzyga w sprawach najważniejszych dla Ameryki?

© MARTA ZDZIEBORSKA

Nobel i faul

MICHAŁ LUBINA:

Nasz problem z Aung San Suu Kyi polega na tym, że uznaliśmy ją za swoją, za demokratkę w zachodnim stylu. Tymczasem ona nigdy nie zmieniła politycznych przekonań. Nikt wcześniej po prostu jej o to nie pytał.

MAREK RABIJ: Prawie każdą debatę o Birmie otwiera w Polsce stwierdzenie, że to odległy kraj, o którym niewiele wiemy. Tymczasem gdyby przyrównać temperaturę i strukturę napięć w tamtejszej polityce do ostatniej kampanii wyborczej w Polsce, otrzymamy obrazy do siebie podobne.

MICHAŁ LUBINA: Sytuacja w Birmie rzeczywiście przypomina to, co się działo w Polsce wiosną i latem. Partia rządząca – Narodowa Liga na rzecz Demokracji (NLD), pod kierownictwem Aung San Suu Kyi – dąży za wszelką cenę do przeprowadzenia wyborów parlamentarnych. I pewnie je przeprowadzi, choć opozycja domaga się zmiany terminu ustalonego na 8 listopada.

Pod koniec wakacji każdego dnia wykrywano 30-40 nowych infekcji. Dziś przybywa ich w tempie do 2 tys. dziennie.

Ale szefem państwowej komisji wyborczej, która w sprawie rozpisania wyborów ma głos decydujący, jest nominat z ramienia NLD. Sprawa jest przesądzona, 8 listopada obywatele Birmy pójdą do urn.

Zapytam słowami polskich komentatorów sprzed paru miesięcy: kto na tym zyska najwięcej?

Oczywiście obóz Aung San Suu Kyi, ale możemy spojrzeć na tę grę interesów z dwóch perspektyw: empatycznej i cynicznej. Zgodnie z tą pierwszą centrum rządowej strategii stanowi coś, co Suu Kyi nazywa dokończeniem dzieła jej ojca, generała Aung Sana, uważanego za architekta birmańskiej niepodległości wywalczonej w 1948 r. W rzeczywistości nie chodzi o realizację testamentu politycznego, lecz o dokończenie politycznej rozgrywki samej Suu Kyi, która dąży do pełnego odsunięcia armii od władzy. Przypomnijmy, że Birmą od 1962 r. nieprzerwanie rządziła junta, która zamknęła Aung San Suu Kyi w areszcie domowym i dopiero w 2011 r. dopuściła do częściowej demokratyzacji życia politycznego.

THET AUNG / AFP

Aung Sang Suu Kyi, 15 stycznia 2020 r.

Wybory z 2015 r. przypominały polski czerwiec 1989 r., z listą politycznych przywilejów dla odchodzącej dyktatury.

To prawda, choć z zastrzeżeniem, że birmański kompromis, wynegocjowany w 2011 r., był jednocześnie aktem uznania przez opozycję napisanej przez juntę konstytucji z 2008 r. Przyznawała ona wojsku kluczową rolę w życiu państwa – począwszy od 25 proc. miejsc w parlamencie, przez trzy kluczowe resorty siłowe, stanowisko wiceprezydenta i większość miejsc w Narodowej Radzie Obrony i Bezpieczeństwa, która wraz z prezydentem wprowadza stan wojenny, aż po autonomię armii i szereg wynikających z niej przywilejów o charakterze czysto ekonomicznym. W zachodnich demokracjach regułą jest cywilna kontrola nad armią. W Birmie można mówić o wojskowej kontroli nad całym państwem.

Suu Kyi przez lata walczyła z wojskową dyktaturą. W 1990 r. jej partia wygrała nawet wybory, ale junta po prostu nie uznała wyniku. Gdy w 2011 r. generałowie zdecydowali się w końcu na polityczne odprężenie, NLD przyjęła gałązkę oliwną, licząc, że uda jej się w ten sposób uczynić pierwszy poważny wyłom w monolicie wojskowej kontroli nad państwem. Suu Kyi postawiła wtedy wszystko na jedną kartę. Jej plan zakładał, że zdoła zmienić system od środka: przełamie kuriozalną pozycję armii w birmańskim systemie politycznym, która zapewnia jej wpływy bez odpowiedzialności. Do tego Suu Kyi potrzebowała pełnego zwycięstwa w wyborach w 2015 r., a konkretnie 67 proc. głosów, które dałyby jej 334 miejsca w parlamencie. Dostała 79 proc. głosów i osłabiła armię, pozbywa jąc się z rządu i kluczowych agend wielu wojskowych. Była to jednak tylko wygrana bitwa w wojnie, która trwa nadal.

Teraz też musi dostać 67 proc., by dokończyć dzieło odsuwania armii od władzy?

I właśnie w tym miejscu pojawia się ta druga, cyniczna perspektywa. Aung Sang Suu Kyi zdaje sobie sprawę, że sytuacja epidemiczna gwałtownie się zaostrza. Wie też, że będzie to negatywnie rzutować na wynik NLD. Birma ma jeden z najsłabiej funkcjonujących systemów opieki zdrowotnej w Azji. Nie lepiej jest z administracją, która raczej nie zdoła sobie poradzić z pandemią. W Polsce narzekamy, skądinąd słusznie, na organizację zdalnego nauczania i chaos w szkolnictwie. Birma szkoły po prostu zamknęła, bo stan infrastruktury i finansów publicznych nie pozwalał na nic więcej. Także gospodarka ucierpi w skutek restrykcji, które musiały jej narzucić władze. Wstrzymano już m.in. loty międzynarodowe, co dobija sektor turystyczny. Lekceważenie przez rząd kolejnych apeli o przełożenie głosowania wynika więc z prostej kalkulacji, że czas nie gra tu na jego korzyść.

Z zachodniej perspektywy wygląda to na paradoks: oto siła polityczna, która zdaje się dążyć do demokratyzacji, stosuje w grze o ten cel niedemokratyczne chwyty. Pod pretekstem walki z dezinformacją w dobie pandemii zamknięto część niezależnych mediów. Rywal Aung Sang Suu Kyi w wyborach, który zarzucił jej finansowanie kampanii z pieniędzy pochodzących z pomocy międzynarodowej, trafił do więzienia.

Warto podkreślić sytuację mediów w Birmie: większość jest w rękach oligarchów, króluje autocenzura. Ale mamy do czynienia z paradoksem: media nie są niezależne, jednak są na dość dobrym poziomie merytorycznym, podobnie jak np. w Singapurze. To nie jest toporna propaganda znana choćby z Wietnamu.

Jeśli chodzi o ten konkretny przypadek: aresztowany Htay Aung to biznesmen, który chciał zaistnieć. Nagrał filmik, w którym oskarżył – bez żadnych dowodów – Suu Kyi o przyjmowanie pomocy od Organizacji Współpracy Islamskiej i George'a Sorosa. To poziom absurdu podobny do komentarza wiekowego mnicha Sitagu, który powiedział, że wpisanie Paganu, pierwszej stolicy Birmy, na listę UNESCO dowodzi, że rząd Suu Kyi oddał Pagan obcej organizacji kontrolowanej przez islamistów. Birma była przez lata zamknięta, ludzie mało wiedzą o świecie, a media społecznościowe zalewają ich fake newsami, których nie umieją weryfikować. Suu Kyi akurat nie lubi się z Sorosem, a na świecie uchodzi dziś za islamofobkę. No i całym swoim życiem udowodniła, że nie jest łasa na pieniądze. Nigdy nie interesowały jej też sprawy gospodarcze.

Temperatura sporów politycznych w Birmie ma to do siebie, że gdy ktoś się już odważa na krytykę Aung Sang Suu Kyi – osoby cieszącej się szacunkiem i sympatią większości Birmańczyków – to z reguły wybiera od razu krytykę totalną. Gdy ostatnio rozmawiałem z Khin Zaw Winem, znanym birmańskim intelektualistą, porównywał Suu Kyi do Mussoliniego. Kilka dni temu czytałem jego najnowszy tekst, w którym przyrównał ją już do Hitlera... Nie zamierzam bronić polityki NLD i jej przywódczyni, ma ona sporo autorytarnych grzeszków na sumieniu. Kontrolowana przez nią Komisja Wyborcza wykluczyła sporą część okręgów na terenach etnicznych, uniemożliwiając tam oddanie głosu, a byłyby to głosy przeciw NLD. Birma ma bardzo niedemokratyczną kulturę polityczną. Ale moje wątpliwości odnośnie do sprawy Htay Aunga dotyczą tego, jakie korzyści mogłaby odnieść najpopularniejsza osoba w kraju decydując się na prześladowanie mało znanego rywala? Płotki nie stanowią zagrożenia dla rekina.

Czy rekin nie boi się, że płotki rozmnożą się w ławicę?

Działacze społeczni w Birmie od dawna fantazjują o powstaniu trzeciej siły, która uwolniłaby tutejszą politykę od duopolu armii oraz NLD i wreszcie zaszczepiła reguły zachodniej demokracji. Zagraniczni dziennikarze i analitycy chętnie się z nimi spotykają i następnie ślą te wizje w świat, sugerując, że birmańska ulica tęskni za polityką, jaką znamy z Europy. A potem ↦

↦ przychodzą wybory i okazuje się, że trzecia siła dostała znowu 1-2 proc. głosów. Myślę, że birmańska polityka długo jeszcze nie uwolni się od dwubiegunowości.

Znów łatwo wpaść w pułapkę etykiet, które znamy z zachodniej polityki. Tu najprostszy podział polityczny przebiega po linii konserwatyści–liberałowie.

W Birmie tak nie jest. Ani NLD nie zasługuje na miano partii postępu, ani armii nie można utożsamić z hamulcowymi. Wie pan, który rząd wprowadził dotąd najgłębsze reformy polityczne i społeczne? Gabinet wojskowych reformatorów, który doszedł do władzy po niedemokratycznych wyborach w 2010 r. Kiedy w 2015 r. władzę przejęła NLD, wielu fachowców w mundurach wyrzucono. Ale nie dlatego, że pracowali źle. Suu Kyi po prostu nie miała do nich zaufania. Z drugiej strony, gdyby zajrzał pan w szeregi NLD sprzed kilku lat, zobaczyłby pan tam wielu sympatycznych staruszków, którzy pielęgnują wspomnienia z młodzieńczych czasów walki z juntą i niezbyt się orientują, co dzieje się w świecie.

Linię podziału lepiej poprowadzić tu w inny sposób. Armia pozostaje matecznikiem birmańskiego nacjonalizmu, obsadzonym niemal wyłącznie przez Bama, czyli etnicznych Birmańczyków, którzy są większością w społeczeństwie. Jej elita to dowódcy, którzy całe dorosłe życie spędzili na walkach na terenach pogranicznych ze zbuntowanymi mniejszościami. Z reguły to ludzie słabo znający angielski, słabo zorientowani w sprawach międzynarodowych, wojownicy, a nie dyplomaci, nieufni zwłaszcza wobec islamu i wpływów chińskich – czyli dwóch największych żywiołów, z którymi sąsiaduje Birma. Łączy ich przekonanie, że armia to jedyny gwarant przetrwania państwa i tożsamości narodowej, którą identyfikują z reguły z buddyzmem i przynależnością etniczną.

Ale armia nie cieszy się w społeczeństwie sympatią. Birmańczyków oburzają zwłaszcza liczne przywileje, za sprawą których standard życiowy wojskowych, nawet tych na niższych stanowiskach, jest zauważalnie wyższy od reszty społeczeństwa. Przy czym wojsko formalnie za nic nie odpowiada.

Natomiast NLD jest luźnym zbiorem działaczy politycznych, których łączy głównie sprzeciw wobec prymatu armii w państwie. Nie brak jednak wśród nich byłych wojskowych. Sama Suu Kyi jest przecież córką człowieka, który tę armię zbudował. Wielu działaczy NLD podziela więc etniczne i religijne wyobrażenia wojskowych. W efekcie w birmańskiej polityce trudno mówić o konflikcie wokół wizji państwa. Tu chodzi dziś przede wszystkim o czystą władzę.

To zaskakujące porozumienie ponad podziałami świat zauważył dopiero w 2017 r., gdy Aung Sang Suu Kyi – nagrodzona wcześniej Pokojową Nagrodą Nobla – nie stanęła w obronie Rohingów zaatakowanych przez armię. Przeciwnie, przyciśnięta do muru przez społeczność międzynarodową, opowiedziała się po stronie oprawców.

Aung Sang Suu Kyi nigdy nie była demokratką w takim znaczeniu, jakie przypisujemy temu słowu w Europie. To my na Zachodzie uznaliśmy ją za swoją w przekonaniu, że jej walka z juntą wyrastała z identycznego pojmowania praw człowieka i reguł demokracji, do jakich przywykliśmy. Dopiero gdy okazało się, że noblistka nie stroni od faulu w walce politycznej, że podziela niechęć, jaką przeciętny Birmańczyk czuje do Rohingów, oraz że podobnie jak wojskowi jest gotowa złożyć tę mniejszość na ołtarzu birmańskiej państwowości, na Zachodzie rozległy się głosy oburzenia. Tymczasem prawda jest taka, że Aung Sang Suu Kyi nie zmieniła politycznych przekonań. Nikt wcześniej po prostu jej o to nie zapytał.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

DR HAB. MICHAŁ LUBINA wykłada w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ. Specjalizuje się w tematyce politycznej i społecznej krajów azjatyckich, zwłaszcza Birmy, Tajlandii i Chin. Nakładem wydawnictwa Routledge ukazała się właśnie jego książka „A Political Biography of Aung San Suu Kyi. A Hybrid Politician".

Karabaski front

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z MARTUNI I STEPANAKERTU (GÓRSKI KARABACH)

Wojna przybiera coraz bardziej niepomyślny obrót dla Ormian. Mimo mediacji kolejnych światowych mocarstw nie udaje się jej powstrzymać.

Okopy są tak rozległe, że trudno się w nich nie zgubić. To szerokie rowy, których nie pokona czołg. Odchodzą od nich mniejsze, a od nich kolejne. Patrząc z powietrza, z kamery zwiadowczego drona, muszą tworzyć coś na kształt gałęzi. Ciągną się przez ponad 200 km. To tzw. linia kontaktu, oddzielająca wojska Azerbejdżanu od sił ormiańskich, czyli armii nieuznawanej republiki Górskiego Karabachu. Porównuje się ją do okopów I wojny światowej. Mówią, że jest to jedna z najbardziej zmilitaryzowanych stref na świecie, obok Korei Północnej i Kaszmiru.

Kamo Tadewosjan, 31-letni dowódca jednego z odcinków tego frontu, gdzieś w jego środkowej części, porusza się po okopach jak po własnym domu. W ciemno wie, gdzie skręcić, by trafić we właściwy punkt. To pewnie nietrudne, skoro w wojsku zaczął służyć kilkanaście lat temu, jeszcze jako nastolatek. Z czego znaczną część na linii kontaktu. Najmniejsza odległość od azerskich okopów to 40 metrów. Dystans tak nieduży, że ormiańscy żołnierze najbardziej wysunięci do przodu mają pod ręką przygotowane granaty, by razić nimi atakującego nieprzyjaciela. Tadewosjan twierdzi, że wrogowi na razie nie udało się podejść tak blisko, by musieli ich używać.

Z Tadewosjanem widzę się jakieś pięć godzin po tym, jak w życie weszło trzecie już porozumienie o zawieszeniu broni. Jak wszystkie poprzednie, nieskuteczne. Teraz dokument wydaje się już mało istotnym wspomnieniem. – Spokój trwał

72-letni Arnold Sarkisjan został sam w swoim domu, w ostrzeliwanym mieście Martuni. Nie ma piwnicy, więc chroni się przy ścianie. 23 października 2020 r.

Ormiański żołnierz w okopie na linii frontu, 26 października 2020 r.

kilka minut – stwierdza Tadewosjan. Potem nad ich głowami przeleciały pierwsze pociski artyleryjskie.

Jakby na dowód słyszymy wybuch, gdzieś w okolicy.

Pod okiem dronów

Od kiedy w ostatnią niedzielę września armia Azerbejdżanu zaczęła ofensywę, w środkowej części linii kontaktu front nie drgnął ani o milimetr. Azerowie atakują głównie od południowego wschodu i południa, tam czynią coraz większe postępy. Natomiast tu front stoi w miejscu. Jednak i tu trwa wojna, pod postacią ostrzałów. Nad okopami co chwilę przelatują pociski artyleryjskie, celów szukają drony i samoloty.

Dlatego żołnierze Tadewosjana starają się nie wychylać niepotrzebnie. Jedni, pełniący służbę, maskują się na pozycjach. Inni chowają się w ziemiankach. Bo choć okopy mogą wyglądać jak z I wojny światowej, ta wojna ma niewiele wspólnego z XX-wiecznymi polami bitew. Lepiej odnajduje się w niej Azerbejdżan: jego lotnictwo – przede wszystkim samoloty bezzałogowe – panuje w powietrzu.

Nic też nie wskazuje na to, aby Azerbejdżan zamierzał wstrzymać ofensywę, którą prowadzi od 27 września. Jego armia przełamała ormiańską obronę przede wszystkim na południowym wschodzie, przy granicy z Iranem, po czym kontynuuje marsz w kierunku zachodnim i północnym.

Konflikt o Górski Karabach ciągnie się ponad dwa razy dłużej, niż trwa służba Tadewosjana. Przypomnijmy: zaczął się pod koniec lat 80. XX w. od zamieszek i pogromów, po czym przeistoczył się w wojnę ormiańsko-azerską, w której zginęło 30 tys. ludzi. Został zamrożony w 1994 r. zawieszeniem broni i zwycięstwem Ormian, którzy przejęli kontrolę zarówno nad Karabachem, jak też nad otaczającymi go w bezpośrednim sąsiedztwie terenami azerskimi, które uznali za swoją „strefę buforową". Niemal 10-milionowy Azerbejdżan utracił 13 proc. terytoriów, ok. 800 tys. Azerów musiało uciekać w głąb kraju. Dlatego terytoria nieuznawanej republiki *de iure* należą do Azerbejdżanu, a *de facto* do republiki Górskiego Karabachu (wspieranej przez Armenię).

Cywile muszą uciekać

To właśnie po rozejmie z 1994 r. powstała linia kontaktu i ciągnące się kilometry okopów. Ale konflikt nigdy nie wygasł. Mimo upływu czasu ani Azerom i Ormianom, ani wspólnocie międzynarodowej nie udało się wypracować kompromisu, który zadowoliłby obie strony.

– To moja ziemia, na niej stoi mój dom. Jestem tu dla mojej ojczyzny. Będziemy stali na tych pozycjach do samego końca – mówi Tadewosjan. To powszechna opinia wśród Ormian. Problem w tym, że także wielu Azerów traktuje ten region jako ziemię, która do nich należy.

W rezultacie dziś Górski Karabach w popłochu opuszczają ormiańscy mieszkańcy, a miasta zamieniają się w ruiny, jak zdewastowane i opustoszałe wioski przy linii kontaktu, stojące tak od czasu rozejmu. Teraz to Ormianie, od 1994 r. stanowiący w nieuznawanej republice ogromną większość, muszą uciekać z domów: już co najmniej 90 tys. ze 150 tys. mieszkańców Karabachu wyjechało szukać schronienia w sąsiedniej trzymilionowej Armenii. W opustoszałych miastach i wsiach z trudem można napotkać kobiety i dzieci, bo to one są wywożone w pierwszej kolejności. Częściej zdarzają się żołnierze i nieliczni mężczyźni-cywile, też szykujący się do obrony.

Arnold Sarkisjan został sam

Kilka kilometrów na zachód od frontu, w jego środkowej części, leży miasto Martuni (po azersku: Xocavənd). To właśnie jego broni Kamo Tadewosjan. Od tego miasta wiedzie prosta droga do Stepanakertu, stolicy nieuznawanej republiki, oddalonego stąd o ok. 40 km.

Do 27 września populacja Martuni liczyła niemal 6 tys. osób. Teraz z trudem można napotkać tu ludzi. Pociski i bomby konsekwentnie zamieniają miasto w ruinę: domy z wyrwami w dachach i ścianach, powybijane okna, walający się gruz.

Z okna wychyla się 72-letni Arnold Sarkisjan. To rzadki widok, na tej ulicy pozostali nieliczni. Sarkisjan jest schorowany. W jego domku nie ma piwnicy, więc gdy spadają pociski i rakiety, po prostu siada na podłodze z nadzieją, że ściana go uratuje. Czy jego ulica też jest ostrzeliwana? ↦

– Boże, jeszcze jak – mówi podniesionym głosem. – Przez to już nawet zapomniałem, co znaczy słowo „strach”.

Gdy to mówi, w jego oczach maluje się przerażenie.

Za dowód służy pobliski dom, którego część pocisk zamienił w gruzy. W drugiej połowie października odłamki raniły mężczyznę, który handlował na zewnątrz. Ledwie przeżył. Dlatego wszystkie sklepy się pozamykały, a przez to trudno o jedzenie. Lokalne władze dostarczają mu tylko chleb. Sarkisjan gotuje, co mu się napatoczy.

Został sam, żona wyjechała do Erywania, stolicy Armenii. Dlaczego został? – Jeśli wyjadę, to komu będę tam potrzebny? – odpowiada pytaniem i zaczyna płakać.

Jego syn i wnuk są na froncie. Władze Górskiego Karabachu wzywają pod broń wszystkich zdolnych do jej noszenia. Trudno znaleźć rodzinę, w której choćby jeden mężczyzna by nie walczył.

Ochotnik z diaspory

Na wezwanie licznie stawili się także przedstawiciele ormiańskiej diaspory rozsianej po świecie, która liczy 7 mln ludzi. Jednym z nich jest 49-letni Aslan Sagijan, od 20 lat mieszkający w Moskwie. Krępy mężczyzna z siwiejącymi już włosami, w mundurze, idzie pewnym krokiem. Opowiada, że w stolicy Rosji ma własne przedsiębiorstwo średnich rozmiarów, że w przeszłości pracował m.in. w budowlance.

Nie miał wątpliwości, że musi tu przyjechać. Spakował rzeczy, pożegnał się z rodziną i wrócił do rodzinnego Martuni. To nie jest jego pierwsza wojna, walczył już w latach 90. oraz w 2016 r., podczas tzw. wojny czterodniowej. Po prostu

Aslan Sagijan wrócił z Moskwy bronić rodzinnego Martuni. 23 października 2020 r.

przyjeżdżał i walczył, a następnie wracał do rodziny. A co z jego firmą? W takich sytuacjach nie myśli o biznesie. Jak mówi, wszystko, co stracone, można odzyskać.

– My, Ormianie, nie mamy tego problemu, by coś porzucić, jeśli ojczyzna jest w potrzebie. Najważniejsze jest dla nas, żeby panował w niej pokój i dobrobyt – stwierdza Sagijan.

Odłamki nie do zliczenia

Mówią, że to odłamki są najbardziej śmiercionośne. Lekarz pracujący w szpitalu w Stepanakercie przyznaje, że ze świecą szukać tych, którzy trafiliby na oddział ratunkowy z raną postrzałową. Wszyscy mają rany od odłamków. Pociski, rakiety i bomby uderzają w obiekty i wojskowe, i cywilne po obu stronach. W zeszłym tygodniu ormiańskie pociski spadały na miasto Barda w Azerbejdżanie; miały zabić 21 osób, a 70 ranić.

Z kolei dwa tygodnie temu do szpitala trafił Sameul Babajan ze wsi Awetarnoc (po azersku: Çanaqçı), leżącej 15 km w linii prostej od Stepanakertu. 56-letni Ormianin oglądał wieczorem telewizję, gdy coś zaczęło się dziać na dworze. Poszedł sprawdzić, co to za dźwięki. Za późno zrozumiał, że to ostrzał. Pocisk uderzył tak blisko, że fala uderzeniowa wrzuciła go do domu, uszkodziła też budynek. Smak dymu czuje, jak mówi, do dzisiaj.

Babajan podniósł się i schował w głębi domu. Zobaczył, że sączy się z niego krew: z pośladka, pleców, rąk i nóg. Powiedział żonie, by przetarła je wódką. Ona wzywała karetkę, a on opanowywał krwawienie. Twierdził, że było mu wstyd zwracać się o pomoc lekarską, gdy potrzebują jej ludzie umierający na froncie. Przyjechał ambulans, medycy zatamowali krew i kazali zbierać się do szpitala, bo miał odłamki w ciele. Minął jakiś czas, zanim przekonali go i załadowali do karetki.

Babajana zastaję obolałego w łóżku szpitalnym, z trudem się porusza. Ma na sobie dres i sweter, spod nich wystają opatrunki. Dwa dni wyciągali z niego odłamki. Jeden wbił mu się w kość miednicy, inny trafił w plecy i utknął koło serca. Gdyby wbił się trochę bliżej, Babajan pewnie by nie przeżył. Gdy rozmawialiśmy, jeszcze jeden odłamek tkwił w pięcie. Początkowo go nie zauważył.

Chcą wraz z żoną wrócić do domu, bo – podobnie jak Arnold Sarkisjan z Martuni – nie mają się gdzie podziać. Jego matka leży schorowana w szpitalu. Babajan sądzi, że mama wkrótce umrze. Chce ją pochować na ziemi, z której pochodzi. Zanim to się jednak stanie, wioska może zostać zajęta przez azerbejdżańskie wojska.

Rodzina przytuli trumnę

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia co Babajan. Na cmentarzu wojskowym w Stepanakercie pogrzeby odbywają się codziennie. W zeszłym tygodniu liczba poległych żołnierzy ormiańskich przekroczyła tysiąc, każdego dnia statystyki są uzupełniane o kolejne nazwiska (Azerbejdżan nie informuje o stratach militarnych).

W Stepanakercie pochówkami zajmuje się Martin Guljan. – Ciężko jest patrzeć na martwych młodych ludzi, ale ktoś się musi tym zajmować. To dla nas bardzo ważne – mówi mężczyzna.

Dawniej pogrzeby były tłumne, teraz przyjeżdżają na nie tylko najbliżsi. To skromne i krótkie ceremonie. Czasami następują jedna za drugą. Bliscy płaczą, przytulają trumny. Trudno im się rozstać.

Wszystko wskazuje na to, że takich pogrzebów po obu stronach frontu będzie jeszcze wiele. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst ukończono 30 października

Pogrzeb ormiańskiego żołnierza w Stepanakercie, 25 października 2020 r.

REKLAMA

College of Europe
Collège d'Europe
Brugge Natolin

Twoja droga do międzynarodowej kariery

Kolegium Europejskie (College of Europe) to najstarsza i jedna z najbardziej prestiżowych uczelni oferujących studia w zakresie spraw europejskich. Podczas rocznych studiów na kierunku Advanced Master of Arts in European Interdisciplinary Studies w Kolegium Europejskim w Natolinie studenci zyskują szerokie spojrzenie na problematykę europejską oraz kompetencje przygotowujące do międzynarodowej kariery w wielu różnych sektorach.

Kandydaci z Polski mogą ubiegać się o finansowanie studiów w ramach stypendiów Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Rekrutacja na rok akademicki 2021/2022 otwarta jest do 13 stycznia 2021 r.

Więcej informacji: coleurope.eu/eis | coleuropenatolin.eu

Ogłoszenie skierowane jest do studentów ostatniego roku lub absolwentów studiów magisterskich.

With the support of the Erasmus+ Programme of the European Union

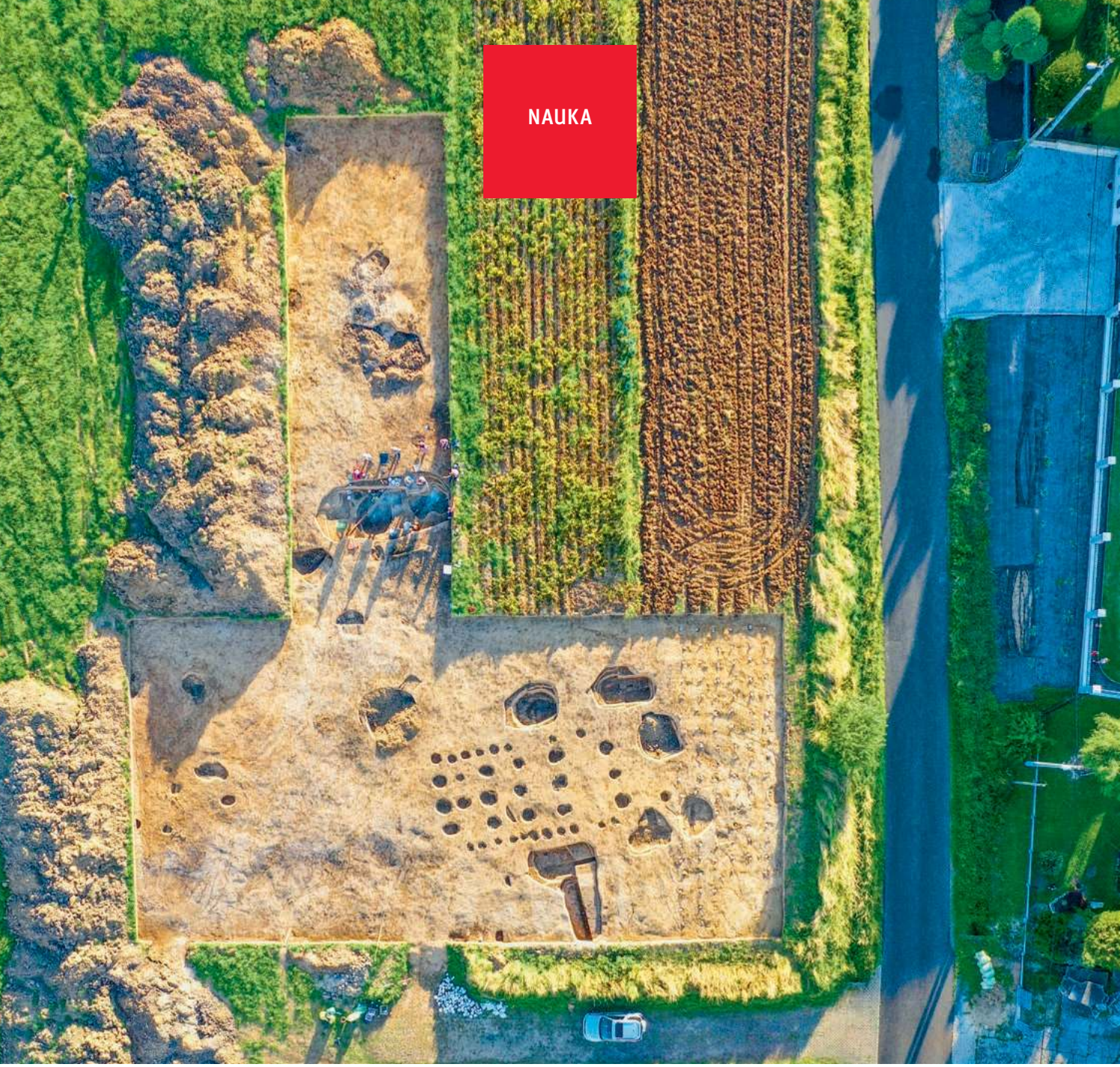

ZNAJDUJEMY TYLKO ŚMIETNIKI

DR MAGDALENA MOSKAL-DEL HOYO, ARCHEOBOTANICZKA:

Pojawienie się rolnictwa to jedna z kilku rewolucji, które zmieniały nie tylko nasz sposób życia, ale całe środowisko i planetę. Historię ludzi możemy odczytać ze szczątków roślin.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Zakończył się tegoroczny sezon wykopalisk w Biskupicach pod Wieliczką, którymi Pani kierowała. Rezydowała tam kultura ceramiki wstęgowej rytej.

MAGDALENA MOSKAL-DEL HOYO: Mówimy o kulturze kojarzonej z początkami rolnictwa na naszych terenach. Tworzyła ją ludność, która przybyła z południa, z obszaru dzisiejszych Węgier, przechodząc przez Bramę Morawską. Szukali zapewne nowego miejsca na osiedlenie się. Wiemy, że była to duża migracja, bo w tym samym czasie kultura ta dotarła na południe Polski, ale też na Kujawy, później na Ukrainę i na Zachód: przez Niemcy, Austrię po Francję, Holandię i Belgię. Pojawiła się ok. 7,5 tys. lat temu.

Co nam mówi nazwa tej kultury?

Zadziwiające jest to, że gdziekolwiek archeolodzy napotkali ślady jej osadnictwa, tam widać było bardzo duże podobieństwa – właśnie w ceramice: lepionej ręcznie, charakterystycznie zdobionej rytymi wstęgami. Ale taki sam był też sposób budowy domów – o konstrukcji słupowej, zwanych „długimi domami", bo liczących nawet do 20-30 m długości, zawsze usytuowanych na linii północ–południe i podzielonych na strefy: mieszkalne, gospodarcze, dla zwierząt.

Ale co najbardziej istotne – w osadach tej kultury po raz pierwszy odnajdujemy kości bydła, świń, owiec bądź kóz i równocześnie ślady po pierwszych uprawach. W archeologii mówimy o tzw. pakiecie neolitycznym: ci ludzie przyszli z całą znajomością rolnictwa. Do tego okresu w naszej części Europy go nie było.

Ci przybysze byli pionierami, którzy szli na dziki północny zachód?

Tak, a wymagało to dużej adaptacji. Rolnictwo zaczęło się na Bliskim Wschodzie ok. 10 tys. lat temu, na terenach obecnej Syrii, Izraela, Iraku i Turcji, gdzie doszło do udomowienia dzikich roślin i zwierząt. Dotarcie do Polski zajęło ludziom kilka tysięcy lat – oczywiście etapami. Szli przez Bałkany, zatrzymali się na terenie dzisiejszych Węgier, gdzie neolit – epoka pierwszych rolników – zaczął się ok. 500 lat wcześniej niż u nas. Po drodze obserwujemy, że np. dominująca na terenach południowych hodowla owiec i kóz przestawia się u nas na bydło i świnie – ze względu na inne warunki środowiskowe. Podobnie z roślinami: na południu, w klimacie śródziemnomorskim, spotykamy głównie uprawy ozime, co wynikało z dostosowania do okresów suszy i deszczów. Tymczasem w naszym klimacie niektóre gatunki czy odmiany zbóż mogły nie przetrwać mrozów – musiało więc dojść do adaptacji tych roślin na uprawę jarą.

ADAM WALANUS x2

Fragment neolitycznej ceramiki z przedstawieniem twarzy oraz obsydianowy rdzeń z Biskupic k. Wieliczki.

Obok: Odsłonięty przez archeologów zarys długiego domu, lato 2020 r.

MARTA KORCZYŃSKA / PAN

Znad Dunaju ci ludzie przynieśli nie tylko ziarna. Państwa spektakularnym odkryciem z Biskupic jest fragment ceramiki przedstawiający rogatą twarz. Dlaczego jest wyjątkowy?

Uważamy, że mamy do czynienia z kawałkiem naczynia, bo zachowany jest fragment wylewu. Tego typu naczynia na terenach Węgier, Słowacji czy Austrii występują stosunkowo często, jest to tzw. ceramika twarzowa, czyli naczynia zdobione ornamentem twarzy ludzkiej czy przedstawieniem zwierzęcia. Natomiast nasze znalezisko jest unikatowe przez rogi. Takiego przedstawienia jak dotąd nie znaleziono. Nie znamy też takich połączeń elementów rytych i plastycznych, jak tutaj, gdzie nos jest tak wiernie oddany, że widać nawet dziurki. Na Węgrzech czy Słowacji odnaleziono przedstawienia z rogami, ale były to wizerunki zwierząt lub miały inaczej zarysowane oczy. Na początku braliśmy nawet pod uwagę, że to też może być zwierzę, np. lis. Ale ten nos jest niezwykle ludzki.

Na co właściwie patrzymy? Skoro to była pierwsza społeczność rolnicza, to rogacizna była dla nich ogromnie cenna – a więc ludzka twarz ze zwierzęcymi rogami to niemal intuicyjny wizerunek bóstwa...

Pole do interpretacji jest bardzo szerokie, ale pierwsze, co się nasuwa, to faktycznie związek z *sacrum*. Gdyby to było naczynie codziennego użytku, znajdywalibyśmy znacznie więcej fragmentów takiej ceramiki. A tymczasem w Polsce jest tylko kilka przedstawień postaci ludzkiej pochodzących z tej kultury i są one – jak np. znalezisko z Brzezia pod Krakowem – schematyczne. W Gwoździcu koło Dunajca znaleziono część figurki – stopę.

Kolejne ważne znalezisko z Biskupic to kawał obsydianu, wulkanicznego szkła, wielkości cebuli. Też wyjątkowy?

To największy obsydianowy rdzeń znaleziony w Polsce na stanowiskach kultury ceramiki wstęgowej rytej. Rdzeń to bryła ukształtowana przez człowieka – z tzw. pięty dokonywano szeregu odbić, żeby uzyskać niezbędne narzędzia. Widać wyraźnie, że z tej bryły odłupywano długie, cienkie wióry, które mogły być używane jako wkładki do sierpów czy elementy noży. Rzecz w tym, że narzędzia zwykle robiono u nas z krzemienia. Obsydianowe były rzadkością, bo najbliższa Polsce wychodnia obsydianu znajduje się na pograniczu słowacko-węgierskim, w rejonie Tokaju. A to znaczy, że tutejsza ludność miała kontakty z mieszkańcami terenów na południe od Karpat.

I że ktoś zadał sobie trud, żeby, mając pod ręką krzemień, pozyskać obsydian. Takie wyjątkowe narzędzie mogło świadczyć o jego randze?

Tak myślę. I co ciekawe – znajdywane dotąd rdzenie obsydianowe były wyeksploatowane do cna, zachowały się głównie ogryzki wielkości połowy kciuka, a ten nasz jest wyjątkowo duży, i w dodatku znaleźliśmy go poza domostwem: w głębokim obiekcie w kształcie wanny, w którym prawie nic innego nie było. Ten obiekt od razu skojarzył się nam z grobem. Niestety, skład chemiczny gleby na południe od Wisły sprawia, że nie zachowują się w niej kości, ale wiemy z innych ↦

↦ stanowisk tej kultury, że w osadach mogą się pojawiać pojedyncze pochówki.

Przenieśmy się do wnętrza długiego domu. Znaleźli Państwo ślady po trzech takich domostwach. Jak mogło wyglądać w nich życie?

Dziś widzimy tylko pozostałości tego, co było zagłębione w ziemi: np. miejsca, w których zgniły wbite w ziemie słupy i które są ciemniejsze niż jama dookoła. Taki słup miał ok. 20-30 cm średnicy, a czasem i więcej – najczęściej był z drzewa dębowego, wykorzystywano też jesion. Dom otaczały jamy, z których być może wybrano glinę do zrobienia ścian między słupami. Te jamy w czasie użytkowania osady były otwarte, spływała do nich deszczówka. Niektóre były zadaszone, więc mogły się w nich znajdować paleniska – stwierdzamy w nich ślady działania ognia. Mogły też służyć jako toalety.

Domy były przykryte dwuspadowym dachem. A ponieważ były tak duże i długie, to sądzimy, że część domu była stajnią czy stodołą, gdzie zwierzęta mieszkały przy ludziach. Potwierdzają to badania geochemiczne.

Ilu ludzi mogło w takim domu mieszkać?

Duża, wielodzietna rodzina. Były tam też strefy do magazynowania jedzenia. W pobliżu domu obrabiano krzemień – nie na większą skalę, bo kawałki krzemienia powbijałyby się w stopy, ale np. w jednej z jam trafiliśmy na kilkaset drobnych wiórów i drobnicy po łupaniu – które ktoś uprzątnął jak do śmietnika.

Taki śmietnik to pewnie skarbiec dla archeologa?

W zasadzie wszystko, co znajdujemy, to śmietniki. Stanowisko, które badamy, zostało zapewne opuszczone i pozostawiono w nim to, co się nie nadawało do zabrania.

Pracuje Pani w Instytucie Botaniki PAN – nie bez przyczyny to botanicy prowadzili badania w Biskupicach: bardzo ważną częścią znalezisk jest to, co pozostało po działalności rolniczej i zwyczajach kulinarnych ludzi z neolitu. Nasiona, ziarna...

Pojawienie się rolnictwa to jedna z kilku rewolucji, które zmieniały nie tylko nasz sposób życia, ale całe środowisko i planetę. Niestety badania archeobotaniczne prowadzi się nadal rzadko.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

DR MAGDALENA MOSKAL-DEL HOYO jest archeolożką i etnolożką, specjalizuje się w analizie szczątków roślin ze stanowisk archeologicznych. Pracowała m.in. na Uniwersytecie w Walencji, obecnie w Instytucie Botaniki im. W. Szafera PAN w Krakowie. Badania w Biskupicach finansowane były przez Narodowe Centrum Nauki.

To żmudny proces. Więc chcę tu podziękować mojemu zespołowi młodych archeologów: Marcie Korczyńskiej, Magdzie Kapci i Robertowi Kenigowi, oraz wspierającym nas badaczom neolitu: dr hab. Agnieszce Czekaj-Zastawny i dr. hab. Markowi Nowakowi.

Pobieraliśmy próby ziemi z każdego obiektu, z każdej warstwy, którą odsłanialiśmy. Łącznie ponad 800 próbek, a każda musi zostać przeszlamowana, czyli przepłukana na sitach, z których najmniejsze ma średnicę 0,5 mm. Gdy rozpuszczamy osad w wodzie, szczątki roślinne wypływają. Następnie wysuszoną próbę trzeba przebrać pod lupą i wybrać z niej szczątki roślinne, takie jak m.in. nasiona, owoce i węgle drzewne, często bardzo drobne. Dopiero wtedy można je oznaczyć, czyli stwierdzić, z jakiej pochodzą rośliny.

Na stanowiskach, gdzie osadnictwo trwało przez wieki, może dojść do wymieszania materiału. Nasiono z jednej warstwy do drugiej może zostać przetransportowane nawet przez dżdżownicę. Np. na stanowisku w Miechowie, które jest wielokulturowe, bardzo się kiedyś ucieszyłam, znalazłszy w jednym z obiektów neolitycznych ziarno prosa. Owszem, wątpiliśmy, czy jest neolityczne, ale dopiero datowanie radiowęglowe powiedziało nam, że to ziarno było znacznie młodsze, pochodziło z epoki brązu.

Dlaczego wątpiliście?

Wiemy dziś, dzięki dziesięcioleciom badań, że jęczmień i pszenica mają bliskowschodnie pochodzenie. Natomiast proso wywodzi się z Dalekiego Wschodu, związane jest z terenami Chin. Do udomowienia musiało dojść tam, gdzie roślina występuje naturalnie, a nie znamy dzikich przodków prosa na Bliskim Wschodzie. Na większą skalę pojawia się ono w epoce brązu, co łączy się z najazdem na Europę koczowniczych plemion ze Wschodu. Potwierdzają to zresztą ostatnie datowania.

Co zatem rosło w neolitycznych Biskupicach?

Np. pszenica płaskurka, jedna z pierwszych pszenic, która uprawiana była od Bliskiego Wschodu po Europę. Potwierdziły to już wstępne badania zebranych próbek. Płaskurka wydaje się głównym zbożem tej społeczności. Często towarzyszy jej inna stara pszenica oplewiona – samopsza. Obie mają podobne wymagania ekologiczne i zakłada się, że mogły rosnąć na tych samych polach.

Mamy też nasiona roślin uważanych dzisiaj za chwasty, ale być może znaleźliśmy i rośliny strączkowe, choć jeszcze musimy to potwierdzić. Wiemy z innych stanowisk, że wśród pierwszych roślin uprawnych były groch i soczewica, powinny się też znaleźć na naszym stanowisku. Strączkowe są ważnym źródłem białka, a ówczesna dieta najpewniej oparta była głównie na roślinach. Mięso, podobnie jak jeszcze w XIX i na początkach XX w., było luksusem. Można spokojnie przeżyć na diecie roślinnej, sama zresztą jestem weganką.

A czy ówcześni ludzie przynieśli z Bliskiego Wschodu technikę wypieku chlebków-podpłomyków?

Trudno powiedzieć, bo nie znaleźliśmy ich pozostałości... choć kto wie? W naszych próbach znajdujemy masę tzw. materiałów niezidentyfikowanych. Przed Biskupicami prowadziłam badania w Mozgawie, na terenie Niecki Nidziańskiej, nad późniejszą kulturą neolityczną – kulturą pucharów lejkowatych. Tam trafiliśmy na zwęglone amorficzne grudki będące pozostałością po nieokreślonej masie, w której znajdowały się fragmenty lub nawet całe ziarna.

Mogły to być okruchy chleba?

Chleba lub mącznej bryjki. Trwają właśnie międzynarodowe badania, które mają

wśród podobnych resztek, dość często znajdowanych w próbach archeobotanicznych, rozróżnić, czy mamy do czynienia z chlebem, ze starym zakwasem, czy np. z zaczynem do piwa. Produkcji tego ostatniego możemy się niekiedy domyślać, gdy znajdujemy nagromadzenie skiełkowanych ziaren zbóż. Z kolei gdy widzimy pod mikroskopem, że nasze amorficzne fragmenty mają w środku dużo przestrzeni, możemy się domyślać wyrośniętego chleba. Wiele odkryć jeszcze przed nami.

Co jeszcze wiemy o neolitycznych praktykach kulinarnych?

Zwykle znaleziska dzielimy tak, jak obecnie: na rośliny uprawne, zbierane dzikie i np. chwasty. Tymczasem coraz więcej badań pokazuje, że wśród tzw. chwastów jest dużo roślin, które były przez człowieka spożywane. Brałam udział w badaniach dr hab. Aldony Mueller-Bieniek z naszego Zakładu, na stanowisku tej samej kultury ceramiki wstęgowej rytej, tyle że na jej północnych rubieżach – na Kujawach. W próbach bardzo dużo było komosy białej, *Chenopodium album*, czyli lebiody. Udało się nam potwierdzić, że nie był to jedynie chwast, lecz jedna z roślin, które – zwłaszcza w momentach kryzysów, gdy zbiór się nie uda, spleśnieje lub spłonie – stanowiły żywieniowy plan B. O tym, że „chwasty", których ślady znajdujemy, jak lebioda, stokłosa żytnia czy rdestówka powojowata, były spożywane, świadczą także znaleziska ludzkich mumii z torfowisk: w ich jelitach zachowało się bardzo dużo nasion dzikich roślin.

Pierwsi rolnicy zawsze mieli opcję powrotu do zbieractwa?

Tak, musieli dysponować ogromnym spektrum możliwości wyżywienia. Uprawa była ważna, ale przypuszczam, że wykorzystywali wszelkie możliwe rośliny. Zresztą część roślin, których ślady odnajdujemy w towarzystwie zbóż, badacze uznają za archeofity – czyli rośliny zawleczone na nasze tereny przez pierwszych rolników. Nie były częścią naszej oryginalnej flory, trafiły tu, bo ich nasiona wymieszane były z ziarnem na zasiew – ale być może ziaren nie oczyszczano z nich celowo.

Zbierane były też jabłka czy gruszki – nasiono najstarszego jabłka w Polsce znaleziono w Gwoździcu. Ze stanowisk innych kultur znamy też pozostałości poziomek, jeżyn, malin, orzechów laskowych – one też były istotnymi składnikami diety.

Biskupice są ciekawe, bo po pierwsze są stanowiskiem jednokulturowym – nie znaleźliśmy tu śladów innych kultur. A po drugie są dla tej kultury nietypową lokalizacją.

Dlaczego?

Ponieważ zaczyna się tu już Pogórze. Jeszcze ok. 20-30 lat temu sądzono, że kultura ta w ogóle nie wchodziła w Pogórze i trzymała się dolin dużych rzek, takich jak Wisła. Aż nagle odkryto pierwsze stanowiska nad Dunajcem. Okazało się wtedy, że ci ludzie docierali nawet w góry. Swoje górskie osady zakładali wysoko, jak w Biskupicach, na stoku wzgórza. To interesujące, co nimi kierowało.

Da się to stwierdzić?

Nie jest to łatwe. Specjalizuję się głównie w antrakologii – która polega na określaniu, z jakich drzew pochodzą fragmenty węgli drzewnych znalezionych na stanowiskach archeologicznych, i która pozwala na rekonstrukcję dawnych lasów. Jeszcze przy okazji poprzednich badań stanowisk kultury najstarszych rolników zastanawiało mnie, że powtarza się to samo spektrum drzew i krzewów: dąb, sosna, brzoza, trochę leszczyny, jesion, wiąz. Rzecz w tym, że te stanowiska archeologiczne okazały się być skupione tam, gdzie występowały lessy. A na lessach występują najżyźniejsze gleby: czarnoziemy. Już w neolicie ludzie wiedzieli, gdzie ich szukać.

Moja teoria była taka, że obszary lessowe musiały się jakoś wyróżniać na tle tych terenów, gdzie rozwijały się wielogatunkowe, gęste lasy liściaste. Na podstawie badań palinologicznych (dotyczących pyłków roślin) wiemy, że ów okres był optymalny dla rozwoju właśnie takich lasów – a tu nagle odkrywam mnóstwo pozostałości drzew, które według diagramów palinologicznych w ówczesnych lasach raczej nie przeważały. Obrazy dominującej roślinności leśnej się więc nie zgadzały. Ale lessy to właśnie enklawy, na których las niekoniecznie był tak zwarty, mógł być bardziej świetlisty. Co więcej, na takich obszarach mogły wytworzyć się nawet dogodne warunki do przetrwania roślin stepowych, jeszcze z okresu plejstocenu i początków holocenu. Zresztą może to być powrót do tzw. teorii stepowej rozprzestrzeniania się neolitu, sformułowanej już ok. stu lat temu. Być może pierwsi rolnicy dostrzegali w takim krajobrazie coś podobnego, gdyż z takim typem lasu parkowego mieli do czynienia nad Dunajem czy Cisą. Takie lasy są też naturalnym środowiskiem dla traw, czyli przodków zbóż – na Bliskim Wschodzie płaskurka czy samopsza rosły dziko właśnie w świetlistych, rzadkich lasach.

A zarazem taki las był łatwiejszy do wykarczowania pod uprawę niż gęsta knieja?

I być może wskazywał na typ gleby pod spodem. Przecież ludzie nie pobierali jej próbek. A przynajmniej tak zakładamy, bo potrafili być bardzo sprytni.

©Ⓟ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Rekonstrukcja neolitycznego długiego domu (dzięki uprzejmości dr hab. Agnieszki Czekaj-Zastawny z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN).

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

+ PREZENT!

* ważny do 1 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Już teraz zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj prezent

„Ks. Adam Boniecki. Ćwiczenia z optymizmu. Książka do pisania” – to wyjątkowy notes z fragmentami wypowiedzi księdza Bonieckiego ilustrowany zdjęciami autorstwa Grażyny Makary i z prywatnego archiwum bohatera książki.

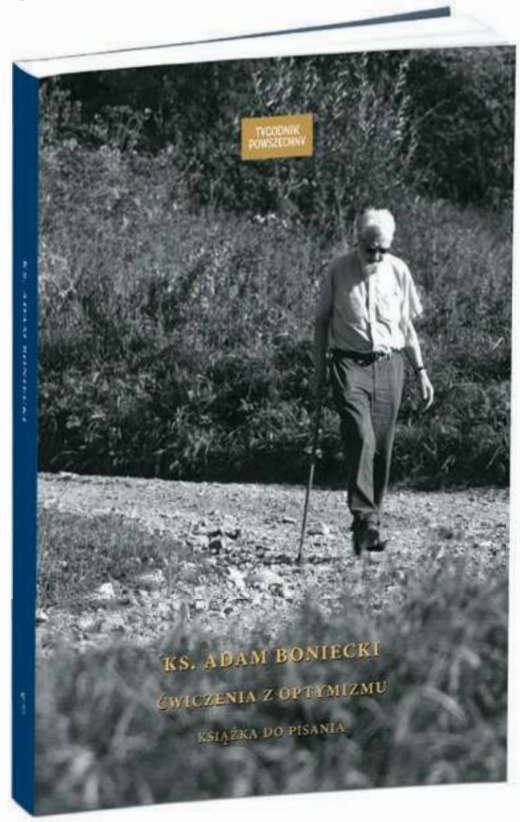

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. Jeśli wykupisz lub odnowisz prenumeratę do 1 grudnia br., „Książkę do pisania” otrzymasz jeszcze przed świętami – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 1 grudnia 2020 będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.
Jak zachować optymizm i pogodę ducha?
Jak nie poddać się zwątpieniu?
Czy Bóg ma poczucie humoru?
Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadł redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA W TLE GRAŻYNA MAKARA DLA „TP”

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie
MAŁOPOLSKA
REKLAMA
Wojciech Bogusławski
Cud mniemany,
czyli krakowiacy i górale
reżyseria Cezary Tomaszewski
PREMIERA 4 GRUDNIA 2020
DUŻA SCENA
5.12
6.12
12.12
13.12
www.teatrwkrakowie.pl

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA
OFICJALNI PARTNERZY TEATRU
TOYOTA DOBRYGOWSKI Bronowice
INGLOT
Bielenda
PATRONI MEDIALNI
RADIO KRAKÓW
lounge
A&B
PATRONI MEDIALNI PREMIERY
VIVA!
URODA
PARTNER PREMIERY
Harnas

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 45/2020

Włóczykij Kulturalny

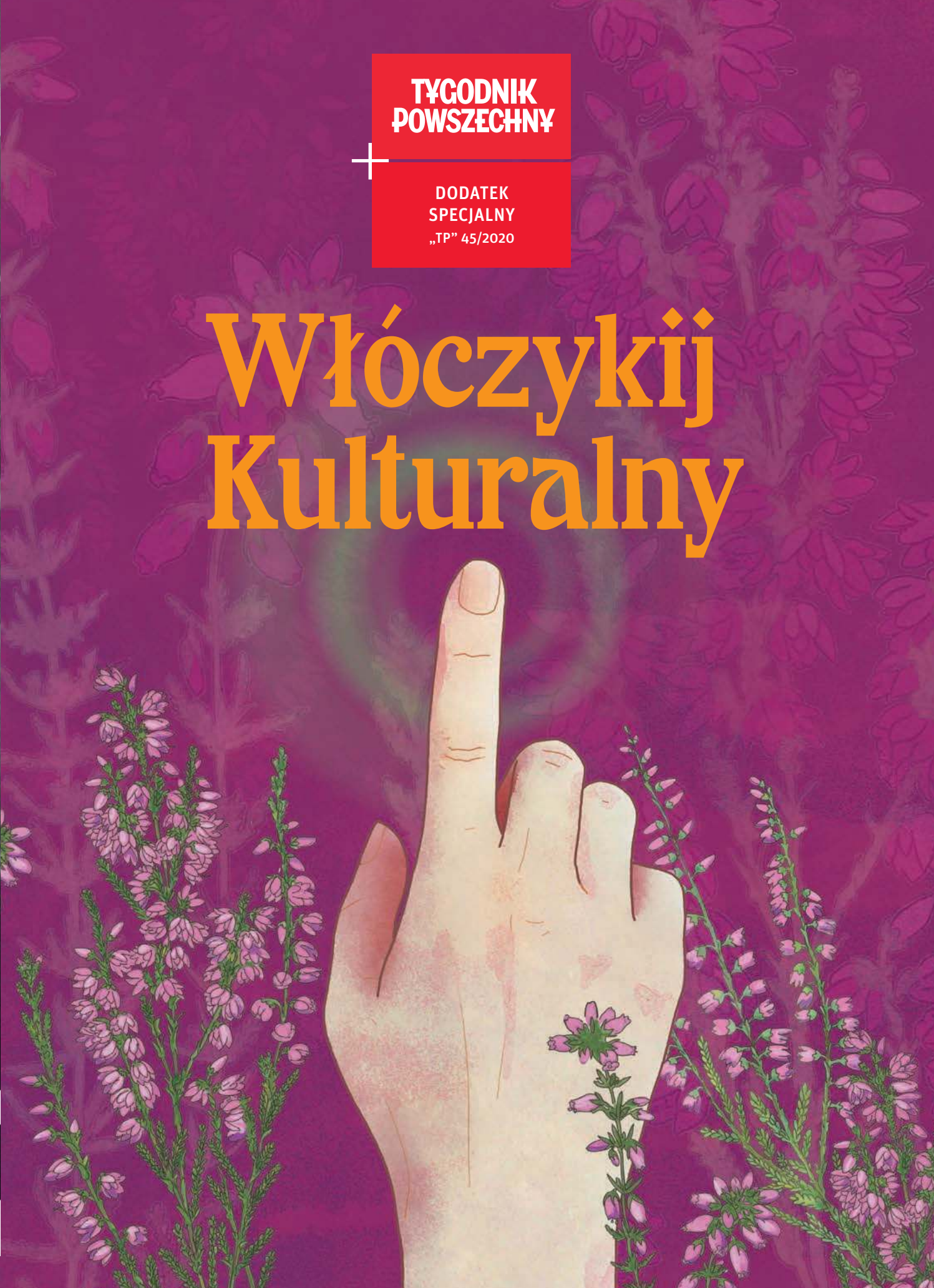

MATERIAŁY PRASOWE NATIONAL GALLERY UK

Artemisia Gentileschi, „Judyta odcinająca głowę Holofernesowi", około 1612-13 r.

Wszystko, co możesz zobaczyć

PIOTR KOSIEWSKI

Także w sztuce pandemia przyniosła niepokój, lęk i stan zagrożenia. Nie chodzi jedynie o to, czy znów zamkną się drzwi do galerii i muzeów. Istotniejsze, czy wszystkie instytucje odnajdą się w nowej sytuacji.

Ozwrocie w kierunku sztuki kobiet mówi się od lat, ale dopiero teraz twórczość artystek staje się pełnoprawną częścią głównego nurtu. Symbolicznym wydarzeniem było to, że w opublikowanym przed kilkoma miesiącami przez prestiżowe wydawnictwo Phaidon tomie „Great Women Artists", prezentującym szerszej publiczności twórczość ponad 400 kobiet, przekreślono w tytule słowo „Women". Jakby chciano podkreślić, że przedstawione w nim kobiety są po prostu *great artists*.

To tworzącym kobietom właśnie miały być poświęcone jedne z najważniejszych tegorocznych wystaw. Pandemia boleśnie zweryfikowała te plany. Na szczęście nie wszystkie imprezy zostały odwołane, a bezsprzeczne pierwszeństwo w pokazywaniu artystek ma Londyn. Choć i tu ważne ekspozycje, jak przygotowywana w **Royal Academy** wystawa **Angeliki Kauffmann**, która w ostatnich dekadach XVIII w. osiągała wielkie sukcesy nad Tamizą i w 1768 r. była jedną z założycieli tej szacownej instytucji, zostały przeniesione. Wśród odwołanych jest też planowana w **Tate Modern** wielka wystawa monograficzna **Magdaleny Abakanowicz**.

National Gallery bez kobiet?

Otwarta jesienią w **National Gallery** wystawa **Artemisii Gentileschi** to bez wątpienia europejskie wydarzenie roku. Przy czym nie chodzi jedynie o pojedynczą ekspozycję. Przed dwoma laty galeria nabyła „Autoportret" Gentileschi, na którym ta wybitna artystka doby baroku przedstawiła siebie w stroju i z atrybutami św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Zakupowi towarzyszył medialny szum – okazało się bowiem, że w jednym z najważniejszych muzeów sztuki twórczość kobiet jest niemalże nieobecna. Władze National Gallery postanowiły to zmienić.

Nie tylko one – ostatnie miesiące to wręcz wysyp filmów, artykułów i książek poświęconych artystkom. W mediach społecznościowych nieustannie prezentowana jest historyczna i współczesna sztuka kobiet, a szerszym odbiorcom przybliżane są kolejne zapomniane artystki, jak choćby **Plautilla Nelli**. Niedawna konserwacja obrazów jej pędzla pokazała mistrzostwo warsztatu XVI-wiecznej florenckiej malarki i zakonnicy.

Z kolei w **Tate Britain**, także z opóźnieniem, można oglądać obrazy jednej z najciekawszych brytyjskich malarek młodego pokolenia **Lynette Yiadom-Boakye**, której portrety osób pochodzących z Afryki, bliskie XIX-wiecznemu malarstwu, wydają się próbą wypełnienia pustego pola, jakie wynika z wielowiekowego marginalizowania w sztuce wizerunków czarnych. Zaplanowana z dużym wyprzedzeniem wystawa wpisała się w aktualną debatę publiczną wywołaną tragiczną śmiercią George'a Floyda, poruszając wątek rozliczeń z dziedzictwem rasizmu i niewolnictwa.

Rewizja kanonu

Fala zainteresowania sztuką kobiet nie ominęła także Polski. Niestety, do przyszłego roku musimy poczekać na od dawna planowaną w stołecznym **Muzeum Narodowym** wielką wystawę poświęconą działającej w ostatnich dekadach XIX w. **Annie Bilińskiej**, pierwszej polskiej artystce docenionej przez zagranicznych krytyków, której obrazy prezentowano na najważniejszych europejskich wystawach. Chociaż jej twórczość od dłuższego czasu budzi coraz większe zainteresowanie, teraz na dobre trafi do kanonu sztuki.

Tymczasem udało się już przypomnieć dorobek kilku innych istotnych współczesnych artystek. W **łódzkim Muzeum Sztuki** pokazano twórczość zmarłej w tym roku **Teresy Tyszkiewicz**, jednej z najciekawszych reprezentantek polskiej neoawangardy – performerki, autorki eksperymentalnych filmów, obiektów i asamblaży. **Wrocławskie Muzeum Współczesne** przypomniało związaną ze środowiskiem sztuki konceptualnej **Barbarę Kozłowską**, uczestniczkę przełomowych w latach 70. wydarzeń, jak Sympozjum Plastyczne Wrocław '70 czy Zjazd Marzycieli w Elblągu w 1971 r. Z kolei w **warszawskiej Królikarni** można było zobaczyć ważny przegląd prac **Urszuli Broll**, jednej z najoryginalniejszych twórczyń II połowy XX w.

Te i kilka innych zorganizowanych w ostatnich latach wystaw pokazują, że konieczna jest rewizja kanonu polskiej nowoczesności przewartościowująca powszechnie uznane hierarchie artystyczne. Zbyt wiele artystek zostało pominiętych, zmarginalizowanych i zapomnianych.

Najważniejsze, że ich obecność w galeriach i muzeach staje się oczywistością. Świetnym przykładem jest tegoroczna edycja **Warsaw Gallery Weekend** (odbył się w dniach 1-4 października) – ponad połowa wystaw przygotowanych przez prywatne galerie była poświęcona kobietom. Wiele z nich będzie można oglądać do końca listopada.

Fitness i malarstwo

O dawna mówi się o performatywnym zwrocie w sztuce. To twórczość, która sytuuje się między teatrem, tańcem a sztukami wizualnymi. Niektórzy nawet narzekają, że współczesny performans staje się rozrywką dla mas, a krytyk Stach Szabłowski określił go mianem „fitnessu w sztuce". Zagościł on jednak nie tylko w wielu galeriach, ale przede wszystkim zdobył swoją publiczność i został dostrzeżony przez rynek ↦

REKLAMA

↦ sztuki, choć w czasach pandemii – podobnie jak teatr i taniec – padł ofiarą sanitarnych obostrzeń.

Ten zwrot nie doprowadził jednak do odejścia od tradycyjnych technik. Przeciwnie, zwłaszcza malarstwo nieustannie przykuwa uwagę, a nawet więcej – na powrót stało się modne. Malarki i malarze młodego pokolenia, często urodzeni pod koniec lat 80. albo tuż po przełomie 1989 r., bardzo szybko robią kariery. O ile nie tak dawno głośno było o powrocie do surrealizmu, a potem rozpisywano się o zombi formalizmie, malarstwie odwołującym się do sztuki abstrakcyjnej, dziś wróciła figuracja. Nieuładzona, brutalna, często nawiązująca do tradycji ekspresjonistycznej. To malarstwo, którego symbolem stała się **Potencja – Karolina Jabłońska, Tomasz Kręcicki i Cyryl Polaczek**.

Lista młodych artystów i artystek jest długa. Są wśród nich **Martyna Czech** tworząca dosadne i brutalne obrazy przedstawiające skrajne stany i uczucia: miłość i nienawiść, cierpienie i śmierć, czy **Jan Możdżyński**, który w sposób bezpretensjonalny, bez epatowania, pokazuje rozmaitego rodzaju odmienności, fascynacje i nieoczywiste praktyki seksualne. Jednym z odkryć tegorocznego Warsaw Gallery Weekend jest malarstwo **Hanny Krzysztofiak**. Artystka przedstawia świat z pogranicza realności i snu, w którym mieszają się motywy z dzieciństwa i rzeczywistości dorosłych. Groteskowy, ale też budzący grozę.

Jednak ograniczenie się do twórców uprawiających malarstwo figuratywne byłoby znacznym uproszczeniem – nie wszystkich młodych uwiodło. W obrazach **Irminy Staś** można dopatrywać się fragmentów organizmów, tkanek, narządów lub uznać je za abstrakcyjne formy. Niewiele od niej starszy **Sławomir Pawszak** – jego wystawa trwa obecnie w **BWA Warszawa** – na swych płótnach umieszcza nie do końca przystawalne do siebie elementy, miksuje różne tradycje i sposoby obrazowania.

Malarstwo nie jest tylko domeną najmłodszego pokolenia. W innej warszawskiej galerii – **Pola Magnetyczne** – trwa wystawa **Agaty Bogackiej**, przez lata kojarzonej z przedstawieniami młodych ludzi, często w intymnych sytuacjach. Dziś Bogacka zerwała z figuracją. Tworzy niezwykłe, abstrakcyjne płótna, w których skupia się na samej materii malarskiej, na grze układów figur geometrycznych, przenikaniu barw i warstw farby.

Miejsca dla sztuki

Do niedawna można było sądzić, że mamy do czynienia z dość ustabilizowanym układem instytucji publicznych zajmujących się sztuką. Tuż przed pan-

Muzyczna jesień

▪ **FESTIWAL ARS CAMERALIS**
arscameralisfestiwal.pl

TEGOROCZNA EDYCJA odbędzie się między 9 a 28 listopada. Wystąpią m.in. Wishlake, Velveteve, Katie & Me Meet Marlene, Bukowicz, WIDT, Hiob Dylan, Katarzia, Adam Witkowski oraz Lubomir Grzelak. Więcej o festiwalu przeczytają Państwo na kolejnych stronach tego numeru.

▪ **FESTIWAL CLASSIX**
bdk.brodnica.net

DRUGA EDYCJA odbywającego się w Brodnicy festiwalu ruszy 5 listopada online pod hasłem „piękno poprzez zniekształcenie”. W tym roku usłyszymy m.in. Hanię Rani, Dobrawę Czocher, Rafała Kwiatkowskiego z towarzyszeniem Kwartetu Camerata, Nikolę Kołodziejczyka, Mateusza Smoczyńskiego, Nikę Lubowicz i Big Band Konglomerat.

▪ **FESTIWAL EUFONIE**
eufonie.pl

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL muzyki Europy Środkowo-Wschodniej potrwa od 20 do 28 listopada w Warszawie oraz online. Motywem przewodnim tegorocznej edycji jest romantyzm. Wystąpią Veriko Tchumburidze, Olga i Natalia Pasiecznik, Adam Bałdych, Anu Tali, Oval.

BARTOSZ HOŁOSZKIEWICZ / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

Skalpel wystąpi na festiwalu Jazzowa Jesień

▪ **JAZZOWA JESIEŃ**
jazzowajesien.pl

TEGOROCZNA, 18. EDYCJA festiwalu potrwa od 19 do 22 listopada w Bielsku-Białej. Wystąpią m.in. Dominik Wania piano solo, orkiestra Aukso pod batutą Marka Mosia, Maciej Obara, Marcin Masecki i Marcin Markowicz, Skalpel + Jazz Quartet feat. Piotr Damasiewicz oraz Jazz Band Młynarski-Masecki.

▪ **FESTIWAL JAZZ JANTAR**
jazzjantar.pl

DO 12 GRUDNIA potrwa natomiast Festiwal Jazz Jantar, jeden z najstarszych na Wybrzeżu i w Polsce festiwali jazzowych. W tegorocznej edycji biorą udział m.in. Johanna Summer, ATT Trio, Damian Hyra Quartet, Brutah, Katharina Ernst, Tomasz Chyła Quintet, Franciszek Pospieszalski Sextet, Pavel Zlámal & PQ, Aleksandra Kutrzepa Quartet, New Bone, Jakub Paulski Trio, Marcel Baliński Trio, E Converso, Krystyna Stańko Trio.

▪ **SACRUM PROFANUM**
sacrumprofanum.com, playkrakow.com

OD 1 DO 29 LISTOPADA potrwa tegoroczna edycja krakowskiego festiwalu. Wystąpią m.in. Stefan Węgłowski, Kwartludium, Spółdzielnia Muzyczna contemporary ensemble, Ewa Liebchen, Barbara Kinga Majewska, Marcin Masecki, Royal String Quartet, Hashtag Ensemble oraz Jakub Gucik. Jednym z wydarzeń towarzyszących będzie premierowe wykonanie „Opery dla Głuchych” w reż. Roberta Piotrowicza. © AD

demią zaczął się jednak regres. W ubiegłym roku warszawskie Muzeum Narodowe zostało niemalże sparaliżowane. Ze stanowiska usunięto także Alicję Knast, która z Muzeum Śląskiego uczyniła jedną z najważniejszych instytucji w kraju (kilka tygodni temu została szefową Galerii Narodowej w Pradze). Coraz bardziej ponura staje się sytuacja w Zamku Ujazdowskim. Tym bardziej śpieszmy się bywać w ciekawych miejscach, politycy tak łatwo potrafią je zniszczyć.

Warto wyjść także poza medialny ogląd tego, co dzieje się w kulturze, i zaglądać do miejsc przez artystów i krytyków cenionych, lecz trudniej, nie tylko z racji położenia, przebijających się do ogólnopolskiej publiczności. Lista jest długa: od przygotowującego od lat świetne wystawy **białostockiego Arsenału** i **lubelskiego Labiryntu** poprzez **BWA w Tarnowie** czy **BWA w Zielonej Górze** po **sopocką Państwową Galerię Sztuki**, w której sztuka dawna sąsiaduje ze współczesną. Jest też inny obieg sztuki. Ukształtowała się już stabilna sieć galerii prywatnych, sprofesjonalizowanych, osadzonych w naszym rynku sztuki i przygotowujących ciekawą ofertę wystawienniczą.

Im wszystkim pandemia przyniosła niepokój, lęk i stan zagrożenia. Nie chodzi jedynie o to, czy za chwilę znów zamkną się drzwi do galerii i muzeów. Istotniejsze jest pytanie, czy wszystkie instytucje odnajdą się w nowej sytuacji. Czy już dziś znajdą odpowiedzi na trudne, wręcz traumatyczne doświadczenie COVID-19, ale też napięć i konfliktów, politycznych i społecznych? W przypadku galerii prywatnych jest też pytanie o wpływ nieuniknionego kryzysu gospodarczego na rynek sztuki.

Część instytucji stara się wrócić do normalności. Czasami wiąże się to z ucieczką od spraw aktualnych albo radykalną rewizją planów – Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zrezygnowało z większości zamierzeń, skupiając się przede wszystkim na pomocy artystkom i artystom dotkniętym kryzysem pandemicznym. A z planów wystawienniczych na drugą połowę roku pozostawiono jedynie kolejną edycję festiwalu **Warszawa w Budowie** (trwa do stycznia 2021 r.) poświęconego problemom kluczowym w czasach pandemii, czyli wspólnocie, budowaniu więzi społecznych, i to na tym najbliższym, lokalnym poziomie.

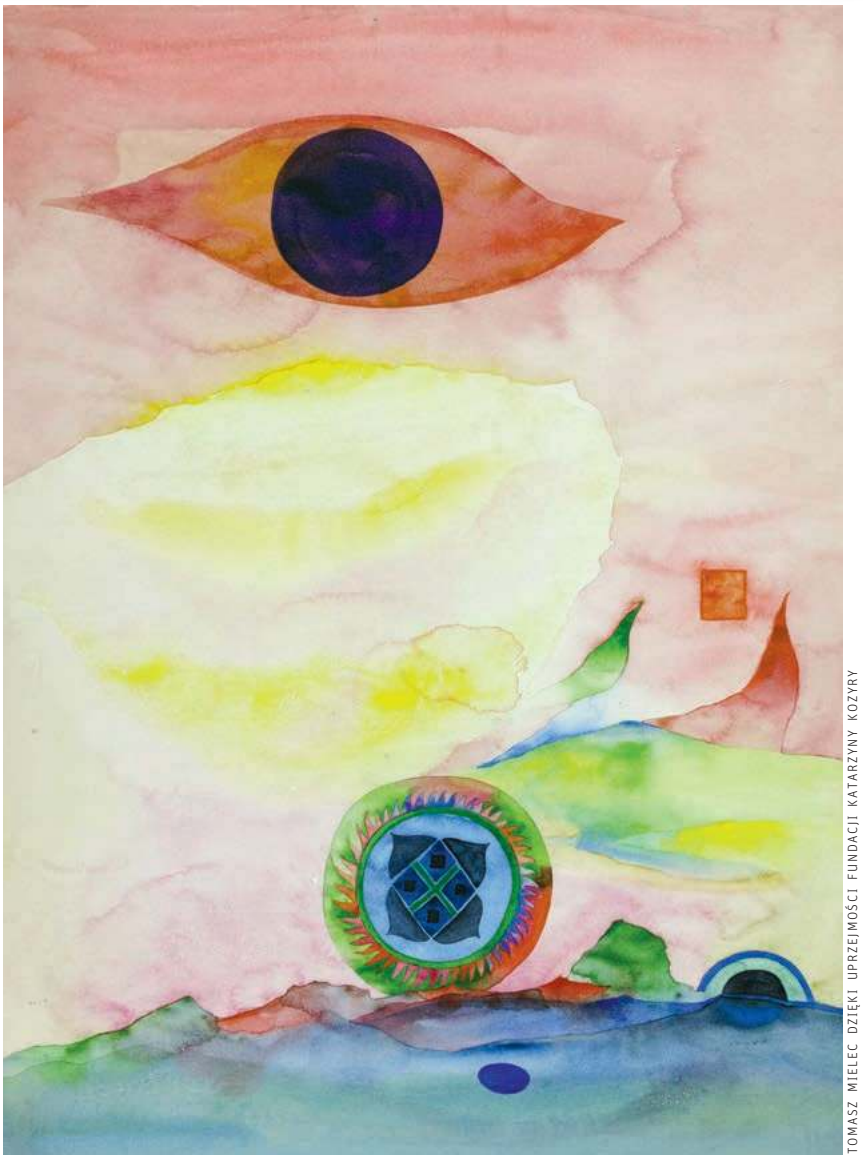

TOMASZ MIELEC DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI KATARZYNY KOZYRY

Urszula Broll, bez tytułu, 1965 r.

Jeżeli pandemia spowodowała już radykalną zmianę, jest ona związana z ostatecznym oswojeniem internetu. Stał on się codzienną przestrzenią kontaktu z kulturą. Ministerstwo Kultury ogłosiło nawet konkurs grantowy na prowadzenie działań kulturalnych w sieci. Problemem jest to, że w większości były i są to działania polegające na prostym przenoszeniu dotychczasowej aktywności z realu do wirtualu. Znacznie trudniejsze, zarówno dla artystów, jak i instytucji, okazało się wykorzystanie specyfiki sieci, co pokazuje przygotowany przez magazyn „Szum" ranking działań artystycznych online: znalazły się w nim nawet zajęcia fitness w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Najbardziej przekonujące okazały się działania **Pawła Żukowskiego**, który nie w internecie, ale realnym świecie, za pomocą kartonowych transparentów wywieszanych na balkonie komentował rzeczywistość czasów pandemii. I to zdjęcia tych akcji zalały sieć. Na początku października **Fundacja Nowych Działań otworzyła wystawę „2020 Konrad Pustola: Transfer"**. To samodzielny, kuratorski projekt wykorzystujący możliwości, jakie daje sieć. Bo to zapewne na nią przez kolejne miesiące będziemy skazani.

© PIOTR KOSIEWSKI

Filmy złapane w sieć

ANITA PIOTROWSKA

Organizatorzy festiwali w internecie dwoją się i troją, by utrzymać kontakt ze swoją publicznością. Oto najciekawsze propozycje najbliższych tygodni.

Śpieszmy się kochać kina – rzec by się chciało, patrząc na ich tragiczną obecnie sytuację, zwłaszcza tych najmniejszych. Kiedy piszę ten tekst, rygor sanitarny strefy czerwonej pozwala na zajęcie 25 proc. foteli kinowych. Dla wielu kin studyjnych oznacza to ledwie możliwość przetrwania. Równocześnie tworzy warunki o wiele bezpieczniejsze niż w jakimkolwiek innym zamkniętym miejscu publicznym. Obostrzenia spowodowały jednak fatalny efekt psychologiczny, przekładający się na frekwencję nawet poniżej wspomnianego limitu.

Tęskniąc za normalnością, przedstawiamy Państwu przewodnik po wirtualnych wydarzeniach filmowych, przygotowywanych na końcówkę tego roku. Czyli wędrówkę po festiwalach, przeglądach i premierach, które z konieczności (częściowo lub całkowicie) przeniosły się do sieci, jak również wybraną ofertę znanych już serwisów. Takiego zagęszczenia atrakcji jeszcze nigdy nie było. Wiele z nich właśnie dzięki sieci ma szanse zyskać wielokrotnie szerszą dostępność, choć oczywiście nie zastąpi to w pełni doznań z ciemnej sali.

Zacznijmy od największych. Bez wychodzenia z domu można wziąć udział w 20. edycji festiwalu **Nowe Horyzonty** (5–15 XI), w tym roku połączonego z **11. American Film Festival**. Program obu imprez liczy ponad 170 tytułów i to nie pierwszy raz, kiedy ilość idzie tu w parze z jakością. W przypadku Nowych Horyzontów udało się zachować aż 90 proc. programu planowanego w realu. Otworzą go mocne propozycje: dokument „Gunda" Wiktora Kossakowskiego, nakręcony z perspektywy... świni, czy długo oczekiwana pełnometrażowa animacja „Zabij to i wyjedź z tego miasta" Mariusza Wilczyńskiego.

Będą też inne premiery z polskimi nazwiskami, jak „Proste rzeczy" Grzegorza Zaricznego i nakręcony w USA „Komar" Filipa Jana Rymszy (oba w Międzynarodowym Konkursie) czy „Hura, wciąż żyjemy!" artystki wideo Agnieszki Polskiej (Front Wizualny). Rymsza jest także producentem pokazywanego na AFF kinofilskiego dokumentu „Hopper/Welles" – o spotkaniu dwóch legend kina.

Zobaczymy filmy z najważniejszych światowych festiwali pogrupowane w cykle Mistrzowie, Odkrycia, Oslo/Reykjavik 3, Sezon czy Kino Dzieci. Na szczególną uwagę zasługuje „Aida" Jasmili Žbanić, „DAU. Natasza" Ilyi Khrzhanovsky'ego i Jekateriny Oertel czy „Berlin Alexanderplatz" Burhana Qurbaniego, które raczej nieprędko będzie można obejrzeć na dużym ekranie.

Przynajmniej po części wirtualnie zapowiada się **Międzynarodowy Festiwal Filmowy Energa CAMERIMAGE** (14–21 XI), którego gwiazdami są od zawsze autorzy zdjęć filmowych. W zapowiedziach wiele smakowitych tytułów: polski kandydat do Oscara, czyli „Śniegu już nigdy nie będzie" Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta, „Nomadland" Chloé Zhao z Frances McDormand czy „Jeszcze jest czas", debiut reżyserski Viggo Mortensena – choć nie wiadomo, czy negocjacje z dystrybutorami pozwolą na udostępnienie wszystkich fimów w sieci.

W trybie na poły online'owym odbędzie się też inne święto kina, 27. edycja festiwalu **Etiuda&Anima** (17–22 XI), honorującego dokonania studentów szkół filmowych i twórców animacji z całego świata. Wirtualne pokazy obejmą trzy konkursy, a pośród wydarzeń towarzyszących będą 90. urodziny mistrza animacji Daniela Szczechury oraz prezentacje innych festiwali i szkół europejskich.

Natomiast całkowicie do internetu, przeskoczywszy z wiosny na jesień, trafił cieszyński 22. przegląd **Kino na Granicy** (23–29 XI), tradycyjnie łączący oba brzegi Olzy, co wyznacza także wyjątkowy profil tej imprezy. Prócz najciekawszych filmów polskich, czeskich i słowackich minionego sezonu w programie znajdą się dzieła klasyków, etiudy z Warszawskiej Szkoły Filmowej oraz filmy zwiastujące przyszłoroczne cykle tematyczne – np. ten o nazwie „W sieci", traktujący (jak na ironię) o blaskach i cieniach życia w cyberprzestrzeni.

Przed nami są też inne imprezy pozwalające przekraczać rozmaite granice. Jesz-

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 45/2020

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski // Do Lasu
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

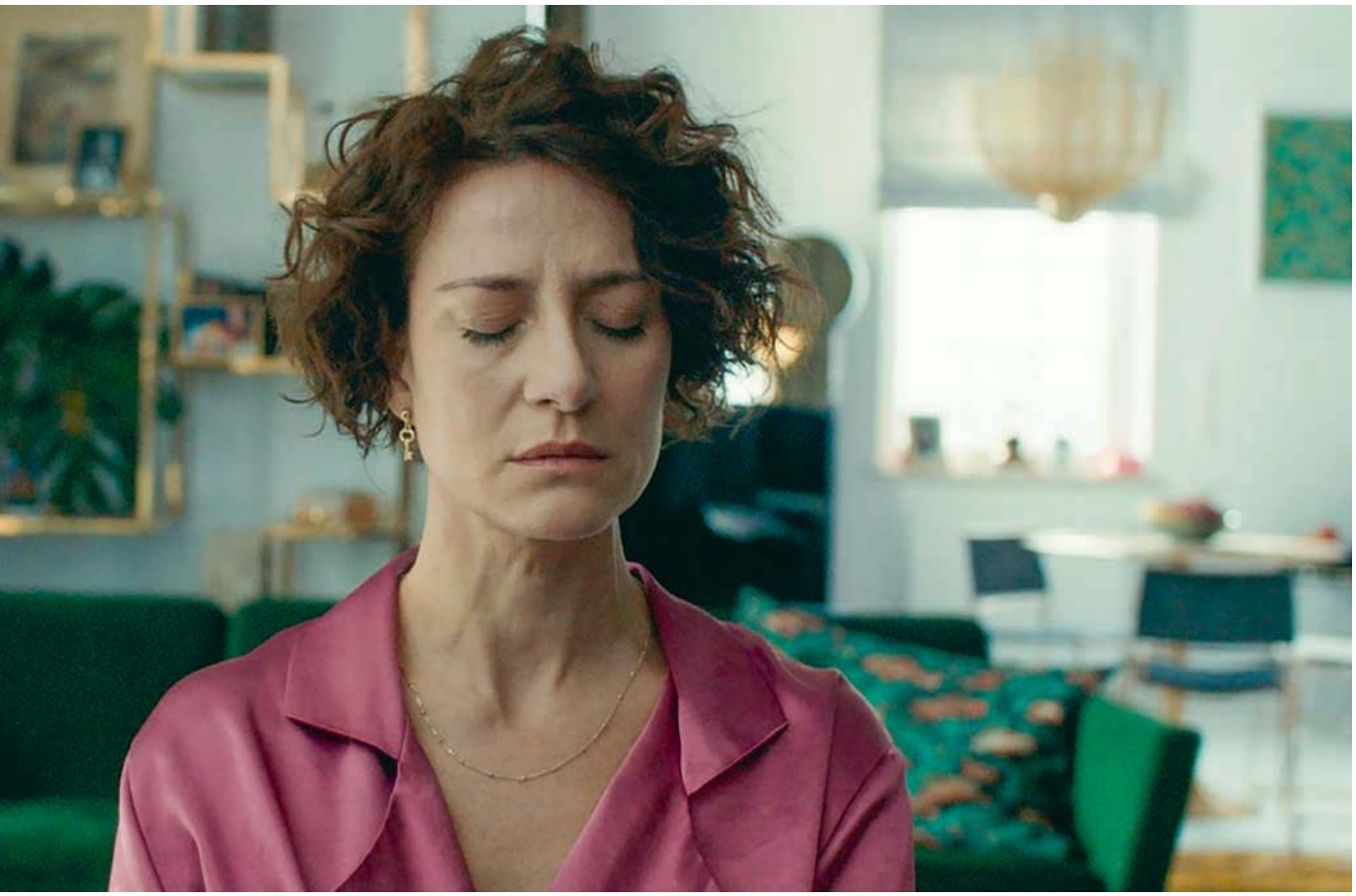

MATERIAŁY PRASOWE

Maja Ostaszewska w filmie „Śniegu już nigdy nie będzie" w reż. Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta

cze tylko do 8 XI można wziąć wirtualny udział w **11. LGBT Film Festival**, który zwykle docierał jedynie do większych miast polskich, a dziś dostępny jest na platformie outfilm.pl, gdzie przez cały rok czeka na swoich widzów duży wybór tytułów o tej problematyce. Natomiast od 25 XI do 6 XII trwać będzie online **14. Azjatycki Festiwal Filmowy Pięć Smaków**, który zabierze nas w podróż również po tych mniej uczęszczanych rejonach kontynentu. Pokaże np. nowe filmy z Hongkongu, w sekcji „Kino ze smakiem" zaprosi do świata azjatyckich kulinariów i zapozna nas z tamtejszymi osiągnięciami w zakresie VR (rzeczywistości wirtualnej).

Przeprowadzka do sieci pozwala też skorzystać z filmowej oferty większej liczbie najmłodszych kinomanów. Na przykład za sprawą ↦

REKLAMA

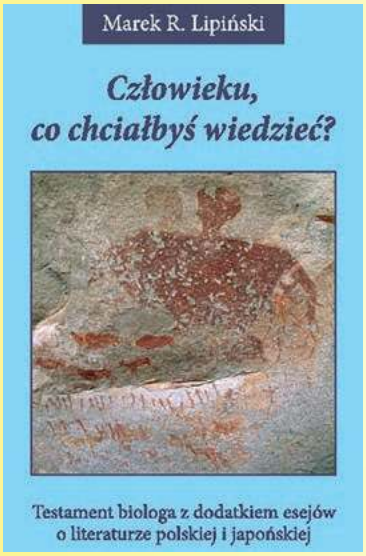

TA KSIĄŻKA MOŻE ZMIENIĆ TWOJE ŻYCIE!

M.R. Lipiński „Człowieku, co chciałbyś wiedzieć?"

Testament biologa. Bogucki Wydawnictwo Naukowe
(**ksiegarnia.bogucki.com.pl, dział: „Inne"**; **biuro@bogucki.com.pl**). Cena 25 zł.

Pod okładką ze zdjęciem naskalnego malowidła z Namibii znajdziesz odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzieć niełatwo. Wszyscy je sobie zadajemy, i to już od setek lat.

- Co nauki o Ziemi i Wszechświecie próbują nam powiedzieć?
- Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy i po co?
- Czy można pogodzić naukę (science) i wiarę (niekoniecznie katolicką) w coś lub w kogoś – jak to zrobić?
- Jaki jest bilans ludzkiego życia na Ziemi: dobry i radosny czy ciemny i pesymistyczny?
- Jak odpowiedzieć?
- Jak uwierzyć w odpowiedź?
- Jak z nią żyć dalej?
- Jak ją praktykować?

↦ **38. Międzynarodowego Festiwalu Filmów Młodego Widza Ale Kino!**, który odbędzie się w dniach 29 XI–6 XII. Wśród ponad stu produkcji z całego świata, krótkich i pełnometrażowych, znajdzie się polska premiera „Czarnego młyna" Mariusza Paleja na podstawie prozy Marcina Szczygielskiego.

Coraz gęściej na utworzonej w czasie pandemii platformie mojeekino.pl, prezentującej przeglądy i filmy kinowe. Przeniósł się tu **Festiwal Filmowy UKRAÏNA!** (potrwa do 9 XI), a w programie zapowiadane są „Numery" Olega Sencowa i „Malowany ptak" Václava Marhoula. Poza tym rozpoczęło się tam właśnie bezpłatne **CinemaForum** (4–8 XI), Międzynarodowe Forum Filmów Krótkometrażowych. W dniach 30 XI–2 XII pojawi się tu również 18. DocFilm – internetowa odsłona gdańskiego festiwalu filmów dokumentalnych, miesiąc później 20. edycja WATCH DOCS. Prawa Człowieka w Filmie (3–10 XII), a od 13 do 20 XII festiwal AfryKamera. Na innej platformie, **DAFilms.pl**, specjalizującej się w kinie dokumentalnym, planowane są pokazy 30. jubileuszowego Festiwalu Mediów „Człowiek w Zagrożeniu" (24–29 XI), z których większość będzie nieodpłatna.

> Jedno jest pewne: obcowanie z wysokiej jakości kinem pomoże nam przetrwać ten trudny czas.

Czeka nas jeszcze 20. edycja **WATCH DOCS. Prawa Człowieka w Filmie** (3–10 XII), a tam m.in. czesko-słowacki „The State Capture" Zuzany Piussi – dokument śledczy dotyczący zabójstwa Jana Kuciaka. Sieci nie opuszczają także te festiwale, których edycje zakończyły się jakiś czas temu, a które chciałyby regularnie podtrzymywać kontakt z widzem, aż do następnej edycji. Albo pomóc mu w nadrobieniu zaległości tegorocznych. W tym celu Krakowski Festiwal Filmowy uruchomił wirtualny projekt **KFF VOD**, gdzie w każdym miesiącu przez kilka dni można obejrzeć posegregowane tematycznie filmy dokumentalne, animowane i fabuły krótkometrażowe. W dniach 23–29 XI będą to tytuły z popularnonaukowej sekcji DOCS+SCIENCE pod hasłem „Droga za widnokres": „Bajkonur. Ziemia", „Bilet na Księżyc", „Jest tam kto?" i „Kiruna. Nowy wspaniały świat". W grudniu, z okazji najkrótszego dnia w roku, przewidziane są filmy krótkometrażowe. Również festiwal **Millennium Docs Against Gravity** planuje w listopadzie i grudniu kolejne pokazy online.

Żywoty równoległe w sieci prowadzą też kina stacjonarne, np. Kino Pod Baranami – krakowskie, ale z dostępem ogólnopolskim. W ramach „Otwartego

REKLAMA

Niesztampowa proza z nieoczywistych krajów

Książki WYSZUKANE specjalnie dla Was!

Wyróżnione Nagrodą Literacką Unii Europejskiej

WYSZUKANE
ezop.com.pl/wyszukane

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

E-Kina" 24 XI o godzinie 20.00 zobaczymy bezpłatnie niemy film „Poza skałami" Sama Wooda z Rudolphem Valentino, Glorią Swanson i muzyką „na żywo". W grudniu zaś odbędzie się darmowy seans filmu „Ikar. Legenda Mietka Kosza" Macieja Pieprzycy, opatrzony audiodeskrypcją. Coroczny **Festiwal Filmu Niemego** (4–6 XII) planowany jest w wersji hybrydowej. W podobnej, łączonej formule działa również kino Odeon w Sochaczewie.

Szczególnym dobrodziejstwem czasu pandemii są bezpłatne platformy internetowe. Taką kopalnię tytułów, nie tylko filmowych i już nie tylko archiwalnych, stanowi **Ninateka**. W dniach 16–22 XI pokaże filmy z 18. Warszawskiego Festiwalu Filmów o Tematyce Żydowskiej KAMERA DAWIDA. W programie znalazły się filmy Aviego Neshera, dokument „Hollywood's Second World War" Jaschy Hannovera czy produkcja FINA „Hen i wojna". Natomiast 11 XII rozpocznie się tutaj cykliczny przegląd Mistrzowie Kina Hiszpańskiego, tym razem skupiony na ekranowych wizerunkach kobiet w filmach mistrzów i na najlepszych filmach z poprzednich edycji.

Rosnące w siłę płatne platformy streamingowe szczególnie pod koniec roku kuszą nowymi tytułami. I tak: **Netflix** zaprasza na filmy „Życie przed sobą" z Sophią Loren według powieści Romaina Garyego (premiera 13 XI) i „Elegia dla bidoków" Rona Howarda według wspomnień J.D. Vance'a (24 XI) oraz na czwarty sezon serialu „The Crown" (15 XI). W następnym miesiącu czeka nas „Mank" Davida Finchera (4 XII), „Bal" z Meryl Streep (11 XII) czy nowy film *science fiction* w reżyserii George'a Clooneya „Niebo o północy".

Z kolei **HBO GO** w listopadzie pokaże głośny dokument „Witamy w Czeczenii" Davida France'a, „Jokera" Todda Phillipsa i „Cóż za piękny dzień" z Tomem Hanksem. A z seriali – hiszpańskie „30 srebrników", „Branżę" z Leną Dunham, rozgrywającą się na Bliskim Wschodzie „Ziemię niczyją" czy „Small Axe" – antologię filmów Steve'a McQueena.

Wśród propozycji VOD warto zwrócić uwagę na zapowiedzi **Cinemana**, który wprowadza do sieci wartościowe filmy niedawno obecne w kinach. Dla nas, chwilowo uziemionych, będzie to okazja do odbycia dalekich podróży – z chilijską „Emą" Pabla Larraína (premiera 6 XI), gruzińskim „A potem tańczyliśmy" Levana Akina (5 XII), australijskim „Babyteeth" Shannon Murphy (8 XII) czy z tunezyjskim „Arab Blues" Manele Labidi (25 XII). Wielu czytelników „Tygodnika" ucieszy z pewnością internetowa premiera dokumentu „xABo: Ksiądz Boniecki" Aleksandry Potoczek (4 XII), który prócz Cinemana pojawi się również na Playerze, vod.pl i w innych serwisach VOD.

Jako że sytuacja jest dynamiczna i rozwojowa, wszystkie zapowiedzi, festiwalowe zwłaszcza, mogą jeszcze ulec ↦

AGATA KASPROLEWICZ

Dariusz Rosiak prowadzi autorski podkast „Raport o stanie świata"

Sezon na podkast

W TYM ROKU potwierdzono wagę podkastów, do nagród dziennikarskich Pulitzera dodając kategorię dziennikarstwa audio. Pierwszą zdobyła audycja **This American Life**. Spośród kilkuset odcinków szczególnie polecamy dwie reporterskie serie opowiadające o rażących różnicach w jakości edukacji szkolnej dzieci z zamożnych rodzin i dzieci z rodzin robotniczych; tytuły serii: **Three Miles** i **Nice White Parents**.

ZNAKOMITYM PODKASTEM REPORTERSKIM skupionym na sprawach międzynarodowych jest **Rough Translation** radia NPR. Jego siłą jest oryginalna tematyka, reportaże nagrywane w wielu krajach, od Chin przez Ukrainę po Brazylię.

Ciekawy jest także cykl podkastów **Oh No, Ross and Carrie!** poświęcony scjentologii, którego prowadzący badają parareligijne zjawiska społeczne. W wieloodcinkowym cyklu o Centrum Technologii Religijnej, którego znakiem towarowym jest „scjentologia", bohaterowie przechodzą przez kolejne etapy scjentologicznego wtajemniczenia, opisując instytucję z wielkim poczuciem humoru, ale, co najważniejsze, zachowując szacunek, a nawet sympatię dla jej wolontariuszy.

BBC WORLD NEWS PODCAST to profesjonalna produkcja omawiająca najważniejsze wydarzenia światowe. Bodaj najciekawszą polską produkcją dotyczącą spraw międzynarodowych jest podkast Dariusza Rosiaka **Raport o stanie świata**, w którym możemy wysłuchać pogłębionych analiz o tle światowych rewolucji, zwrotów politycznych czy zmian społecznych. Podobną tematyką zajmuje się **podkast Ośrodka Studiów Wschodnich**.

MIŁOŚNICY KSIĄŻEK znajdą rozmowy z pisarkami i pisarzami w podkaście Georginy Gryboś **Literacka Kavka. Konglomerat podcastowy** zajmuje się z kolei prezentacją twórczości niesalonowej – horrorami, fantastyką naukową, tzw. dziwną fikcją (*weird fiction*), zarówno w formie książkowej, jak i filmowej.

POLECAMY TAKŻE PODKAST POWSZECHNY „TYGODNIKA" mający już ponad sto odcinków. Rozmawialiśmy z astronautką, szukaliśmy odpowiedzi na pytanie o pochodzenie kotów oraz rolnictwa na polskich ziemiach. Powstało kilka cykli, m.in. **Miesiąc w nauce** – Łukasz Lamża o najnowszych zdobyczach nauki, **Sztuka powszechnie nieznana** – malarskie śledztwa Magdaleny Łanuszki, czy rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej z cyklu **Punkt zwrotny**, w których usłyszeć można Katarzynę Nosowską, Jerzego Stuhra, Dorotę Masłowską, Marka Kondrata i innych.

©℗ PS

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z film „Aida" w reż. Jasmili Žbanić

↦ rozszerzeniu. Nie wiadomo, jak potoczą się losy **45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni** czy **14. Festiwalu Filmów Rosyjskich Sputnik nad Polską**. Oby udało się zrealizować je w niezmienionym kształcie, aczkolwiek warto na bieżąco sprawdzać internetowe strony tych wydarzeń. Jedno jest pewne: czy w realu, czy w wirtualu, obcowanie z wysokiej jakości kinem pozwoli nam przetrwać ten trudny czas.

Niewątpliwie internet daje spory komfort – szerszy wybór, większą elastyczność czasową, oszczędności finansowe i poczucie bezpieczeństwa. Organizatorzy festiwali w internecie wiedzą jednak dobrze, że to tylko namiastka, i dlatego dwoją się i troją, by utrzymać jak najbardziej bezpośrednią relację ze swoją publicznością, organizując wirtualne spotkania z twórcami, prelekcje, głosowania czy fora dyskusyjne. Dlatego życzmy im (i sobie), by to coś nieuchwytnego, co tak dobrze znane jest festiwalowym bywalcom czy tradycyjnym kinomanom, a co zostało teraz zamrożone (czytaj: przeniesione w zupełnie inny stan skupienia), udało się odmrozić w niedalekim czasie. I by jednocześnie zostały wyciągnięte wnioski z tego dobrodziejstwa, jakie mimo wszystko przyniosła nam zmasowana obecność kultury w sieci.

© ANITA PIOTROWSKA

REKLAMA

TADEUSZ KANTOR. WIDMA

Cricoteka
ul. Nadwiślańska 2–4, Kraków
www.cricoteka.pl

cricoteka 40

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 45/2020

UTOPIA

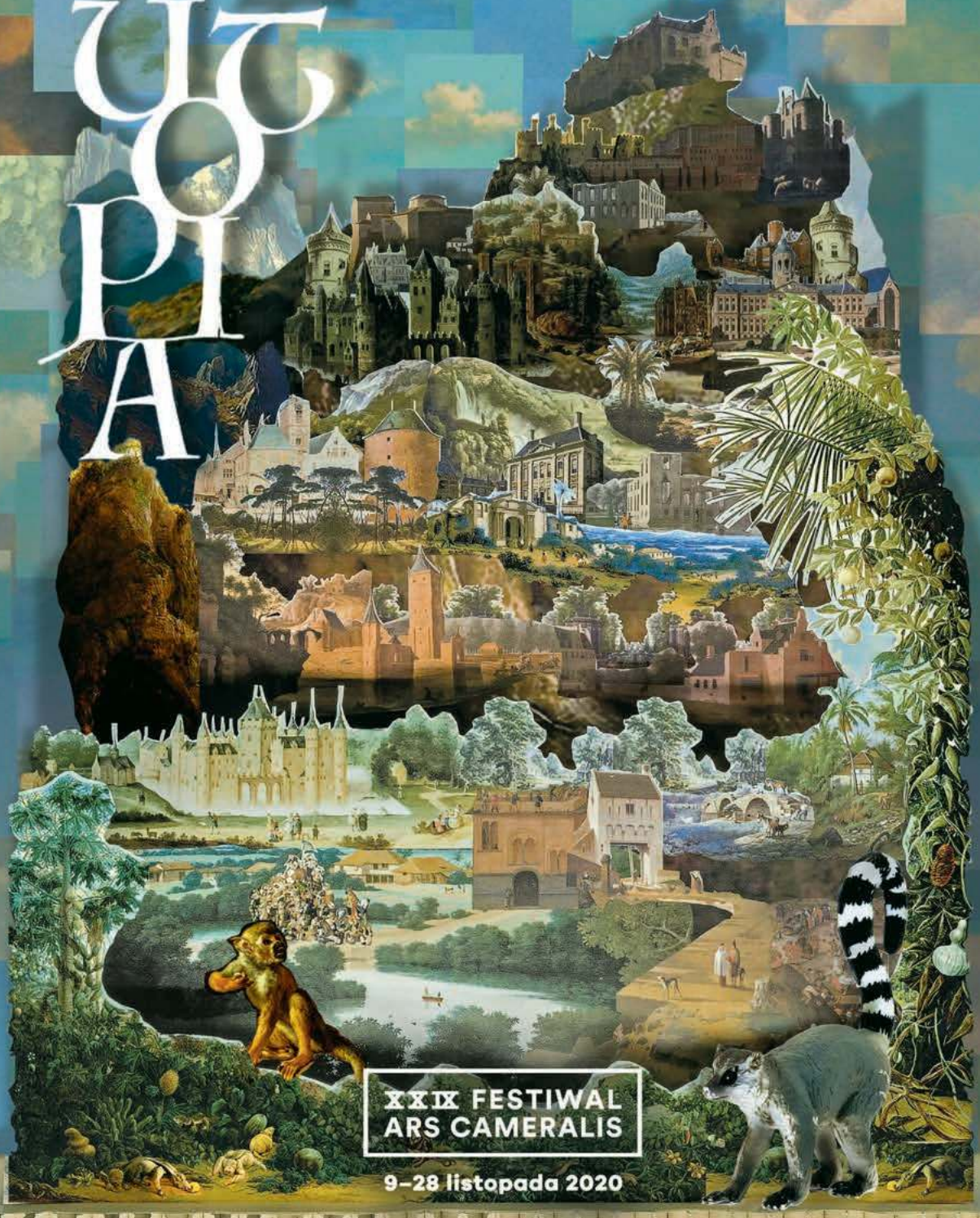

XXIX FESTIWAL ARS CAMERALIS

9–28 listopada 2020

Akupunktura. O utopii

TADEUSZ SŁAWEK

GRAŻYNA MAKARA

TADEUSZ SŁAWEK (ur. 1946) jest literaturoznawcą, eseistą, poetą i tłumaczem. Były rektor Uniwersytetu Śląskiego, członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN.

1 Utopia uwalnia przyszłość. Zadanie albo nadmiernie ambitne (pobrzmiewa w nim niebezpieczna pokusa władzy nad czasem), albo bezcelowe (przecież cokolwiek bym zrobił, *jakaś* przyszłość i tak nadejdzie).

2 Paradoksem wielkich utopii, nazwijmy je makroutopiami, było to, że kreując przyszłość na nową modłę, owszem, uwalniały ją w sensie niejako technicznym (stan rzeczy „nowy", różny od obecnego), ale czyniły to, aby zniewolić jednostkę, pozbawiając ją osobistej przyszłości.

3 Makroutopie nie są bowiem „osobiste"; programują świat starając się wyeliminować to, co przygodne. Człowiek zajmuje je tylko w tym stopniu, w jakim jest trybem w wielkiej maszynerii fabrykującej „świetlaną" (i jedyną pożądaną) przyszłość.

4 Taką utopię interesują głównie wielkie liczby: nie jednostka w jej zawsze anarchizującej wolności, lecz zbiorowość z jej stałą tendencją do przywoływania jednostki do szeregu, czyli do obowiązujących schematów myślenia i działania.

5 Dlatego makroutopii przeciwstawimy mikroutopię, która nie chce uporządkować wszystkiego wedle jednego wzorca; pragnie odszukać życie, które jednostka jakby „zgubiła" wśród sensów, fabrykowanych na jej użytek przez maszynę ekonomiczno-politycznego interesu.

6 Bliżej zatem niż do „Utopii" Morusa i „Miasta Słońca" Campanelli jest nam do „Waldena" Thoreau. W makroutopii jednostka jest zawsze *szeregowa*; w mikroutopiach człowiek jest zawsze wyjątkowy w chaotyczności swych marzeń. Mikroutopiom właściwa jest liczba mnoga.

7 Owszem, jest też samotny i to samotność jest punktem wyjściowym mikroutopii. Nie jest to jednak mizantropia. Przeciwnie – to samotność niejako „społeczna". Cichnie w niej beztroska gadanina, kruszą się schematy. Dostrzegamy, jak bardzo żyliśmy – bez *troski* i bez *namysłu*.

8 Igła mikroutopii nicując materię rzeczywistości uwalnia przyszłość, pozwalając jej zaistnieć w postaci *innej* niż obowiązująca do tej pory. W tym momencie przyszłość nie jest już „jakaś"; nie powstaje z mojej obojętności („i tak nadejdzie"), lecz z zatroskania i zaangażowania.

9 Specjalnie mówimy o *nicowaniu*, czynność ta bowiem splata trzy istotne dla utopii gesty. Najpierw chodzi o uważne spojrzenie, które nie zaspokaja się tym, co na powierzchni, lecz wnika głębiej. Spojrzenie przenikliwe i krytyczne.

10 Gdy uważni czytelnicy mówią o „nicowaniu tekstu", nie mają na myśli jego zniszczenia; przeciwnie – chodzi o ratowanie i ocalenie, tego, co zużyte i co, być może, spisano już na straty. Mikroutopia jest wysiłkiem ratowania świata ludzkiego ładu przed nim samym.

11 Ten, kto patrzy przenikliwie, kogo spojrzenie *nicuje*, podejmuje wysiłek ocalania świata na miarę sił i wyobraźni. Bez tej ostatniej utopia jest nie do pomyślenia. Nie dlatego, że wymyśla światy nieistniejące, lecz dlatego, że stara się uczynić *ten* świat światem bardziej *do rzeczy*.

12 Wiele przedmiotów, obfitość dóbr, zatrzęsienie rzeczy – nieprzypadkowo mówimy, że rzeczywistość spraw ludzkich jest „stanem rzeczy". Pytanie mikroutopii brzmi: dlaczego w takim razie stan ten jest tak bardzo *nie-do-rzecz-ny*? Jonathan Swift patronuje temu pytaniu.

13 Zatem spojrzenie (przenikliwie krytyczne), zatroskanie (próba ratowania okruchu), odwaga w projektowaniu nowego kształtu wydarzeń (*nicować* to „wywracać na drugą stronę") – oto trzy gesty pomagające uwolnić przyszłość spod schematów porządkujących nasze „teraz".

14 Drażniąc świat igłą mikroutopii nie mówię: „jutro będzie, nadejdzie"; myślę: „*co* nadejdzie i *jakie* będzie". Mikroutopia nie żyje w reżimie odpowiedzi i akceptacji; oddycha powietrzem pytania i niezgody. Nie przystaję po prostu na to, by przyszłość była *jakaś*; pytam, *jaka* ma być.

15 Uwolnienie przyszłości, jakie niosą mikroutopie, jest szczególne: bierze się z rozerwania zwartej do tej pory materii czasu. Gdy szyję materię myśli igłą mikroutopii, wydarzenia biegną *innym* ściegiem niż ten przewidziany przez obowiązujący krój świata.

TYGODNIK POWSZECHNY
Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 45/2020
REDAKCJA: Grzegorz Nurek
OKŁADKA: Łukasz Dziedzic / Ars Cameralis

16 Spójny i zdyscyplinowany czas *bez luk* jest warunkiem działania jednostek i społeczeństw. Natomiast igła mikroutopii nakłuwa ów czas tworząc w nim puste miejsca, niespodziewane prześwity, przez które przebłyskują niewyraźne zarysy świata *innego* niż nas otaczający.

17 Godziny, miesiące, lata, które do tej pory przynosiły owoce mniej lub bardziej oczekiwanych wydarzeń, teraz – gdy podrażni je igła mikroutopii – kurczą się lub wydłużają, skręcają w kształty wydarzeń *inne* niż te, które wychodzą zwykle z matrycy rzeczywistości.

18 Ta igła, *drażniąc* czas, wstrząsając nim, otwierając w codzienności otchłanne przestrzenie, wstrząsa także nami, każąc zastanowić się nad tym, do jakiego stopnia schematy naszego świata osłabiają nasze życie. Dlatego mikroutopia porusza *do żywego*. Jest akupunkturą życia.

19 Mówi się, że utopia jest domeną wielkich projektów mających ulepszyć rzeczywistość, a faktycznie tworzących jej okrutnie karykaturalne wersje. Ale nie próżno mówimy tu o *igle* mikroutopii; *igle*, nie maszynie – o małym przedmiocie, a nie instytucji fabrykującej świat.

20 Igła w ręku mądrego krawca ratującego kawałek materiału lub w ręku grafika mozolnie pochylonego nad metalową płytą czyni dzieła, sprawia cuda – wyczarowuje kształty z niebytu. Pragnie ratować świat, ratując miejsca. Nie jest nigdy „rękoczynem", lecz ręko-*dziełem*.

21 Dlatego tak ważne jest owo czujne i czułe spojrzenie zdolne dostrzec okruchy świata i krzywdę istot go zamieszkujących. To hamuje nadmierne ambicje, śmiertelnie groźne dla świata. Mikroutopie biorą się z czułości dla drobin istnienia i z uwagi poświęconej krzywdzie.

22 Nim Makbet spełni swoje pragnienie władzy (to makroutopia politycznej mocy), stanie przed zamkiem i będzie podziwiał biegłość, z jaką jaskółki wiją gniazda wykorzystując każdą szczelinę murów. Mikroutopie uważnego spojrzenia szukają takich szczelin w murach imperium.

23 Szczeliny są skandalem w świecie, który ubóstwił to, co nowe, gładkie, opływowe. Mikroutopia, *nicując*, nie dowierza gładkim słowom i wyglądom; wyhamowuje pośpiech właściwy opływowym formom. Nie spieszy się.

24 Namyśla się nad tymi miejscami, gdzie materia świata jest *pomarszczona*, *przetarta* i *szorstka*. Ale to w niej są *prześwity* dające nadzieję. To w tych miejscach *przetarć* i *prześwitów* zaczyna się praca mikroutopii wywracająca materię pewnego miejsca *na drugą stronę*. ©

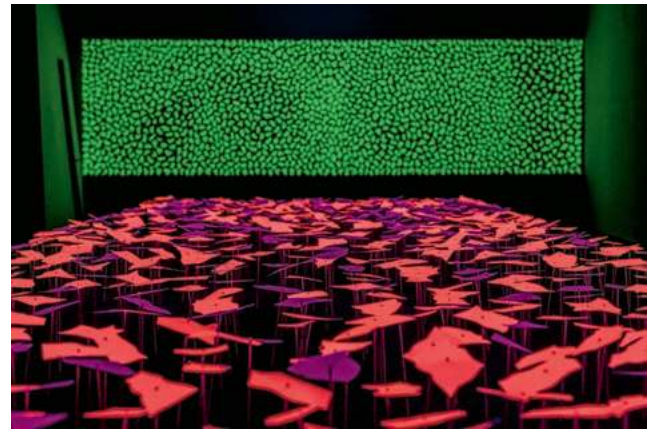

RADOSŁAW KAŹMIERCZAK / MATERIAŁY PRASOWE ORGANIZATORA

„Bivocus mutantur" – instalacja z wystawy Yvonne Goulbier w Muzeum Górnośląskim, październik 2020 r.

Więcej światła!

MAREK ZIELIŃSKI, TOBIASZ MELANOWSKI, WOJCIECH KUCHARCZYK:

Czasy pandemii wzmagają potrzebę zbudowania jakiejkolwiek utopii, bezpiecznego miejsca, gdzie zawsze świeci przynajmniej metaforyczne słońce, a ludzie są szczęśliwsi.

GRZEGORZ NUREK: Trzy tygodnie, dwa miasta, ponad dwadzieścia koncertów, wystawy, warsztaty, pokazy filmowe i spotkania literackie. Przygotowanie festiwalu Ars Cameralis to niemałe wyzwanie, co dopiero w okresie pandemii. Czy wydarzenia odbywać się będą głównie online?

MAREK ZIELIŃSKI: Od wiosny przygotowywaliśmy festiwal dwutorowo. Musieliśmy go budować zarówno z myślą o pokazaniu programu na scenie, jak i pod kątem ewentualnych obostrzeń. Śledzimy informacje i zalecenia. Nie chcielibyśmy robić festiwalu tylko w sieci, więc jeśli będzie taka możliwość, zaprosimy publiczność na nasze wydarzenia.

Wiele spotkań i koncertów zaplanowaliście w Teatrze Śląskim w Katowicach. Przy założeniu, że utrzymany zostanie limit 25 proc. publiczności, ile osób będzie mogło w nich uczestniczyć?

TOBIASZ MELANOWSKI: Równe dwadzieścia pięć. Mało, to prawda. Ubolewamy, że nie ma szans na większą publiczność. Ale taka sytuacja nie jest nam obca – w poprzednich latach organizowaliśmy „Kameralnie", cykl koncertów-niespodzianek w dziwnych miejscach (jak salon fryzjerski czy sklep), na które również wpuszczaliśmy mocno ograniczoną liczbę osób. No i pamiętajmy, że pełna nazwa festiwalu to Górnośląski Festiwal Sztuki Kameralnej...

Hasłem przewodnim w tym roku jest Utopia. Jak ją rozumiecie?

MZ: Sama idea festiwalu powstała już rok temu, kiedy jeszcze nie było covidu. Wciąż wydawało nam się, że świat jest przestrzenią pełną radości, choć już wówczas była to iluzja. Jednak pytania o przyszłość często były odrzucane. Żyliśmy w świecie upojenia, pomijając ciemne strony historii. Wydawało nam się również, że literatura, muzyka, sztuka dają komfort i zaspokojenie, ↦

↦ a równocześnie – odwołując się do koncepcji festiwali z lat 60. (jak Woodstock, który stał się odniesieniem dla wszystkich tego typu imprez) – poczucie przebywania w swoistej oazie, na wyspie wyodrębnionej ze świata, w miejscu trwałej radości. Zmieniał się rytm, zmieniały się dźwięki, zmieniała się muzyka i estetyka, ale poczucie bezpieczeństwa pozostawało niezachwiane. Czy muzyka elektroniczna, różnego typu nurty kultury *rave*, bazujące na przekonaniu, że można się oderwać i tańczyć przez kilka dni, były szczególnym rodzajem święta wiosny? Z dzisiejszej perspektywy to właściwie dziwny *danse macabre*, przywołujący obrazy z lat 20. XX wieku, gdy miasta próbowały pokonać traumę za pomocą tańca, czy też „Homo ludens" Bruegla.

WOJCIECH KUCHARCZYK: Dla mnie każde działanie wokół sztuki ma znamiona działania utopijnego – jest próbą zbudowania lepszego, niekoniecznie abstrakcyjnego świata. Czasy pandemii wręcz wzmagają potrzebę zbudowania jakiejkolwiek utopii, choćby zupełnie małej. Bezpiecznego miejsca, gdzie zawsze świeci – przynajmniej metaforyczne – słońce, a ludzie są szczęśliwsi niż gdziekolwiek indziej. Zza rogu wyziera mroczna dystopia, więc trzeba więcej i mocniej pracować, żeby zniknęła. Sztuka jest idealnym narzędziem do takiej akcji.

To już 29. edycja – czego w tym roku możemy się spodziewać?

MZ: Przy tworzeniu programu punktem wyjścia była dla nas utopia, ale nie w rozumieniu czysto filozoficznym. To pojęcie prowadzi nie tylko do zakurzonych książek, bibliotek i uczelni; idea jest dużo głębsza i bardziej skomplikowana. Zgłębianie utopii to nie tylko spotkania, które mają tworzyć pewnego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Pojęcie utopii na Górnym Śląsku narzuca dyskurs o świecie idealnym, nawet dystopii czy o kwestiach metafizycznych, jak śmierć. To szczególny kontekst – musimy pamiętać, że Śląsk czy Górny Śląsk postrzegany jako przestrzeń industrialna stanowi pejzaż wynikający z wizji utopijnej. Industrialność przestrzeni wyrastała z XIX-wiecznych utopii, Crystal Palace, fascynacji żelazem, węglem i energią. Myślę, że w całym festiwalu, w literaturze, muzyce czy sztukach wizualnych każdy może interpretować nasze propozycje na swój sposób.

WK: W tym roku będzie dużo muzycznego eklektyzmu – od ładnych, spokojnych, kolorowych piosenek przez prawdziwe odgłosy kosmosu okraszone opowieścią astrofizyka aż po elektroakustyczne drony i nagrania terenowe z różnych stron świata. Będą także elektroniczne parafrazy średniowiecznych pieśni, trochę nowoczesnego rocka, dobrze zadomowiony już na festiwalu wątek singer-songwriterów, muzyka płynąca z syntezatorów modularnych oraz – dla równowagi – współczesne ujęcie jazzu, a nawet free.

Wśród gości festiwalu są głośne nazwiska: Marek Bieńczyk, Tadeusz Sławek, Jan Gondowicz, Jakub Żulczyk, Ziemowit Szczerek, Konstanty Usenko. Ale też Wacław Zimpel, Yvonne Goulbier. Przyjadą również bardzo interesujący muzycy z Czech i Słowacji.

TM: A to tylko skromny wycinek z listy festiwalowych gości. Co roku staramy się zapraszać artystów z różnych światów – stopniowo poszerzając kojarzone z festiwalem pola i estetyki. Eksperymentowaliśmy z techno, szalony Norweg Sturle Dagsland zagrał u nas koncert na granicy mistycznego obrzędu. Nie inaczej jest w tym roku, chociaż sytuacja na świecie trochę nam sprawę utrudniła. Plany mieliśmy zdecydowanie większe, musieliśmy część przenieść na bliżej nieokreśloną przyszłość. Mimo wszystko udało nam się zbudować ciekawy program: pozostajemy w temacie utopii, różnorako i szeroko rozumianej. Marek Bieńczyk i Mira Marcinów porozmawiają o śmierci i spróbują odpowiedzieć na pytanie, czy życie wieczne jest utopijną wizją. Kostek Usenko, Ziemowit Szczerek i Małgorzata Nocuń przyjrzą się Europie Wschodniej i zastanowią, czy jedna Europa, bez podziału na Wschód i Zachód, jest możliwa. Do tego Kafka, potwory, muzyka niemal z każdego gatunku, wystawa Wojtka Kucharczyka w Rondzie Sztuki czy pokazy filmów krótkometrażowych BAFTA. Będzie się działo.

Zaczynacie od koncertu, który może szczególnie zainteresować czytelników „Tygodnika". Mam na myśli występ Wishlake'a, który śpiewa wiersze znanych polskich poetów.

TM: Literatura zawsze była dla nas bardzo ważna, od kilku lat wydarzenia z nią związane grupujemy pod hasłem „Zderzenia literackie". W historii festiwalu odbyło się wiele wydarzeń, podczas których literaturze towarzyszyła muzyka, zarówno jako tło, jak i dopełnienie w postaci koncertu. Wishlake to jeden z artystów, który już występował w naszym cyklu „Kameralnie". Cieszymy się na jego festiwalowy powrót, bo przyglądamy się „naszym artystom", śledzimy ich kariery, ciekawi ich kolejnych kroków.

Ars Cameralis jak Goethe w ostatnich swoich słowach mówi: „Więcej światła!".

MZ: Ten cytat funkcjonuje dziś już w oderwaniu od pewnego kontekstu. Trzeba pamiętać, że Goethe pisał „Farbenlehre", „Teorię kolorów" trochę przeciwko Newtonowi i jego badaniom. Zaatakował naukowe szkiełko z romantycznego punktu widzenia. To właściwie jest poważna dyskusja o kwestiach światła i ciemności, o zawiłościach z tym związanych, sięgająca starożytności, średniowiecza, renesansu. Również i dziś światło staje się w sztuce istotnym elementem, ma wymiar utopijny, ale i estetyczny. Niewątpliwie myśl Goethego może być inspirująca. Chociaż ostatnio coraz częściej myślę, że powinniśmy jednak sięgnąć do „Fausta"...

TM: „Więcej światła!" to festiwalowy projekt, który realizujemy już od kilku lat. Zwracamy uwagę na istotę światła i ciemności, na ich rolę w życiu człowieka. W tym roku przenosimy się – po wydarzeniach w Pszczynie, Katowicach, Chorzowie – do Bytomia, gdzie w Muzeum Górnośląskim trwa już wystawa Yvonne Goulbier, a w Teatrze Rozbark odbędą się dyskusje właśnie na temat światła. Mamy również nadzieję, że mimo niesprzyjających warunków dotrą do nas także Caterine Barbieri i Ruben Spini ze swoim świetlno-muzycznym widowiskiem.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

MAREK ZIELIŃSKI – dyrektor Instytucji Kultury Ars Cameralis.
WOJCIECH KUCHARCZYK – artysta audiowizualny, muzyk, działacz. Na koncie ma ponad sto płyt, wiele wystaw i koncertów.
TOBIASZ MELANOWSKI – pracownik Instytucji Kultury Ars Cameralis, niepraktykujący poeta.

Pełna wersja wywiadu na stronie **www.tygodnikpowszechny.pl**

UTOPIA

XXIX FESTIWAL ARS CAMERALIS

9–28 listopada 2020

PROGRAM

22 października (czwartek)
WIĘCEJ ŚWIATŁA!
bivocus mutantur
Instalacja: **YVONNE GOULBIER** (DE)
Miejsce: Muzeum Górnośląskie, Bytom
Wstęp zgodnie z ofertą Muzeum, instalacja będzie dostępna do 22 listopada

9 listopada (poniedziałek), 16:00
ZDERZENIA LITERACKIE
Utopia
Warsztaty dla młodzieży (17–20 lat):
TADEUSZ SŁAWEK

10 listopada (wtorek)
20:00 / Koncert: **WISHLAKE**
21:15 / Koncert: **VELVETEVE**

12 listopada (czwartek), 18:30
ZDERZENIA LITERACKIE
Zdemaskować absurdalność świata – utopia, antyutopia, dystopia
Spotkanie: **JAKUB ŻULCZYK**
Prowadzenie: **ARTUR MADALIŃSKI**

12 listopada (czwartek)
20:00 / Koncert: **KATIE & ME MEET MARLENE**
21:15 / Koncert: **BUKOWICZ**

13 listopada (piątek)
20:00 / Koncert: **WIDT**
21:30 / Koncert: **KHOIBA** (CZ)

14 listopada (sobota)
20:00 / Koncert: **VOICES OF THE COSMOS**
21:30 / Koncert: **CLINAMEN**

15 listopada (niedziela)
20:00 / Koncert: **HIOB DYLAN**
21:30 / Koncert: **MALEDIWY**

16 listopada (poniedziałek), 16:00
ZDERZENIA LITERACKIE
Trzeba będzie. Warsztaty wokół picture booka.
Warsztaty dla młodzieży (15–17 lat):
SYLWIA GRUDNIAK

17 listopada (wtorek)
20:00 / Koncert: **YOACHIM**
21:15 / Koncert: **SHKLASH**

18 listopada (środa), 18:30
ZDERZENIA LITERACKIE
Śmierć – utopijna wizja końca czy nieskończoności?
Spotkanie: **MAREK BIEŃCZYK, MIRA MARCINÓW**
Prowadzenie: **DARIUSZ PAWELEC**

19 listopada (czwartek), 18:30
ZDERZENIA LITERACKIE
Golem, Drakula, Frankenstein – bardziej realni, niż nam się wydaje
Spotkanie: **JAN GONDOWICZ, JAKUB KORNHAUSER**

19 listopada (czwartek)
20:00 / Koncert: **ERITH**
21:15 / Koncert: **ARRM**

20 listopada (piątek), 18:30
ZDERZENIA LITERACKIE
Wschód – mity pękniętej Europy
Spotkanie: **MAŁGORZATA NOCUŃ, ZIEMOWIT SZCZEREK, KONSTANTY USENKO**
Prowadzenie: **KAJA PUTO**

20 listopada (piątek)
20:00 / Koncert: **PATRYK CANNON & WACŁAW ZIMPEL**
21:30 / Koncert: **KATARZIA** (SK)

21 listopada (sobota)
WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Porozmawiajmy o świetle
17:00 / Spotkanie I: **ALEKSANDRA SKWARA, TOMASZ KLIMEK (QLAB)**
18:00 / Spotkanie II: **PAWEŁ MURLIK, WŁODZIMIERZ SZYMAŃSKI**
Prowadzenie: **PAULINA TENDERA**
Miejsce: Teatr ROZBARK, Bytom
Wstęp wolny, zapisy pod adresem:
media@cameralis.art.pl

21 listopada (sobota), 20:00
WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Time-blind
Koncert audiowizualny: **CATERINA BARBIERI & RUBEN SPINI** (IT)
Miejsce: Teatr ROZBARK, Bytom
Wstęp wolny, zapisy pod adresem:
media@cameralis.art.pl

22 listopada (niedziela), 12:00 – 18:00
WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Warsztaty projektowania oświetlenia teatralnego:
PAWEŁ MURLIK
Miejsce: Teatr ROZBARK, Bytom
Wstęp wolny, zapisy pod adresem:
media@cameralis.art.pl

22 listopada (niedziela)
20:00 / Koncert: **MIRT**
21:30 / Koncert: **DVA** (CZ)

23 – 24 listopada (poniedziałek / wtorek), 18:30
BAFTA 2020 SHORTS

24 listopada (wtorek), 21:15
Koncert: **THE PARTY IS OVER**

25 listopada (środa), 18:30
ZDERZENIA LITERACKIE
Franz Kafka – którędy do wyjścia
Spotkanie: **ŁUKASZ MUSIAŁ, TADEUSZ SŁAWEK**

26 listopada (czwartek)
20:00 / Koncert: **SZKLANE OCZY**
21:15 / Koncert: **SAMUEL BARON**

27 listopada (piątek), 18:00
WOJCIECH KUCHARCZYK: ***Oldschool Demons***
Kuratorka: **MAŁGORZATA MIŚNIAKIEWICZ**
Współpraca: **ŁUKASZ DZIEDZIC, JOANNA RZEPKA-DZIEDZIC**
Miejsce: Galeria ASP w Katowicach Rondo Sztuki
Wstęp wolny, wystawa będzie dostępna do 12 stycznia 2021

27 listopada (piątek)
20:00 / Koncert: **ADAM WITKOWSKI**
21:30 / Koncert: **LETO S MONIKOU** (SK)

28 listopada (sobota), 20:00
Koncert: **LUBOMIR GRZELAK**

→ Wszystkie wydarzenia odbędą się w Teatrze Śląskim – Scena w Malarni (ul. Teatralna 2a, Katowice), chyba że zaznaczono inaczej.
→ Wstęp na wszystkie wydarzenia literackie będzie wolny, obowiązują jednak zapisy pod adresem: media@cameralis.art.pl
→ Bilety na koncerty w cenie 10 zł można kupić na portalu internetowym Ticketportal.
→ Wszystkie wydarzenia, poza pokazami BAFTA 2020 Shorts oraz warsztatami, będą dostępne również online.

arscameralisfestiwal.pl

Organizatorzy
Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
Ars Cameralis Silesiae Superioris jest instytucją Samorządu Województwa Śląskiego.

Partnerzy
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT
TVCODNIK POWSZECHNY
TEATR ŚLĄSKI im. St. Wyspiańskiego
SILESIA FILM
HOTEL HILTON

Patronat medialny
Polskie Radio Katowice
Ukraiński Kurier Śląski

Bilety
ticketportal

OPINIE NIEBOHATERSKIE

DOROTA SEGDA:

To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, jest wyrazem pogardy do kobiet i stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. Pożałują.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowie Pani o swojej fuksówce?
DOROTA SEGDA: Niechętnie.

Dlaczego?
Nie chciałabym składać donosu na środowisko, które nie jest ani lepsze, ani gorsze niż całe społeczeństwo, ale jest moje.

Jako rektor Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie zakazała Pani fuksówki w tym roku.
Kilkaset lat temu studenckie otrzęsiny polegały na tym, że rzucało się studentem do góry, z kilku metrów spadał na ziemię i niejednokrotnie poważnie uszkadzał sobie narządy wewnętrzne. Za moich czasów nie dochodziło już do takiego natężenia fizycznej przemocy. Ostatnimi laty w Krakowie fuksówki wyglądały w ten sposób, że starsi studenci bardziej udawali gnębienie młodszych, niż robili to naprawdę. To była zabawa służąca integracji studentów, ale i temu, by im uprzytomnić, że muszą być twardzi.

JACEK TARAN

DOROTA SEGDA (ur. 1966) jest aktorką teatralną i filmową, wykładowczynią Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie i jej rektorem w kadencjach 2016–20 oraz 2020–24. Występowała w spektaklach m.in. Jerzego Jarockiego, Jerzego Grzegorzewskiego, Jana Klaty i Moniki Strzępki. Zagrała w wielu filmach i serialach. Na zdjęciu: W Akademii Sztuk Teatralnych, Kraków, październik 2020 r.

Twardzi, by wykonywać ten zawód?

Prawda jest też taka, że każdy tej twardości musi uczyć się na własnych doświadczeniach.

No a ta Pani fuksówka?

Pewnie jak każdy młody człowiek, który nie miał w domu żadnych tradycji teatralnych, dowiedziałam się, że istnieje taki rytuał, dopiero gdy zaczęłam studiować, czyli miałam 18 lat. I choć jestem osobą dość asertywną, nie przyszło mi do głowy, że mogę powiedzieć: „Spadaj, nie mam ochoty się w to bawić". Dziś mówienia „nie" uczę studentów pierwszego roku. A w październiku, w przemówieniu inaugurującym rok akademicki, powiedziałam, że fuksówka nie jest potrzebna, by zostać aktorem. Jeżeli się ona komuś nie podoba, to nie bierze w niej udziału. Od tego roku zabroniłam jej w ogóle, bo w grupie zawsze może znaleźć się ktoś, kto tzw. pozycję wykorzysta w celu upokarzania drugiego.

A ja podczas studiów, choć nie mieszkałam w akademiku, w którym działy się najgorsze rzeczy – zimne prysznice i nocne kwarcówki – mimo wszystko doświadczyłam przemocy w murach szkoły. Koledzy z roku wyżej schwytali mnie na korytarzu i w lampach, jak na UB, w chamski sposób obrażali mnie mówiąc nieprzyjemne rzeczy dotyczące mojego wyglądu.

To jest właśnie ta kwarcówka?

A ja stałam jak to cielę i słuchałam. Potem nigdy już z tymi ludźmi nie chciałam mieć nic wspólnego. Znamienne, że ci najbardziej opresyjni byli mniej utalentowani, słuch o nich szybko zaginął, być może przemocą kompensowali sobie braki. A pomieszanie kompleksu wyższości z kompleksem niższości daje najgroźniejszą miksturę.

Była Pani asertywna, ale jednocześnie nie umiała powiedzieć „nie".

Sama nie wiem, dlaczego.

Byłyśmy uczone, że „nie" w ustach kobiety brzmi fatalnie – może dlatego?

Opowiem taką sytuację: jestem młodziusieńką aktorką i gram główną rolę w filmie węgierskim „Mój XX wiek". Partneruje mi gwiazdor kina radzieckiego. Mówił o sobie „*istoria sowietskogo kina*". Wtedy doświadczyłam MeToo – do dziś nie chce mi się wierzyć w to, że nie poszłam do producenta i nie powiedziałam, że jeżeli jeszcze raz ten facet mnie dotknie, to schodzę z planu i nie wracam.

To był rok 1988. Ne mówiło się jeszcze o MeToo.

Pamiętam dobrze to poczucie osamotnienia. Musiałam pływać w głębokiej wodzie, w ogóle nie umiejąc pływać. Wszyscy mówili po węgiersku, a ja komunikowałam się za pośrednictwem tłumaczki, z którą nie miałam najlepszego kontaktu. Nie dostałam od niej wsparcia, ale też jej o nie stanowczo nie poprosiłam.

Zdjęcia odbywały się w Budapeszcie. Oczywiście tego aktora waliłam po łapach i po mordzie, lecz niewiele to dawało. Czego on nie wyprawiał: wdzierał się przez okno do willi, w której mieszkałam. Właściciele posiadłości, małżeństwo Węgrów, nie mówili w żadnym innym języku i nie reagowali na to, co się dzieje. Może sądzili, że to normalne obyczaje między aktorami – rozgrywki męsko-damskie na planach filmowych.

Jak to Pani zniosła?

Jestem z pokolenia o wiele bardziej zahartowanego niż te młodsze. Byłam harcerką, jeździłam na obozy i na kolonie, z których wracałam z wszami. Dzięki tym doświadczeniom zdobyłam odporność – mam trochę grubszą skórę, będąc jednocześnie osobą wrażliwą.

Ale muszę jeszcze powiedzieć o jednej osobie, niezmiernie empatycznej – wspaniałej Ildikó Enyedi, reżyserce filmu „Mój XX wiek", całkiem niedawno nominowanej do Oscara za „Duszę i ciało". Z Ildikó spotkałam się dwa lata temu na festiwalu Nowe Horyzonty i po raz pierwszy po 30 latach opowiedziałam jej, co się działo na planie. Ildikó, feministka, była wstrząśnięta, że nic o tym nie wiedziała.

Większość kobiet milczy na ten temat przez dekady, a nawet przez całe życie.

Gdy zaczęła się era MeToo i studenci zadali mi pytanie, czy sama kiedyś doświadczyłam na planie tej formy przemocy, najpierw zaprzeczyłam, a dopiero po kilku dniach wróciła pamięć tamtych dni. Ale...

Zawahała się Pani...

Jednocześnie dość przerażona jestem tym, że MeToo ma drugi biegun skrajności. Kolega grający w filmie polsko-amerykańskim opowiadał, że podpisując umowę dotyczącą relacji damsko-męskich na planie rozglądał się, czy nie ma ukrytej kamery. Według tej umowy skomplementować koleżankę, że ładnie wygląda, to jest właściwie sprawa do sądu. Boję się, że nasze życie stanie się smutne, gdy poprawność polityczna osiągnie jeszcze wyższy poziom absurdu. W czasie inauguracji roku szkolnego powiedziałam: „Jeżeli ktoś z państwa będzie ↦

↦ miał ochotę mi powiedzieć, że ładnie wyglądam, będzie mi bardzo miło". Dlaczego nie możemy się w tym wszystkim zachowywać zwyczajnie?

Bo kobiety odreagowują to milczenie, którego i Pani zaznała.

Na uczelni wprowadziłam procedury antymobbingowe, m.in. do dyspozycji studentów jest rzecznik ds. etyki. Jednocześnie zauważam emocjonalną niedojrzałość młodych ludzi – zdarza się, że nakręcają histerię. Idzie się na imprezę na której, wiadomo, jest alkohol, kolega powie coś, co dla dziewczyny jest nie do przyjęcia, więc ona natychmiast zgłasza się o pomoc do rzecznika ds. etyki. Może mogłaby jednak najpierw powiedzieć: „odczep się!"? Mówię o prywatnych relacjach w grupie studentów, nie o pracy w Akademii!

A pamięta Pani chwilę, gdy po raz pierwszy weszła jako młodziutka aktorka do teatralnej garderoby?

Mam 21 lat, jestem jeszcze studentką, gram Sonię w „Zbrodni i karze", starsi koledzy ze Starego Teatru przyjmują mnie z czułością.

Kto szczególnie?

Ania Dymna, Ewa Lassek, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Jurek Bińczycki, Jurek Trela, Jurek Radziwiłowicz, Krzysiu Globisz... Weszłam do raju.

A w damskiej garderobie nie istniała hierarchiczność?

Hierarchiczność polegała tylko na tym, że ja podziwiałam i kochałam starsze aktorki, a one mnie też kochały i hołubiły. Zaznałam od ludzi z zespołu wyłącznie dobrych rzeczy i bardzo o to dbam, by dziś w podobny sposób przyjmować młodszych kolegów.

Anna Dymna czego konkretnie Panią nauczyła?

Malować się, bo ja nawet nie umiałam rzęs sobie zrobić. „Płatonow" reżyserowany przez Filipa Bajona był pierwszym spektaklem, który grałam na dużej scenie, i wtedy z Anią mnóstwo czasu spędziłyśmy w garderobie. Ania wspominała, jak przyjmowała ją do zespołu Zofia Jaroszewska. Wielka aktorka. Siedząc w garderobie mówiła do niej, że pamięta siebie w tym lustrze, gdy była młoda. „Zobaczysz, miną lata, będziesz się jeszcze bardziej denerwowała przed każdą premierą, bo wtedy odpowiedzialność jest większa i oczekiwania wobec ciebie coraz większe". Jaroszewska powiedziała to Dymnej, Ania mnie, a ja teraz to samo mówię młodszym aktorkom.

ROMAN JOCHER / TEATR MIEJSKI W GDYNI

Dorota Segda w spektaklu „Triumf Woli" na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port w Teatrze Miejskim w Gdyni, maj 2017 r.

A co Pani myśli, siedząc dziś przed lustrem w garderobie?

Śmieję się z przemijania.

Naprawdę Pani się śmieje?

Gram Julcię w „Pannach z Wilka" w reżyserii Agnieszki Glińskiej, cały ten spektakl jest o przemijaniu. Mówię tam monolog, który jest skonstruowany z fragmentów prozy Jarosława Iwaszkiewicza i Virginii Woolf. Pierwsze jego słowa brzmią: „Nie jestem już młoda...". Siedząca przed lustrem kobieta zastanawia się, czym jest przemijanie i czym może być śmierć. Ten monolog sporo mnie kosztuje. Choć prywatnie nie pochylam się szczególnie nad upływem czasu, nie spędza mi on snu z powiek. A jednak gdy mówię o czasie słowami Virginii Woolf, zaczyna mnie to boleśnie dotykać.

Co szczególnie?

W tym monologu padają zdania: „Zlękłam się tylko na chwilę, zanim zdążyłam się przygotować na swój widok, a przecież zawsze to robię". Gdy porównuję się do swojego wizerunku na ekranie, to – nie ukrywam – robi to na mnie wrażenie. Człowiek ma jednak lepsze wyobrażenie siebie, a ekran jest okrutny – obnaża upływ czasu.

I tęskni Pani za sobą w młodości?

Za młodością to nie, lecz 35 lat mogłabym zachować nawet na długo. Ale nie narzekam jako aktorka. W teatrze minął czas, gdy najpierw grało się córkę lub siostrę, a od pewnego wieku wyłącznie ciocię czy mamę. I to były role drugoplanowe. Teraz gram w sztukach Pawła Demirskiego, u którego, niezależnie od wieku, każdy aktor i aktorka są równoprawni. W „Triumfie woli" jestem np. Kathrine Switzer – pierwszą kobietą biorącą udział w maratonie bostońskim. Udało się jej to tylko dlatego, że podczas rejestracji podała inicjały oraz nazwisko – K.V. Switzer, wiec organizatorzy myśleli, że jest mężczyzną. A działo się to niedawno, pod koniec lat 60. Próbowano ją zepchnąć z trasy, ale mężczyźni biegnący obok otoczyli ją kordonem i tak biegli razem 40 kilometrów! Zawsze mam ciary, jak to opowiadam.

Kiedy jestem na scenie, nie widzę siebie. W filmie aktorka musi się konfrontować ze sobą na ekranie. Inna rzecz, że teraz w filmie gram mało.

Ale gdy w „Faustynie" zagrała Pani tytułową rolę, Danuta Szaflarska, która w filmie Jerzego Łukaszewicza wcieliła się w postać siostry Feliksy, w jednym z wywiadów powiedziała, że przyszłością kina jest Dorota Segda, z której emanuje niezwykłe światło.

A myśmy się nawet z panią Danutą na planie nie spotkały. Ona była fenomenem, który zdarza się raz na kilka pokoleń. Kiedy to mówiła, była już wiekową damą polskiego kina, wtedy dziwnie zapomnianą. Minęło prawie dziesięć lat,

a ona dopiero zaczęła być rozchwytywana, po dziewięćdziesiątce grała fantastyczne role w filmie i w teatrze – m.in. w „Żarze" na podstawie Sándora Máraiego.

Wtedy gdy tak pięknie o mnie publicznie powiedziała, wzruszona napisałam do niej liścik z podziękowaniami i wysłałam do Teatru Współczesnego. I znowu minęło ileś lat, spotykam w Warszawie córkę pani Danuty, i córka mi mówi, że ten mój liścik bardzo mamę ucieszył.

Bo dobre słowo działa w obie strony.

I jeszcze jeden niezwykły gest podziwianej przeze mnie Ewy Lassek. To były czasy studenckie, Lassek była wykładowczynią. Na szkolnym korytarzu wyłoniła się z ciemności, podeszła do mnie i tym swoim drapieżnym głosem powiedziała, jednocześnie delikatnie dotykając mojej twarzy: „Ty jesteś taki słowiański Joas". Bo na pierwszym roku wyglądałam jak 14-letni chłopczyk, miałam króciutkie jasne włosy. I proszę sobie wyobrazić, że już po trzydziestce zagrałam Joasa w „Sędziach" reżyserowanych przez Jerzego Grzegorzewskiego. Zawsze będę miała przed oczyma Ewę Lassek, która mnie naznaczyła do zagrania tej roli.

A czy ludzie piszą do Pani listy?

Piszą. Ale odpisuję tylko na wyjątkowe.

Czyli które?

Jedna z moich najbliższych przyjaciółek to kobieta, która się we mnie zakochała jako idolce. Byłam wtedy bardzo młodą aktorką, a ona jeszcze licealistką. I pisała do mnie tak poruszające listy, że najpierw jej odpisałam, a potem się z nią spotkałam i tak, krok po kroku, jest dziś jednym z najbliższych mi ludzi.

Co jeszcze ludzie piszą? Świat stał się toporniejszy, co również przełożyło się na pisanie listów. Najczęstszy szablon: „Pani grała w serialu, jestem Pani fanem, proszę mi podpisać zdjęcia" i w kopercie jest plik fotosów. Na takie listy nie odpisuję. Zauważyłam też, że jestem patronką nieszczęśliwych miłości. Kiedyś opowiedziałam o trudnym etapie związku z moim mężem i przez co musieliśmy przejść, by w końcu szczęśliwie ułożyło się nasze wspólne życie. I teraz dziewczyny, które mają ukochanych pozostających w innych związkach, piszą do mnie listy, gdzie otwierają serce rozdarte na kawałki, bo wiedzą, że ja to zrozumiem. Na takie listy też odpisuję.

Ostatnio ludzie podchodzą do mnie na ulicy, by gratulować gotowości do wyrażania opinii na tematy społeczne: **„Podziwiam panią za odwagę".** Przeraża mnie, że żyjemy w czasach, w których wyrażenie swojej opinii uznawane jest za bohaterstwo.

Co Pani odpisuje?

Cóż mogę odpisać? „Trzymaj się, dziewczyno, co ma być, to będzie, ale walcz o swoje szczęście".

Przychodzą też listy z prośbami. Ktoś pisze, że jestem bogata, mam dużo garderoby i noszę ten sam rozmiar, więc prosi, bym swoje rzeczy przysyłała na podany adres. Są też dramatyczne prośby o pieniądze, a do koperty włożony jest odcinek emerytury albo wyciąg z raty kredytu, który trzeba spłacać.

Ostatnio jako aktorka-rektorka otrzymuję epistoły od pewnego zaangażowanego środowiska krakowskiego z zapytaniem, dlaczego na froncie uczelni jest wywieszona tęczowa flaga, która ma ponoć obrażać dzieci. Albo jakiś pan napisał wzburzony, że w naszej szkole każemy rozbierać się do naga – ktoś mu taką informację przekazał. Napisał, że podobne praktyki stosowano w obozach koncentracyjnych – naziści kazali rozbierać się więźniarkom. Nie wiem, co taki człowiek ma w głowie, żeby podobne rzeczy wymyślać.

Przerażające.

Ciekawe jest też to, że ostatnimi laty, jeśli ludzie podchodzą do mnie na ulicy, to przede wszystkim po to, by gratulować mi gotowości do wyrażania opinii na tematy społeczne, w ogóle światopoglądowe. Mówią: „Podziwiam panią za odwagę". I muszę powiedzieć, bez cienia fałszywej skromności, że to mnie przeraża.

Co?

Że żyjemy w czasach, w których wyrażenie swojej opinii uznawane jest za bohaterstwo.

Publicznie powiedziała Pani kiedyś o nieudanych próbach in vitro.

Latami do tego dojrzewałam. Czułam, że pójdzie za tym fala hejtu – nie chciało mi się tego znosić. A teraz na hejt zobojętniałam. Czym jest fala hejtu wobec tych dziesiątek, setek, tysięcy nieszczęśliwych kobiet, którym w Polsce odmawia się prawa do macierzyństwa? W kraju, w którym tak bardzo nie szanuje się życia już poczętego, a jednocześnie zmusza kobiety do rodzenia zdeformowanych płodów tylko po to, żeby je ochrzcić i niech umierają. Dlaczego wyrzuca się z Sejmu matki osób niepełnosprawnych, a państwo odmawia im godnej pomocy finansowej?

A Pani prywatne doświadczenie?

Nie wiem, ile równowartości drogich samochodów wydałam na *in vitro* w Polsce i za granicą, ale wiem, ile to kosztuje emocjonalne. I jeśli ktoś twierdzi, że to jest przywilej, a nawet zachcianka bogatego, to nie ma rozumu i serca. Moja przyjaciółka, która mieszka w Nowym Jorku, poddała się *in vitro* i dziś jest mamą 16-latka. Tyle samo ją to kosztowało, ile mnie, ale dzięki niej wiem, jakie za tym idzie szczęście, miłość, spełnienie. Odmawianie parom możliwości *in vitro* jest niemoralne. W końcu wygaśnie gatunek ludzki, bo bezpłodnych par jest coraz więcej i więcej. Jeśli Pan Bóg jest i chce, by człowiek istniał, to z tego powodu wymyślił *in vitro*.

Piekielnie to wszystko trudne.

Zrobiliśmy z mężem wszystko, co w naszej mocy, by potem nie żałować tego, że nie próbowaliśmy.

Gdy w 2016 r. została Pani wybrana rektorem i odbywała się inauguracja roku akademickiego, a w ten sam dzień został zorganizowany Czarny Marsz – protest przeciw ustawie całkowicie zakazującej aborcji – Pani na znak solidarności z kobietami zamiast gronostajów założyła czarny kołnierz.

Zrobiłam to również dlatego, by studentki i pracownice uczelni nie miały dylematu, czy po inauguracji mają zostać na zajęciach czy iść na Czarny Marsz. ↦

↦ Zarządziłam godziny rektorskie i w ten sposób zamanifestowałam solidarność z wszystkimi kobietami walczącymi o swoje prawa. Przy okazji na zawsze zrezygnowałam z gronostajów, nawet jeśli udawały je martwe króliki.

Gdyby teraz była inauguracja, wywiesiłabym czarną flagę. To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. To wyraz takiej pogardy i nienawiści w stosunku do kobiet, że pożałują tego, mam nadzieję. Siła jest kobietą. Co ma wspólnego Jezus z nietolerancją wobec osób LGBT, z tą aborcyjną hipokryzją i patriarchatem?

Kiedy obejrzałam film Aleksandry Potoczek o ks. Adamie Bonieckim, popłakałam się ze wzruszenia i z rozpaczy. Miło, że mogę to powiedzieć w „Tygodniku". Dlaczego takich ludzi jest tak mało? Dlaczego katolicyzm w Polsce wylądował w Radiu Maryja? Dlaczego miłosierdzie zastąpiono pychą? Ja z takim Kościołem, wypranym z chrześcijaństwa, nie chcę mieć nic wspólnego.

Już wtedy, gdy poparłam czarny protest, wielu osobom to się nie spodobało. Dlaczego jednak miałabym się tym przejmować?

Ani trochę?

Przejmuję się, kiedy to zaczyna dotykać finansów uczelni, kiedy widzę, że nieprzychylność władzy bierze się z tego, że mam tzw. odwagę wypowiedzieć zdanie. I wziąć słabszego w obronę, choćby w symboliczny sposób, jak wywieszając tęczową flagę. Uważam, że przemilczanie sprawy to zwyczajny akt tchórzostwa. Ale to nie zmienia faktu, że nie mogę powiedzieć i zrobić tego wszystkiego, co bym chciała, ponieważ jestem odpowiedzialna za 500 studentów i za drugie tyle pracowników uczelni. Dlatego coraz częściej gryzę się w język.

Jest Pani jedną z dwunastu kobiet na stanowisku rektora publicznej uczelni.

Ludzie władzy z jednej strony lubią się „podeprzeć" aktorką i publicznie wypowiedzieć jej nazwisko, żeby było wiadomo, że jesteśmy w dobrej relacji. A jednocześnie jest to podszyte pewnym pobłażaniem, jakby mówili o swoim wyobrażeniu miłej blondynki, a nie o pani rektor. Nie powiedzieliby w ten sposób o panu rektorze. Natomiast ze strony rektorów krakowskich doświadczyłam samych dobrych rzeczy, tu nie ma cienia pobłażania, jest szacunek i partnerstwo.

I obowiązki rektora nie zasysają Pani czasu przeznaczonego na aktorstwo?

Co to za rektor szkoły teatralnej, który nie gra? Rektor musi chodzić po ziemi – wiedzieć, co się dzieje w teatrze i w filmie.

Choć funkcję rektora objęłam w bardzo trudnych warunkach. Wchodziła wtedy w życie reforma ministra Jarosława Gowina, pisano nową ustawę o szkolnictwie wyższym, toczyła się walka o pozycję uczelni artystycznych, w tym teatralnych. Trzeba było wymyślić nowe przepisy i statut – no... koszmar. Nienawidzę czytać regulaminów i instrukcji obsługi, kompletnie się do tego nie nadaję. A dla AST to zrobiłam.

Teraz parę razy znowu ugryzę się w język. Mogę powiedzieć tyle: kiedy już pewne rzeczy zostały rozwiązane, kiedy zreformowałam zamiejscowe wydziały Akademii – bo w praktyce jestem rektorem w trzech miastach, Krakowie, Wrocławiu i Bytomiu – na to wszystko przychodzi pandemia, coś, czego człowiek sam by nie wymyślił.

Co ona zmieniła w Pani pracy?

O ile te wszystkie najtrudniejsze rzeczy robiłam po to, by mieć satysfakcję, że udało się naprawić to, co popsute, o tyle teraz z dnia na dzień pogrążam się w coraz większej frustracji. Co wymyślę, to już nazajutrz muszę weryfikować. Walczę o to, by przynajmniej garstka studentów pracowała naprawdę, czyli na scenie. Ale jeden przypadek choroby albo samo zetknięcie się z kimś zakażonym wysyła całe grupy studentów i pedagogów na izolację. To jest ciężkie, pomimo że cały zeszły semestr odbył się zdalnie. Błyskawicznie wdrożyłam zdalne nauczanie, ale najpierw trzeba było wszystko zorganizować – przecież myśmy nigdy wcześniej nie uczyli aktorstwa przez ekran komputera czy komórki.

I jakie są dziś efekty?

Powstały wspaniałe spektakle, jestem wzruszona, kiedy o tym mówię. To dowód na to, ile w studentach jest pasji, a w pedagogach kreatywnej mocy. Na stronie uczelni można zobaczyć „Wesele", egzamin moich studentów – namacalny dowód na to, że sztuka może powstawać w trudnych warunkach. Ja siedzę przed komputerem w Krakowie, Panna Młoda w Stargardzie Szczecińskim, Pan Młody w Białymstoku, Chochoł na Podlasiu, czyli każdy w zupełnie innej części Polski. I powstaje „Wesele" *online* – aktualne, jak zawsze. Są w nim prawdziwe emocje i autentyczny dialog skrzący się humorem.

Kiedyś Stanisław Barańczak specjalnie dla Andrzeja Wajdy przetłumaczył „Hamleta", a potem zobaczył Panią na scenie jako Ofelię. I tak chciał, by Pani zagrała Julię, że zrobił przekład „Romea i Julii". Nie zagrała Pani.

Zaczęłyśmy naszą rozmowę od tego, że w aktorstwie trzeba być twardym. Ostatnio sama zostałam fatalnie potraktowana przez producenta. Przygotowywałam się do roli, o której marzyłam, PISF dał nawet pieniądze na podstawie scen, w których zagrałam. A w przeddzień zdjęć dowiedziałam się, że tego już nie gram ja, rolę dostała inna aktorka. Znajomi reżyserzy twierdzą, że stało się tak z powodu koprodukcji TVP, która przestała mnie lubić. Nie wiem, jak jest naprawdę, może byłam za mało zdolna.

I?

I chwilę jest przykro, a potem działam dalej. Takie sytuacje zdarzają się wszystkim aktorkom na świecie. Powtarzam studentkom, że dopóki nie stoimy na planie, nie mamy podpisanej umowy, wszystko może wywrócić się do góry nogami.

Ale czy nie żałuje Pani roli Julii?

Dwukrotnie ze studentami wystawiłam „Romea i Julię" właśnie w tłumaczeniu Barańczaka. Więc ten tekst niosę dalej w teatralny świat. Zagrałam tyle cudownych ról, o których nigdy nie marzyłam, a nie zagrałam Julii. Przecież w życiu zawsze coś nie wychodzi. Ale za to mam listy od Barańczaka. W tym zawodzie trzeba mieć bardzo dużo szczęścia i ja go doświadczyłam. Wolę trzymać się tego, co dobre, a nie rozpamiętywać porażki – to byłaby równia pochyła i czysta destrukcja. Przecież tyle rzeczy przede mną!

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

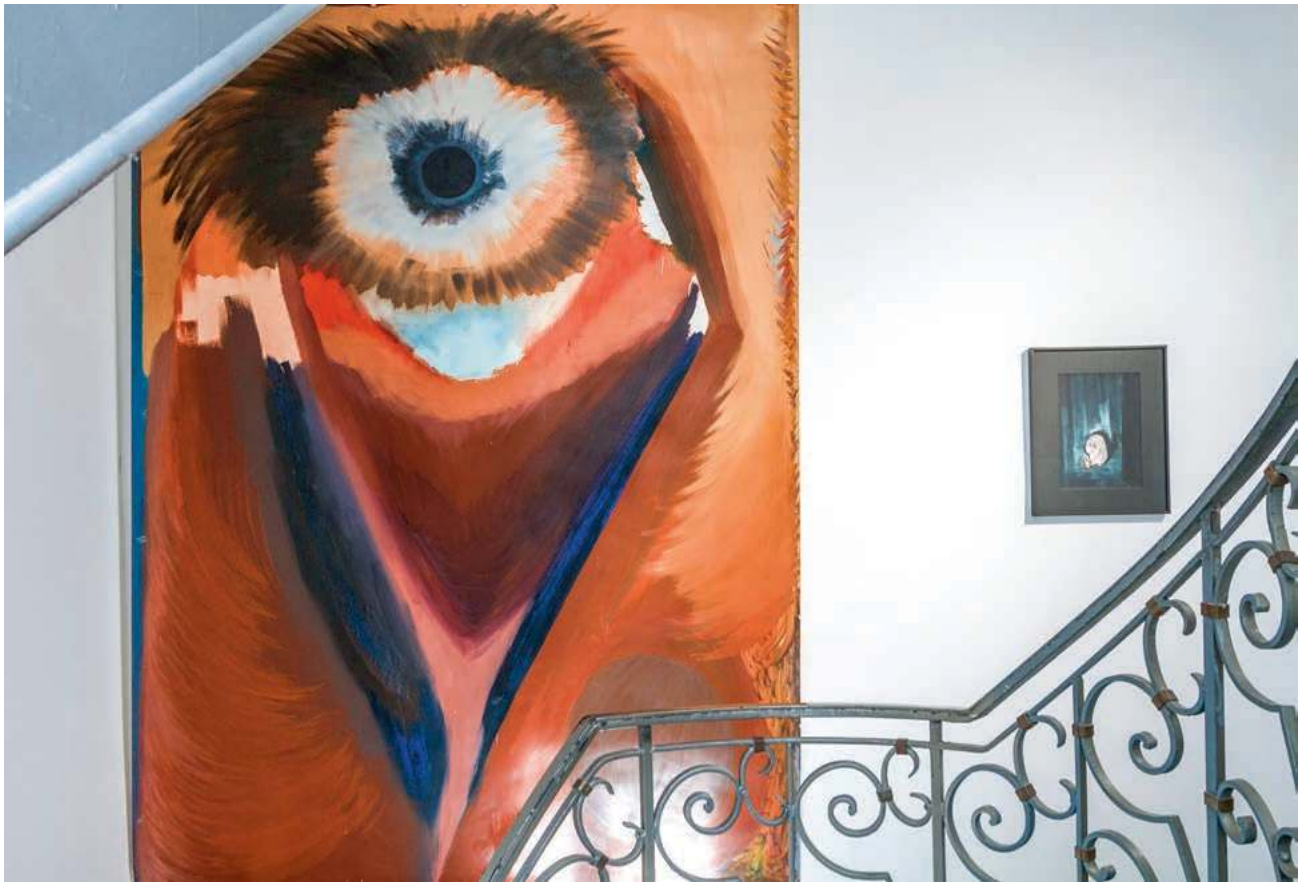

MACIEJ ZANIEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE x2

Tu i poniżej: Widok wystawy „Wiśnie", Galeria Arsenał w Białymstoku

Soki w szczelinach

PIOTR KOSIEWSKI

Sztuka może być źródłem przyjemności. Przypomina o tym wystawa „Wiśnie". Ale jak zasmakować sztuki? Doświadczyć przyjemności podobnej tej, która towarzyszy jedzeniu dojrzałego owocu?

Owoc wiśni. Lśniący. Dojrzały. Wypełniony sokiem. Skórka napięta i błyszcząca. Jaskrawa czerwień. Gęsty brąz. Niepokojące lustra czerni. (...) By porozumiewać się z owocem wiśni, nie musimy nań patrzeć. Wystarczy dotykać" – pisała Jolanta Brach-Czaina w eseju „Wiśnia i rozumienie". Po ten tekst sięgnęła Ewa Tatar przygotowując wystawę „Wiśnie" w białostockiej Galerii Arsenał.

Dwie kolekcje

Esej ukazał się w wydanym w 1992 r. tomie „Szczeliny istnienia". Zaskakiwał sposób prowadzenia wywodu w tej książce i użyty przez profesor Brach-Czainę język: obrazowy, niemalże perswazyjny. Była to propozycja zdecydowanie inna od ówcześnie dominujących akademickich standardów. „Szczeliny istnienia" uwodziły czytelnika, do dziś są uznawane za „książkę kultową".

Na początku lat 90. XX w. zaczyna także powstawać kolekcja Galerii Arsenał w Białymstoku. Przez lata była konsekwentnie tworzona – ważne okazało się powołanie w 2005 r. Podlaskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, którego ↦

celem było uzupełnienie tych zbiorów (kiedy w 2016 r. Towarzystwo zakończyło działalność, zbiory przekazało Arsenałowi). Kolekcja, stale poszerzana o nowych autorów i nowe zjawiska, jest obecnie jednym z najważniejszych publicznych zbiorów sztuki współczesnej w Polsce i jedynym w tej skali poza głównymi metropoliami.

Od samego początku nabywano – z nielicznymi wyjątkami – dzieła powstające po przełomie 1989 r. Do dziś zebrano ok. 250 obrazów, rzeźb, fotografii, instalacji czy prac wideo: od Jarosława Modzelewskiego i Mirosława Bałki, Pawła Althamera i Katarzyny Kozyry po Wojciecha Bąkowskiego i Agnieszkę Polską. Uzupełnione o prace twórców uznawanych dziś za klasyków, jak Natalia LL, Ewa Partum czy Józef Robakowski – pozwalają przekonująco opowiedzieć o sztuce w III RP.

Białostocka kolekcja wyróżnia się z jeszcze jednego powodu. Bardzo szybko zaczęto pozyskiwać do niej dzieła artystów z innych krajów, przede wszystkim z naszego regionu. Sprawia to, że zbiór – z pracami tak cenionych dziś artystów, jak Deimantas Narkevičius, Dan Perjovschi czy Mykoła Ridnyi – stał się wyjątkowy. Pozwala wpisać polską sztukę w kontekst międzynarodowy i wydobyć specyfikę krajów, które łączy dziedzictwo komunistycznych rządów i demokratycznej transformacji. Zbiór jest stale uzupełniany – wśród tegorocznych nabytków są m.in. rysunki Włady Rałko z cyklu

Goshka Macuga „Martwa natura", 2007, Kolekcja rodziny Prokeszów

„Dzienniki Kijowskie" (2013-15), będące najciekawszym w sztuce świadectwem doświadczenia ukraińskiej rewolucji godności.

Na wystawie „Wiśnie" znalazły się także prace z innej kolekcji – prywatnej, stworzonej przez rodzinę Prokeszów. O jej istnieniu od dawna wiedziano – ale można było zobaczyć tylko poszczególne prace, m.in. w łódzkim Muzeum Sztuki, część z nich znajduje się w stałych muzealnych depozytach. W Białymstoku po raz pierwszy pokazano ich większy wybór. Imponujący – kolekcja wyróżnia się wśród innych ważnych polskich prywatnych zbiorów. Jest mniejsza niż np. znane zbiory Krzysztofa Musiała (pokaz ich części trwa teraz w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie) czy Jerzego i Anny Staraków, ale to w niej polscy artyści i artystki są konfrontowani z twórczością powstającą w innych krajach. Jedynie dobrze znany zbiór Grażyny Kulczyk w podobny sposób łączy rodzime z tym, co uniwersalne.

Początki kolekcji Prokeszów sięgają końca ostatniej dekady ubiegłego wieku. Początkowo skupiała się na powojennej polskiej awangardzie. Jednak Katarzyna i Paweł Prokeszowie dość szybko zainteresowali się artystami zagranicznymi. Jak tłumaczą, ważne było dla nich poznanie wykraczającego poza Polskę środowiska kuratorskiego, galeryjnego i kolekcjonerskiego. Powodem było także ubóstwo oferty w kraju. Istotna wreszcie okazała się – jak podkreślają Prokeszowie – możliwość przyglądania się twórcom prezentowanym w ważnych galeriach, na documenta w Kassel, Berlińskim Biennale czy na targach sztuki.

Wszystkie te czynniki sprawiły, że stopniowo w kolekcji Prokeszów pojawiły się prace czołowych obecnie postaci, takich jak Karla Black, Thomas Hirschhorn, Goshka Macuga czy Damián Ortega. W chwili zakupu ich prac wszyscy byli wyborem „nieoczywistym", bo nie mieli ugruntowanej pozycji rynkowej, raczej na ten rynek dopiero wchodzili. – Dzięki takiemu podejściu do budowania kolekcji – dodają Prokeszowie – udało nam się poznać wiele fascynujących osobowości i coraz lepiej rozumieć język

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MACIEJ ZANIEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE x3

Isabelle Cornaro „Krajobraz z Poussinem i naocznymi świadkami (II)", 2009. Kolekcja rodziny Prokeszów

sztuki współczesnej. Nie każda kolekcja musi być budowana na zasadzie inwestycji i opierać się na pozyskiwaniu „filarów/ /liderów" rynku.

Białostocka wystawa nie jest jednak wyborem najciekawszych czy najbardziej reprezentatywnych obiektów z obu zbiorów. Jej kuratorka wykorzystała poszczególne prace do stworzenia opowieści o sztuce ostatnich 50 lat, a kluczem do niej uczyniła właśnie tekst Jolanty Brach-Czainy.

Ale też „Wiśnie" skłaniają do pytań o rolę kolekcji. Czy zadaniem instytucji publicznej jest zachowanie spetryfikowanej spuścizny, ustanawianie, a następnie ochrona hierarchii ważności i kanonu? Czy też nieustanne pytanie o aktualność tego, co pozostało z przeszłości, i opowiadanie za pomocą prac historycznych i już współczesnych o świecie dzisiejszym? Sprawienie, by odbiorcy mogli na wystawie odnaleźć własne problemy? Jeżeli spojrzeć na praktykę najciekawszych muzeów i galerii publicznych w ostatnich dekadach, widać, że ich własne zbiory nie służą dziś potwierdzaniu *status quo*, tylko stawianiu pytań. Stałe ekspozycje będące zbiorem arcydzieł odchodzą w przeszłość.

Iza Tarasewicz „Rany", 2008. Kolekcja II Galerii Arsenał w Białymstoku, praca zakupiona przez Podlaskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych

Przyjemność patrzenia

„Najważniejsze jest dotknięcie wiśni wargami i językiem – pisała Jolanta Brach-Czaina. – Dopiero wtedy ujawnia się cała delikatność i sprężystość wypełnienia żywej kuli, jaką stanowi. (...) Już pierwsza strużka soku tryskająca z naciśniętej zębami wiśni ujawnia cały smak". Ale czy można zasmakować sztuki? Doświadczyć przyjemności podobnej tej, która towarzyszy jedzeniu dojrzałego owocu? Ewa Tatar tworząc wystawę postawiła pytania niby oczywiste, ale od dawna rzadko zadawane.

Jolanta Brach-Czaina w swych esejach zwróciła uwagę na codzienność w jej drobiazgach, fragmentach. Na te wszystkie „szczeliny istnienia", w których ujawnia się rzeczywistość naszego bytowania. I tak jak filozofka proponowała przyglądanie się ścierce, piaskowi czy talerzowi, tak wystawa w Arsenale zachęca do uważnego patrzenia na prace artystów. Zestawione – jak podkreśla kuratorka – nie ze względu na to, co przedstawiają, ↦

↦ jaką historię opowiadają, lecz ze względu na swój materialny wymiar.

Mocny, międzynarodowy aspekt kolekcji Prokeszów został dzięki białostockiej kolekcji dopełniony o środkowo-, a przede wszystkich wschodnioeuropejski wymiar. „Wiśnie" przypominają też prace artystek pomijanych, a przynajmniej długo nie uważanych za pierwszoplanowe, jak coraz bardziej dziś doceniana Erna Rosenstein, Jadwiga Maziarska czy Teresa Rudowicz. To ich prace – pochodzące właśnie z kolekcji Prokeszów, którzy bardzo wcześnie zaczęli je zbierać – przewijają się przez całą ekspozycję ponad 40 autorów, od urodzonych w pierwszych dekadach minionego stulecia aż po obecnych 30-latków.

„Wiśnie" wydobywają przede wszystkim fizyczny wymiar dzieł. To, z czego są wykonane. A niejednokrotnie są to materiały zaczerpnięte z naszej codzienności, jak w „Krajobrazie z Poussinem i naocznymi świadkami" Isabelle Cornaro z 2009 r., najbardziej efektownej pracy na wystawie. Zwykłe przedmioty, jak dywany, talerze i wazony, bliskie przedmiotom, które można odnaleźć w obrazach wielkiego francuskiego mistrza, komponują się w niezwykły pejzaż. Zniknęli ludzie, zwierzęta, roślinność, ale pozostały rzeczy, które im na XVII-wiecznych przedstawieniach towarzyszyły.

W Białymstoku udała się rzecz rzadka: wystawa wymusza wyjście poza przyzwyczajenie, interpretacyjne nawyki czy utarte wyobrażenia. Zachęca do smakowania, delektowania się pracami, niczym owocami dojrzałej wiśni. I bacznego przyglądania się im, bo – jak przestrzega kuratorka – czasami podstawiają nam nogę.

© PIOTR KOSIEWSKI

WIŚNIE, *Białystok, Galeria Arsenał, wystawa czynna do 12 listopada br., kuratorka: Ewa Tatar.*

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

HENRIK OHSTEN / MATERIAŁY PRASOWE

Mads Mikkelsen jako Martin w filmie „Na rauszu"

Zabawa z alkomatem

ANITA PIOTROWSKA

Pod przykrywką alkoholowych badań empirycznych skryły się w filmie „Na rauszu" niespełnione ambicje i schowane na co dzień lęki.

Wiadomo, że lubił wypić Churchill, że ostro „tankował" Hemingway i nawet Chopin, „gdyby jeszcze żył, toby pił". W „Na rauszu" w pewnym momencie pojawia się klip zmontowany z wizerunków znanych polityków, którzy – co widać na obrazku – nie lubili wylewać za kołnierz. W Polsce, gdzie rocznie przypada na głowę ponad dziewięć litrów czystego alkoholu, raczej nie ma się z czego śmiać. Ale duński film w reżyserii Thomasa Vinterberga tylko udaje, że jest błahą komedią. Bo czyż może nam być do śmiechu, kiedy historia zaczyna się cytatem z Kierkegaarda?

Jakiś powód zawsze się znajdzie. Bohaterowie filmu to czterej kumple w średnim wieku uczący w liceum. Byłoby jednak banalnie, gdyby Martin, Tommy, Nikolaj czy Peter zostali alkoholikami z powodu znudzenia widocznego na twarzach ich uczniów, pretensji ze strony ich rodziców czy sytuacji domowej dalekiej od ideału. Podczas wspólnej, zrazu niewinnej popijawy panowie wymyślają sobie chłopacki *challenge*. Oto, zdaniem pewnego pseudonaukowca, pół promila alkoholu stale obecne we krwi zapewnia dostateczny relaks i pewność siebie. Oznacza to, że dwie lampki wina mogą pozytywnie wpływać zarówno na nasz osobisty dobrostan, jak i na sytuację zawodową.

Bohaterowie postanawiają przetestować to na własnej skórze, skrupulatnie zapisując obserwacje i wyniki. Efekt przychodzi szybko: udaje się opanować rozwydrzoną klasę, a nawet znaleźć z nią wspólny język, udaje się poskromić domowy chaos, wyzwolić w sobie fantazję i wigor. Czy da się jednak zachować przez cały czas optymalne warunki dla tego rodzaju eksperymentu? Nie szkodzi – zawsze można sobie jeszcze wyżej podnieść poprzeczkę.

Vinterberg czerpie komizm nie tyle z prostackiej wyczynowości owego zadania, ile z tego, jak Martin (grany przez Madsa Mikkelsena) i jego towarzysze potrafią ukryć przed światem swój „projekt badawczy". Ponieważ staje się on co-

raz bardziej ekstremalny, trzeba na bieżąco dorabiać doń kolejne ideologie. Zaczyna się od piersiówki, z której pan od historii pociąga przed lekcją w szkolnej toalecie, od butelek magazynowanych przez wuefistę w schowku, a potem już licznik procentów bije ostro jak w alkomacie. Dzięki temu właśnie ustrojstwu tudzież miętówkom i robieniu dobrej miny bohaterowie przez jakiś czas potrafią iść przez życie suchą stopą i płynnie – *nomen omen* – wkroczyć w następny etap swego planu.

Wiadomo, że nie może się to dobrze skończyć. Że wcześniej czy później musi nastąpić pierwsze, jak najbardziej dosłowne zderzenie ze ścianą. Że ta męska „zabawa, zabawa" wpisuje się po prostu w tzw. wysokofunkcjonujący alkoholizm, schowany za społecznym prestiżem wykonywanego zawodu czy życiowych ról. Jednak duński reżyser nie projektuje swego filmu pod ustawę o wychowaniu w trzeźwości. Traktuje widza jak dorosłego, również wtedy, gdy z humorem pokazuje pijacką brawurę. Albo inaczej: przemawia do nas zrazu jak Martin do swoich uczniów, opowiadając im o wspomnianych na początku sławnych pijakach i fraternizując się szturchańcem „znamy to, prawda?", po czym polewa nam jeszcze jedną kolejkę. I następną. Widz ani się spostrzeże, a obudzi się na ciężkim kacu.

Cisną się pod palce wytarte słowa o współczesnej męskości w kryzysie, choć przecież butelka nie rozróżnia dzisiaj płci. Vinterberg stawia jednak wyraźną diagnozę swoim braciom i kolegom, niezdolnym do wypowiedzenia na trzeźwo tego, co ich boli. Pod przykrywką alkoholowych badań empirycznych skryły się w „Na rauszu" niespełnione ambicje i schowane na co dzień lęki. Bo wspomniany Søren Kierkegaard nie jest tu tylko tematem z egzaminu maturalnego, a biesiadno-łobuzerska poza przykrywa wewnętrzny dygot.

Mężczyźni u Vinterberga boją się wziąć odpowiedzialność za rodzinę i zarazem lękają się pustych mieszkań. Zamiast pracować nad naprawą swoich relacji – z bliskimi czy z uczniami – poszukują cudownych recept. Unikając podejmowania codziennego ryzyka, jednocześnie potrafią położyć wszystko na jednej dziurawej szali. I choć rola i twarz Mikkelsena wybija się jak zawsze na pierwszy plan, to również pozostała trójka – Thomas Bo Larsen, Magnus Millang, Lars Ranthe, grający najzwyklejszych facetów pod słońcem – potrafi wzbudzić w nas iście wyskokową mieszankę: śmiechu, irytacji i współczucia.

Tymczasem plakaty do tego filmu obiecują przede wszystkim szampańską zabawę. Na niektórych Martin pije oklaskiwany przez rozbawioną młodzież, jakkolwiek „Na rauszu" przypomina mimochodem, że zupełnie inaczej pije się będąc nastolatkiem, a inaczej w wieku lat czterdziestu czy pięćdziesięciu. W pewnym momencie żona Martina, Trine (Maria Bonnevie), stawia druzgocącą diagnozę nie tylko jemu i jego kumplom, ale i całemu krajowi. Bo chociaż Dania nie jest tu więzieniem, to najwyraźniej jej mieszkańcy szamocą się w swoim dostatnim, uporządkowanym świecie.

Ktoś porównał filmy Vinterberga do eksperymentów społecznych, w których nie tylko bohaterowie, lecz także my, widzowie, z naszymi emocjami i sądami, zostajemy wystawieni na próbę. To, co z początku wydaje się bezpieczne, swojskie, poprawne i w granicach ogólnie przyjętej normy, nieoczekiwanie zaczyna się wymykać, zastawiać pułapki. Mistrzowskie przedstawienie tego mechanizmu podwójnego osaczenia zaprezentował reżyser w „Polowaniu" z 2012 r., gdzie Mikkelsen grał wychowawcę przedszkolnego oskarżonego o pedofilię.

W najnowszym filmie Vinterberg – twórca „Festen" i jeden z niegdysiejszych sygnatariuszy manifestu Dogma `95, która miała oczyścić kino z formalnych naddatków – udowadnia, że potrafi zarówno wyzwalać, jak i w pełni kontrolować filmową energię. Tragikomiczna opowieść o męskim buncie, który wymknął się spod kontroli, nie pretenduje do ligi ważkich filmów „alkoholowych", jak „Stracony weekend", „Pętla" czy „Pod Mocnym Aniołem". Choćby dlatego, że zatrzymuje się na wczesnym stadium uzależnienia, kiedy prawie wszystko jest jeszcze odwracalne i naprawialne. Duński film pozwala zatrzymać ten moment w kadrze i najzwyczajniej się nim cieszyć. ©

NA RAUSZU *(Druk) – reż. Thomas Vinterberg. Prod. Dania 2020. Dystryb. Best Film. Film zostanie pokazany 14 listopada w ramach festiwalu Nowe Horyzonty online i w kinie. Do regularnej dystrybucji ma trafić 27 listopada.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Obrazy bez autora

Dramat, reż. Florian Henckel von Donnersmarck, Niemcy/Włochy 2018, Cinemax, 4 XI, 10.40, 6 XI, 21.30

Z inspiracji biografią Gerharda Richtera powstał portret artysty ściganego przez demony nazizmu, ukąszonego przez socrealizm i uparcie szukającego własnej drogi. Na tle kilku dekad niemieckiej historii rozgrywa się intymna opowieść o narodzinach geniuszu. Film konkurował m.in. z „Zimną wojną" o statuetkę Oscara.

2. Król

Serial, reż. Jan P. Matuszyński, Polska 2020, premiera odc. 1, Canal+ Premium, 6 XI, 21.00, Canal+ 1, 6 XI, 22.00, Canal+ 4K Ultra HD, 6 XI, 22.30

Znakomita powieść, za kamerą twórca „Ostatniej rodziny" i do tego plejada aktorów, z Michałem Żurawskim, Arkadiuszem Jakubikiem i Magdaleną Boczarską na czele. Pierwsza serialowa adaptacja prozy Szczepana Twardocha przenosi nas do Warszawy 1937 r., do żydowskiego półświatka, gdzie kotłują się erotyczne namiętności, kryminalne porachunki i polityczne spory.

3. Ziemia niczyja

Serial, tw. Amit Cohen i inni, Francja/Izrael/ /Belgia 2020, HBO GO

Dlaczego terroryści z ISIS tak bardzo bali się zginąć z rąk kobiet? Serial opowiada historię żeńskich oddziałów walczących podczas ostatniej wojny w Syrii. Młody Francuz poszukujący zaginionej siostry dołącza do kurdyjskich dziewcząt i kobiet gotowych na wszystko w walce ze sfanatyzowanym okupantem.

4. Challenger: ostatni lot

Miniserial dokumentalny, reż. Daniel Junge, Steven Leckart, USA 2020, Netflix

Katastrofa amerykańskiego wahadłowca kosmicznego, który rozbił się w 1986 r., mocno zapisała się w pamięci współczesnych. Dokument pokazuje, że nie mniej ważny od okoliczności tragicznego wypadku jest tu „czynnik ludzki". Prócz ekspertów czy pracowników NASA po latach zabrali głos również najbliżsi tych, którzy stracili życie na promie.

Dom grozy

JAKUB MAJMUREK

Choć sami uznajemy się za racjonalnych, choć zupełnie odczarowana wydaje się nasza epoka, to by poznawać siebie, potrzebujemy mrocznych przestrzeni fantazji.

W styczniu 1895 r. pisarz Henry James odwiedził arcybiskupa Canterbury Edwarda White'a Bensona, ojca bliskiego przyjaciela. W trakcie wizyty duchowny opowiedział Jamesowi podobno prawdziwą historię o duchach – wymienianie się takimi opowieściami było powszechną rozrywką górnych warstw wiktoriańskiego społeczeństwa. Pisarz zanotował tego samego dnia jej główne punkty w swoim dzienniku: rodzeństwo po śmierci rodziców zostało umieszczone pod opieką służących w położonej na odludziu wiejskiej rezydencji. Zdemoralizowana para służących sprowadziła dzieci na złą drogę. Służący zginęli w tajemniczych okolicznościach, jednak ich duchy ciągle objawiały się rodzeństwu, nie przestając wywierać na nie zgubnego moralnie wpływu.

W ciągu trzech następnych lat zainspirowany przez historię biskupa James stworzył opowiadanie zatytułowane „W kleszczach lęku". Pisze ją z nadzieją na komercyjny sukces – jego kolejna sztuka właśnie zrobiła klapę, potrzebuje pieniędzy. Dba o to, żeby opowieść była tak przerażająca, by czytelnicy na długo ją zapamiętali. Jak sam pisze w liście do jednego z przyjaciół, po lekturze ostatecznej wersji tekstu przed korektą ze strachu nie może spać w nocy.

Recepcja czytelników z końca XIX w. daleka jest od jednoznacznego entuzjazmu. Z czasem jednak dzieło zyskuje status absolutnego klasyka literatury grozy, uważnie czytanego przez literaturoznawców i krytyków. Opowiadanie zainspirowało kameralną operę Benjamina Brittena, kilka sztuk teatralnych, ponad 30 adaptacji telewizyjnych i filmowych. Ostatnią, serial „Nawiedzony dwór Bly", od kilku tygodni możemy oglądać w Polsce na Netfliksie. Co sprawia, że „W kleszczach lęku" jest tak atrakcyjne dla kolejnych pokoleń?

Co się wydarzyło w Bly?

Historia toczy się w odludnym dworze w Bly, gdzieś w hrabstwie Essex. Młoda guwernantka podejmuje się w nim opieki nad dwójką dzieci – dziewczynką i chłopcem – którzy stracili swoich rodziców. Sprawujący pieczę nad rodzeństwem wuj nie zamierza rezygnować z uroków kawalerskiego życia w Londynie. Ma sama wszystkim się zająć i nie niepokoić go pod żadnym pozorem.

Jej podopieczna, Flora, wydaje się uroczym dzieckiem. Brat Flory, Miles, przebywa w szkole z internatem i do Bly ma wracać tylko na święta. Sytuacja szybko jednak się komplikuje. Miles zostaje wyrzucony ze szkoły. Guwernantka słyszy w domu dziwne dźwięki i zaczyna widzieć w nim obcego mężczyznę, pojawiającego się i znikającego w niewyjaśniony sposób. Dzieci zachowują się coraz dziwniej. Niektóre ich wypowiedzi równie dobrze mogą być dziecięcą paplaniną, co groźbą czy zupełnie niedziecięcą, seksualnie naznaczoną aluzją. Stopniowo młoda kobieta umacnia się w przekonaniu, że Bly nawiedzają dwa duchy: poprzedniej nauczycielki dzieci, panny Jessel i lokaja Petera Quinta. Quint uwiódł Jessel powodując skandal, kobieta i mężczyzna umierają krótko po jego wywołaniu. Jak się domyślamy, dzieci były co najmniej świadkami ich nieakceptowalnego w wiktoriańskim społeczeństwie romansu. Nowa guwernantka jest przekonana, że duchy cały czas komunikują się z dziećmi, deprawując je, a być może dążąc do ich opętania. Rodzeństwo wypytywane o kontakty zaprzecza. Ostatecznie upór guwernantki traumatyzuje Florę, która przeżywa coś w rodzaju załamania nerwowego i odmawia dalszych kontaktów z nauczycielką. W ostatniej scenie, gdy wydaje się, że kobieta ratuje Milesa przed opętaniem przez widmo Quinta, chłopak umiera na jej rękach. Co najciekawsze, poza guwernantką nikt w opowiadaniu nie widzi duchów Jessel i Quinta, żaden z obecnych w Bly dorosłych. Narratorka wierzy, że z widmami komunikują się dzieci – te jednak nigdy się do tego nie przyznają. Można więc równie dobrze uznać, że duchy nigdy tak naprawdę nie pojawiają się w dworze Bly, są tylko halucynacją guwernantki, projekcją jej wewnętrznych psychicznych konfliktów. Być może związanych ze zrepresjonowaną seksualnością samotnej kobiety – jak powszechnie od lat 30. ubiegłego wieku interpretowali to psychoanalitycznie zorientowani literaturoznawcy. Albo z tym, że kobieta nie jest w stanie znieść zamknięcia i izolacji. Lub z faktem, że w ramach swojego wiktoriańskiego światopoglądu – utożsamiającego dzieciństwo z niewinnością, szczęściem i czystością – nie jest w stanie wytłumaczyć sobie dziwnych zachowań powierzonych jej opiece dzieci.

Tekst noweli Jamesa nie pozwala jednoznacznie rozstrzygnąć, czy duchy w Bly były prawdziwe czy nie. Ta dwuznaczność jest wielką siłą opowiadania.

Groza wkracza w XX wiek

Choć „W kleszczach lęku" ukazuje się przed śmiercią królowej Wiktorii, to opowiadanie zamyka wiktoriańską epokę w literaturze grozy, wprowadzając ją w XX wiek. Z jego materialistycznym sceptycyzmem, dystansem do nadprzyrodzonych historii, psychoanalizą i jej opowieściami o grozie rodzinnej traumy czy stłumionej seksualności.

„W kleszczach lęku" ukazuje się też w rok przed publikacją „Objaśniania marzeń sennych" Zygmunta Freuda. Gdyby wiedeński doktor analizował opowiadanie Jamesa jako jeden z koszmarów swoich pacjentów, wskazałby z pewnością, że wszystkie nadprzyrodzone wydarzenia są w nim przejawem głęboko stłumionych treści psychicznych, wywołujących niedające się rozwiązać konflikty.

Za Jamesem i Freudem niemal cała literatura i kino grozy ostatnich stu lat z kawałkiem będą wiązać demoniczne, nadprzyrodzone zło z jakimś nierozwiązanym psychicznym konfliktem z przeszłości, traumą, poczuciem winy, zablokowanym pragnieniem. James wprowadza jeszcze jeden motyw, których podejmie XX wiek: demonicznego dziecka, stanowiącego co najmniej przewodnik dla sił nieczystych, jeśli nie źródło zła. Wraca on w tak różnych tekstach jak

EIKE SCHROTER / NETFLIX

Victoria Perdetti jako Dani i Benjamin Evan Ainsworth jako Miles w serialu „Nawiedzony dwór Bly"

„Władca much" Goldinga czy horrory z serii „Omen" – gdzie syn wpływowego amerykańskiego milionera okazuje się podrzuconym amerykańskiej rodzinie dzieckiem diabła, antychrystem mającym przynieść ziemi apokalipsę.

Wszystkie twarze Bly

Wieloznaczność „W kleszczach lęku" sprawiała, że każda nowa filmowa adaptacja opowiadania mogła przedstawić inną interpretację tego, co właściwie zdarzyło się w Bly. Ciągle uważany za najlepszą filmową adaptację opowiadania film Jacka Claytona z 1961 r. daje się czytać jako zapowiedź rewolucji obyczajowej lat 60., odrzucającej represyjną wiktoriańską moralność. Film uznaje realność pojawiających się w Bly widm i jednocześnie przedstawia je jako obraz wewnętrznego konfliktu guwernantki – przede wszystkim związanego z jej stłumioną seksualnością. Pulsujące pod wiktoriańskim kostiumem libido sugerują obrazy otaczającej Bly bujnej, a jednocześnie gnijącej roślinności oraz wszechobecnych insektów. Niektórzy krytycy pisali, że dwór z Essex przypomina którąś z naznaczonych mroczną tajemnicą plantacji z amerykańskiego południa rodem z powieści Faulknera – nie było to nieuprawnione skojarzenie, biorąc pod uwagę, że jednym z autorów scenariusza był doskonale zaznajomiony z tradycją południowego gotyku Truman Capote.

Z ducha rewolucji obyczajowej lat 60. rodzi się też tyleż nieudany, co ciekawy film „Koszmary" (1971) – *prequel* do powieści Jamesa. Jessel i Quint (w tej roli Marlon Brando) są w nim przedstawieni jako szlachetni buntownicy, próbujący szukać wolnej miłości w wiktoriańskim społeczeństwie. Prawdziwym źródłem zła w filmie jest para dzieci – połączonych *quasi*-kazirodczą więzią, a być może pozostających w kontakcie z siłami nieczystymi – to one przynoszą zgubę Quintowi i Jessel. Dwór w Bly jest w „Koszmarach" przede wszystkim symbolem klasowego przywileju i związanej z nim okrutnej władzy, w każdym kolejnym pokoleniu pożerającej społecznie słabszych. Ten sam trop wraca w takich inspirowanych motywami z Jamesa filmach jak „Zemsta po latach" (1980). Po śmierci żony i córki znany kompozytor wynajmuje stary dom. Jak się okazuje, nawiedzony. Duch usiłuje zwrócić uwagę na zbrodnię, którą popełniono przed laty, by posiadająca dom szacowna rodzina mogła bez problemu zreprodukować swój ekonomiczny status i klasowy przywilej w następnym pokoleniu.

Jakie konteksty przynosi najnowsza adaptacja? Jej twórca Mike Flanagan – który wcześniej dla Netfliksa przygotował adaptację „Nawiedzonego domu na wzgórzu" – przenosi historię w lata 80. XX w. i rozciąga historię z opowiadania Jamesa do prawie dziewięciu godzin. Każda postać dostaje rozbudowaną opowieść własnej przeszłości, główny tok narracji nieustannie przerywają retrospekcje. Materiału do nich czasem dostarczają inne opowiadania grozy Jamesa.

Serial oglądamy, gdy świat ciągle pustoszy pandemia, a kolejne kraje ogłaszają jesienny *lockdown*. Ten kontekst narzuca odbiór adaptacji: tak jak my, jej bohaterowie zamknięci są w odciętej od świata przestrzeni, zostawieni sami ze swoimi lękami, traumami, nieprzepracowanym bólem, wspomnieniami, o których chcieliby zapomnieć. Jak we wszystkich adaptacjach Jamesa, widma są echem nieprzepracowanej przeszłości, pojawia się także wątek klasowy: Quint jest nie lokajem, ale współpracownikiem właściciela Bly, wziętego londyńskiego prawnika. Pochodzi z klasy robotniczej, mówi z ciężkim proletariackim akcentem i gdy poznajemy go w retrospekcji, zaczyna sobie zdawać sprawę, że klasa wyższa, do której aspiruje, nigdy nie uzna go za członka swojego klubu.

Serial Netfliksa jest przy tym najbardziej optymistyczną adaptacją „W kleszczach lęku". Ciężar przeszłości, uosabiany przez duchy daje się ostatecznie przezwyciężyć miłością – to tyleż horror, co melodramat z (prawie) szczęśliwym zakończeniem. Ten optymizm idzie wbrew tonowi prozy Jamesa, ale broni się na ekranie – zwłaszcza dziś, gdy potrzebujemy pocieszających narracji. Jakkolwiek by oceniać projekt Flanagana, potwierdza on, że zbudowany ponad 120 lat temu przez Jamesa dwór w Bly nie przestaje służyć jako ekran, na który kolejne pokolenia czytelników, uczonych i artystów projektują swoje lęki, nadzieje i obsesje. ©

Widzialna moc literatury

EDYTA DUFAJ

Gala Nagrody Conrada: Wykład Mistrzowski Elif Shafak

GRZEGORZ JANKOWICZ

Każda z tegorocznych dyskusji opowiadała o różnych rodzajach widzialności i niewidzialności, diagnozowała ich przyczyny i opisywała konsekwencje. A przede wszystkim była wezwaniem do przejścia na stronę nieobojętnych.

W Wykładzie Mistrzowskim, który zaprezentowaliśmy podczas gali zamykającej tegoroczną edycję Festiwalu Conrada, Elif Shafak powiedziała, że wydarzenia kulturalne, podobnie jak sztuka i literatura, nie są luksusem. Potrzebujemy ich na co dzień, by kształtować nasze kompetencje emocjonalne, by organizować nasze życie prywatne i publiczne, by lepiej układać nasze relacje z innymi i ze światem.

Są ważne zawsze, zwłaszcza w niespokojnych czasach, w chwilach kryzysu. Może nam się wówczas wydawać, że kultura nie należy do potrzeb elementarnych, dlatego możemy ją pominąć w bieżących działaniach. Ale to iluzja. Nie zdołamy skutecznie współdziałać i sprawnie rozwiązywać problemów, jeśli nie zabezpieczymy stałego dostępu do kultury.

Właśnie dlatego – mimo pandemii – postanowiliśmy zorganizować tegoroczną edycję Festiwalu Conrada. Po pierwsze chcieliśmy utrzymać kontakt z naszą publicznością; ten kontakt – nawet jeśli niepełny – jest nam wszystkim potrzebny. Po drugie uznaliśmy, że zaproponowane przez nas tematy są ważne. Pandemia to jedno, problemy zaś, które nas na co dzień dotyczą i dotykają, problemy, o których rozmawiamy na Festiwalu za pomocą literatury, to drugie. Musimy o tych problemach dyskutować nie tylko po to, by je właściwie zrozumieć i przezwyciężyć, ale także po to, by przetrwać pandemię oraz to, co przyjdzie po niej. Wreszcie po trzecie chcieliśmy się dowiedzieć, w jaki sposób w tym trudnym czasie funkcjonują zaproszeni przez nas goście, pisarki i pisarze z różnych zakątków globu. Możliwość umieszczenia swoich lęków, wątpliwości i intuicji na szerszym tle jest warunkiem lepszego zrozumienia rzeczywistości. Tylko dzięki takiej konfrontacji nasze oceny zdarzeń, zjawisk i procesów mogą zostać zweryfikowane.

Od samego początku było dla nas jasne, że 12. edycja Festiwalu Conrada będzie miała zdalny charakter. Zależało nam – jak zawsze – na bezpieczeństwie gości i publiczności. Spodziewając się jesiennego wzrostu zakażeń i wiedząc, że ściągnięcie do Krakowa ludzi zamieszkujących różne kraje, w których panują rozmaite obostrzenia, będzie niemożliwe, postanowiliśmy wszystkie wydarzenia z programu głównego i większość spotkań z programu towarzyszącego zaprezentować w internecie, ale tak, by komfort oglądających był jak największy. Dlatego przez ostatnie miesiące rejestrowaliśmy rozmowy z zaproszonymi, a następnie przygotowaliśmy je do emisji, dbając przy tym o zastępczą interakcję z publicznością (zachęcaliśmy do przesyłania nam pytań, które trafiły następnie do moderatorek i moderatorów).

Długie obcowanie z kulturą w przestrzeni internetowej może być nużące, zwłaszcza wtedy, gdy nie ma alternatywy. Potrzebne są innowacyjne rozwiązania. By urozmaicić program, stworzyliśmy m.in. cykl siedmiu filmów dokumentalnych, w których zaprezentowaliśmy światy literackie wykreowane przez polskie autorki i polskich autorów. Zależało nam na przekroczeniu granicy mię-

Goście Festiwalu Conrada 2020. W pierwszym rzędzie od góry: Bianca Bellová, Zyta Rudzka, Chantal Mouffe, Wiktor Jerofiejew; poniżej: EtgarKeret, Maria Stiepanowa, Roy Jacobsen, Sigrid Nunez.

dzy rzeczywistością a opowieścią, na wejściu w fikcyjną przestrzeń literatury (pojedynczej powieści albo całej twórczości). Gdy granice naszych domostw stają się z powodu pandemii granicami naszych światów, takie transgresje mogą być doświadczeniem kojącym i inspirującym, pozwalają na przynajmniej wyobrażoną podróż w inne miejsca.

Hasło tegorocznej edycji – „Widzialne i niewidzialne" – można rozumieć na wiele sposobów. Narzędziem, które raz umożliwia nam widzenie, innym razem zaś czyni je niemożliwym, jest – jak łatwo się domyślić – literatura. Nie tylko ona, ale ona także, a nawet przede wszystkim, determinuje nasz sposób postrzegania świata, jak również zamieszkujących go istnień oraz wypełniających go obiektów. To dzieła literackie – a nie tylko wizualne – przybliżają nam lub oddalają od nas ludzi i rzeczy.

Intuicyjnie uznajemy widzialność za stan pozytywny. Gdy władza spycha na margines jednostki lub całe wspólnoty, gdy prawda o zdarzeniach jest ukrywana, gdy z jakiegoś powodu tracimy ogląd rzeczywistości, wtedy domagamy się widzialności, chcemy widzieć, by rozumieć i uczestniczyć w zdarzeniach dla nas ważnych. Literatura upomina się o tych, którzy wypadli z ram wyznaczających granice widzialności, pośredniczy między nami a światem, zrywając z tego ostatniego zasłonę i umożliwiając życie i działanie tam, gdzie wcześniej było ono zakazane lub utrudnione. Ale niewidzialność również może być przydatna, np. wtedy, gdy literatura tworzy bufor oddzielający nas od źródła traumy, którą przepracowaliśmy. Powrót do takiego źródła, kolejna konfrontacja z tym, co bolesne, może mieć destrukcyjny wpływ na jednostkę lub grupę społeczną. W takiej sytuacji zasłona jest niezbędna.

Podczas każdej z rozmów i każdego ze spotkań tytułowe kategorie nabierały innego znaczenia. Nie sposób opowiedzieć o tym w krótkim podsumowaniu. Zresztą nie miałoby to sensu, skoro niemal wszystkie przygotowane przez nas wydarzenia festiwalowe wciąż są dostępne w internecie (jeśli ktoś nie zdążył ich obejrzeć lub chciałby zagrać sobie to wszystko jeszcze raz, może je znaleźć na FB Conrada oraz na platformie PLAY KRAKOW). Ograniczę się do przywołania kilku myśli, które wydają mi się najważniejsze, zwłaszcza w kontekście tego, co aktualnie dzieje się w Polsce.

Opowiadając o życiu na styku różnych światów, kultur i języków, w miejscu, w którym nic nie jest oczywiste, w którym trzeba nieustannie mierzyć się z nowymi wyzwaniami politycznymi, Elif Shafak powiedziała, że należy zadbać o to, by upodmiotowić i społecznie zaktywizować tych, którym do tej pory podmiotowości odmawiano, których tłamszono, którym zamykano usta i których wprzęgano w machinę ujarzmienia. Naszą zdecydowaną krytykę – powiedziała Shafak – powinniśmy skierować pod adresem cynicznej władzy, która wykorzystuje swe narzędzia, by wyzyskiwać bezsilnych. Oni muszą być widzialni, ich należy otoczyć opieką.

To jednak nie wszystko. Trudno powstrzymać odruchowy sprzeciw wobec zwolenników opresyjnej władzy, zwłaszcza wtedy, gdy poziom rozczarowania i gniewu osiąga skrajny punkt, ale – tłumaczyła dalej turecka pisarka – przynajmniej niektórzy spośród owych zwolenników to również ludzie bezradni. By osiągnąć pożądaną zmianę, trzeba całkowicie rozbroić i zepchnąć w sferę niewidzialności złą władzę, a zarazem przebudzić świadomość jej zagubionych zwolenników, zachowując integralność swojej wizji lepszego – bardziej sprawiedliwego – świata.

Napisałem w jednym z magazynów conradowskich, w których prezentujemy naszych gości, że każda z przygotowanych przez nas w tym roku dyskusji będzie opowiadać o różnych rodzajach widzialności i niewidzialności, będzie próbą diagnozy ich przyczyn, próbą opisu ich konsekwencji, a przede wszystkim będzie wezwaniem do przejścia na stronę nieobojętnych. 12. edycja Festiwalu Conrada skierowana była do nieobojętnych, które i którzy chcą walczyć z opresją.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ
Dyrektor Programowy Festiwalu Conrada

ORGANIZACJA TAK DUŻEGO PRZEDSIĘWZIĘCIA, jak Festiwal Conrada, zwłaszcza w czasie pandemii, nie byłaby możliwa bez współpracy wielu osób i instytucji. Podziękowania należą się wszystkim naszym gościom, całemu zespołowi festiwalowemu, moderatorkom i moderatorom, tłumaczkom i tłumaczom, osobom odpowiedzialnym za realizację nagrań i ich emisję. Dziękujemy wspierającym nas instytucjom – współorganizatorom poszczególnych wydarzeń z programu głównego i pasm towarzyszących. Dziękujemy partnerom strategicznym, w szczególności Allegro, dzięki któremu możliwa była m.in. licytacja portretu Josepha Conrada autorstwa Albina Talika. Wreszcie dziękujemy władzom Krakowa za pomoc w rozwoju największego polskiego festiwalu literackiego.

JAN

Klata:
Jesień średniowiecza

Szanowni Państwo! Siedzę sobie tutaj, za wysokim stołem, na Nowogrodzkiej, w siedzibie wielką literą Partii. Za plecami mam spalone mosty. Ustrój robię nowogrodzki. Ten ustrój jest całkowicie zgodny z Konstytucją, innego ustroju być nie mogło. Tymczasem na ulicy młodzież, nieletnia, przeszkolone dzieci, wulgarnie skandują techno, tłumnie a wulgarnie podskakują mi, z inspiracji obcych sił, i się cieszą. A mamy przecież ciężki stan, epidemii, covidu, stan, w którym zakazane demonstracje będą kosztowały życie wielu ludzi.

Ale jest też inny aspekt, a właściwie ten sam. Dokonywane są ataki na kościoły, ataki bezprecedensowe, w historii Polski niebywałe, ataki na depozyt moralny dzierżony przez Kościół, na jedyny system moralny *ever*, poza którym jeno nihilizm. Nihilizm niebywałej wręcz wulgarności, wyrażany demonstracyjnie przez dzieci na ulicy, powoduje, że szkodliwość tego aspektu przedsięwzięcia jest szczególnie niewybaczalnie wielka. Trzeba się temu – jeszcze raz powtarzam – przeciwstawić. Obywatele! Na ulice! Zróbcie im jesień średniowiecza!

Zwracam się więc do moich młodzieżówek i młodzieżaków, z partii na trzy litery, żeby bronili, się skupiali publicznie, i bronili, tego co najświętsze, czyli bytu mojej Partii. Partii, która jest przedmiotem naszej dumy, którą mamy w naszych sercach i naszych – waszych – pięściach, bo ja się bić nie będę, ale chętnie popatrzę zza kordonu na jesień średniowiecza. Nie będzie techno pluć nam w twarz ni dzieci nam germanić! Brońcie, brońcie Partii i kościołów! Na ulice!

Musimy powiedzieć „nie!", powiedzieć „nie!!!" temu wszystkiemu, co może nas zniszczyć. Wszystko teraz od was zależy, od aparatu. Aparacie, ratuj, jeszcze raz to powtarzam, aparacie! Aparacie, aparacie, aparacie. *This is Sparta!* Albowiem historia narodu polskiego kończy się na mnie, na mojej partii, na moim kazaniu. ©

Lektor:
Pusta łąka

▪ *Krzysztof Bielawski*
ZAGŁADA CMENTARZY ŻYDOWSKICH
Biblioteka „Więzi", Warszawa 2020, ss. 280

Ot, szlifierka, najwyraźniej domowej roboty, ale dlaczego na boku kamiennej tarczy wycięto hebrajskie litery? Bo to – jak czytamy – nagrobek Szpryncy córki Szmuela z cmentarza w Broku, przerobiony na tarczę szlifierską. A zdjęcie wykonano w roku 2010... Nie wiedziałem, że był to u nas częsty sposób spożytkowania żydowskich nagrobków. „Macewy po obróbce – wycięciu z płyty koła, wybiciu w jego centralnej części kwadratowego otworu i zamontowaniu na osi z korbą – wykorzystywane były jako tarcze szlifierskie, zwane taczalnikami, ostrzakami, toczydłami, toczakami lub bruskami. (...) W latach 40. i 50. »toczaki« z macew można było kupić na jarmarkach" – pisze Krzysztof Bielawski. I podaje listę ponad trzydziestu miejscowości, w których takie tarcze jeszcze niedawno odkryto. Zapewne dlatego pewna mieszkanka Kieleckiego w rozmowie z dziennikarzem w 2015 r. twierdziła, że Żydzi nie mieli pomników, tylko „takie »kółka« z napisami". Nie wiedziałem też o wielu innych faktach, które zebrał Bielawski. „Jest to obraz całkowicie nieznany, a zarazem przytłaczający swoją skalą. Od początku osadnictwa żydowskiego na terenach dzisiejszej Polski powstało około 1200 cmentarzy żydowskich – zniszczeń nie uniknął bodaj żaden" – komentuje Krzysztof Persak. Oczywiście najpierw nekropolie żydowskie systematycznie niszczył okupant niemiecki, czemu autor poświęca osobny rozdział, opisując choćby historię obozu w Płaszowie, założonego na terenie dwóch cmentarzy. Przypomina jednak o udziale miejscowych: „w Krakowie kamieniarze Maśniccy doradzali Niemcom przy sprzedaży pomników nagrobnych z cmentarza przy Miodowej", w Klimontowie w 1943 r. rozkopano zbiorową mogiłę zamordowanych rok wcześniej Żydów, szukając złota... Najwięcej zaś miejsca poświęca temu, co działo się po 1945 r.: działaniom „zwykłych ludzi", jak owi handlarze „taczalnikami", ale też władz centralnych i lokalnych – biernych, a po Marcu '68 gorliwie przykładających się do wymazywania pamięci. W Szydłowie w 1946 r. znajdowało się 1141 zaniedbanych grobów – dziś jest pusta łąka. Można przytaczać dziesiątki opowieści o zabudowywaniu cmentarzy bez uprzedniej ekshumacji, cytować absurdalne uzasadnienia wniosków o ich likwidację i relacje świadków – zresztą sami przeczytajcie. Zwłaszcza dziś, kiedy osobnik odpowiedzialny za edukację w naszym kraju zapowiada definitywny koniec z „pedagogiką wstydu". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Ferment w praktyce

Siedemdziesiąt pięć. Tyle procent uczestników sondażu telefonicznego, który przeprowadziłem w trakcie kolacji, miało zasadnicze wątpliwości, czy Michał Boni wyraża bunt pokoleniowy w radzie roszczącej sobie prawo do reprezentowania protestów, tak widowiskowo dynamizujących nam ulice od ponad tygodnia. Problem z wiarygodnością przełoży się na skuteczność owego ciała, którego lico przyozdabiają również inne klejnoty dwudziestowiecznego aktywizmu.

A na tę kolację miałem kawałki białej dyni odmiany *mashed potato* (podobna do makaronowej, ale lepsza), upieczone w sosiku, który został mi na dnie brytfanki po ostrych kiełbaskach typu merguez. Z ryżem ugotowanym w wywarze z włoszczyzny z dodatkiem łupin kopru włoskiego – co nieodmiennie polecam jako podkrętkę smakową. I ten jadłospis to wiarygodna dana z owego wieczora, w przeciwieństwie do wyników ankiety. Wiadomo, że chcąc poprawić sobie trawienie, na ogół dzwonimy do bliźnich, z którymi się zgadzamy. Spory polityczne raczej należy przyjmować na czczo, gdyż każdy argument niewłaściwie zrozumiany zagraża twojemu życiu lub zdrowiu.

Ale mam pod ręką zdecydowanie rzetelniejsze badania własne: siedemdziesiąt pięć procent polskich gospodarstw domowych wedle moich wieloletnich obserwacji prowadzi praktyki fermentacyjne. Czyli, mówiąc po ludzku, kisi. Przede wszystkim – a może nawet wyłącznie – ogórki, bo to jest dla Polaków kiszonka *par excellence*, może jeszcze obok kapusty – tę jednak trudniej fermentować w mieszkaniu w bloku, proces bowiem udaje się tylko przy naprawdę dużej masie i generuje wyziewy nieprzysparzające sympatii u sąsiadów.

Nie tylko zresztą same ogórki i kapusta, ale i zakwaszona solanka jest czymś oczywistym nad Wisłą jako środek na regulację trawienia, odporność oraz kaca. Jednym ze skutków ubocznych pakowania wszystkiego w folię stało się to, że powoli przestaliśmy chodzić na targ po kapustę ze słoikiem, do którego sprzedawca wlewał odciśnięty emaliowanym kubkiem sok. Teraz powraca on jako lokalny eliksir zdrowia i organicznej harmonii – i słusznie. Szkoda, że przeważnie w osobnych butelkach ze stosownym ideolo na nalepce, za co trzeba słono, *nomen omen*, płacić.

W każdym razie ten ogórkowo-kapuściany kontekst, nasze peryferyjne zapóźnienie, każe mi nałożyć filtr dystansu, ilekroć czytam uniesienia człowieka, który stał się nieco egzaltowaną twarzą „odrodzenia fermentacji" na Zachodzie. Sandor Katz wydał w USA kolejną książkę, tym razem mniej poradnikową – w poprzednich, dostępnych u nas niestety w kiepskich przekładach, opisał już chyba wszystko, co się na tej planecie da przerobić. Tytuł „Fermentacja jako metafora" zapowiada, że będzie filozoficznie, kulturoznawczo, no i politycznie. Podczytuję ją w tych dniach, kiedy banalna klisza językowa fermentu narzuca się sama, jako środek oswojenia amorficznego buntu czerwonej błyskawicy. Raczej nie rozumiemy, co i jak w tej społecznej kadzi ostatnio zaszło, co uległo przetrawieniu i jaki jest profil ideowy mikstury, ale widzimy, jak teraz buzuje i kręci w głowach.

Niezależnie od swoich refleksji okołopolitycznych, trudno przekładalnych na polskie realia, Katz zwraca uwagę na drugi, oczywisty także i tutaj, kontekst. Od marca tego roku nie tylko dłonie mamy wyżarte spirytusem czy innym środkiem. Co gorliwsi z nas czyszczą wszystko, co wpadnie do kuchni. Racja za tym stojąca jest oczywista, w walce z zarazą musimy poświęcić mikroorganizmy zamieszkujące w pięknej symbiozie naszą skórę i otoczenie. Ale na głębszym poziomie, zauważa Katz, wdrukowuje nam się równanie „sterylne = dobre, bezpieczne". Dla orędowników samoistnych procesów biologicznych w kuchni to oczywiście trudny czas, kiedy nie wypada głośno narzekać na dyktaturę czyściochów. Żeby tylko nie przedobrzyć. Bo czym się kończy mikrobiologiczna pustynia, wie dobrze moje pokolenie, wykarmione wyparzoną butelką i szpikowane antybiotykiem przy każdym katarku.

Skoro jednak ludzkość już parę tysięcy lat temu w Azji Środkowej wymyśliła kiszenie jako sposób na zaproszenie niektórych mikroorganizmów do współpracy przy ochronie zapasów przed innymi, niszczycielskimi, tak i teraz, wierzę, fermentacyjne mikrożycie przetrwa. Będziemy jeszcze, jak nasi dziadowie, sączyć kapuściany sok i fermentować po nocach przeciw każdej kolejnej władzy. ©℗

Ogromnym atutem konserwacji żywności przez fermentację jest to, że na ogół daje się to robić w domu, bez specjalnych środków i ustrojstw. Ot, woda, sól, przyprawy, naczynia. O tym, jak i co kisić, opowiada wiele doświadczonych osób i moja wiedza na nic się wam nie przyda. Ale ostatnio zacząłem regularnie bawić się w inną kuchenną samoróbkę: robię własny serek mascarpone. Jedyny specjalny „sprzęt" to kawał zwartego płótna, muślinu lub chusta serowarska. Bierzemy pół litra śmietanki i podgrzewamy pomalutku do 85 stopni (jeśli nie mamy termometru, wstawiamy rondelek do większego i grzejemy w kąpieli wodnej – aż do momentu tuż przed jej zawrzeniem). Dolewamy stopniowo ok. 10 ml soku z cytryny, mieszamy delikatnie, aż zacznie się tworzyć ziarnisty skrzep. Zdejmujemy z ognia, po paru minutach przelewamy na sito wyłożone płótnem i ustawione na jakimś naczyniu. Czekamy, aż zawartość wystygnie, zakrywamy bez dociskania, wstawiamy do lodówki na 12 godzin. Serek nie wyjdzie aż tak puszysty, jak ten sklepowy, przed zastosowaniem warto go trochę potrzymać poza lodówką, bo mocno tężeje.

ADOBE STOCK

REKLAMA

MISTRZ REPORTAŻU

O ŚWIECIE, KTÓRY ZNÓW PŁONIE

ZAMÓW Z RABATEM -35%!

Wojciech Jagielski opowiada o świecie, który zmienia się na naszych oczach. Punkty zapalne XXI wieku, bunty i światowe skandale składają się na barwny obraz najnowszej rzeczywistości.

Strona świata to zbiór najaktualniejszych i najciekawszych tekstów Wojciecha Jagielskiego z ostatnich lat publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego". Zaktualizowane, ukazują świat, który znów stanął w płomieniach.

Barwna i wciągająca opowieść o Bliskim Wschodzie, Afryce, Indiach i krajach Kaukazu; opowieść o miejscowych władcach i przewrotach wywierających wpływ na cały świat; opowieść o skandalach i konfliktach, o których dopiero będzie głośno...
Mistrz reportażu o świecie, który znów płonie.
Premiera: 30 września 2020 r.

KOD RABATOWY W KSIĘGARNI
stronaswiata35

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

znak
TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
TP 45/2020

SUSZA W POLSCE

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Radziłów, rzeka Przytulanka, wrzesień 2015 r.

Jak zatrzymać suszę

JUSTYNA ZWOLIŃSKA

Naukowcy i praktycy wspólnym głosem o wodzie.

Susza w Polsce jest faktem. Ekspertyza „Woda w rolnictwie" to wiedza potrzebna do działania. Pozostaje nadzieja, że sięgną po nią politycy oraz decydenci i zmienią sposób gospodarowania wodą, zanim prawdą stanie się polskie przysłowie, że „wtedy się wodę szanuje, kiedy jej w studni brakuje".

Koalicja Żywa Ziemia zaprosiła do współpracy naukowców, dzięki którym powstała omawiana tu ekspertyza. Tematyka opracowania obejmuje pełen zakres zagadnień związanych z rolą wody w rolnictwie, poczynając od kwestii gospodarowania nią w Polsce aż po szczegółowe praktyki chroniące jej zasoby w gospodarstwach rolnych. Opracowanie wskazuje największe zagrożenia dla wód w Polsce, krytycznie odnosząc się do braku ustanowienia ochrony zasobów wodnych dla rolnictwa jako głównego priorytetu polityki. Zgodnie z przedstawioną diagnozą krajowe rolnictwo podporządkowano kopalniom odkrywkowym, nadmiernej regulacji rzek oraz rozwojowi intensywnej produkcji zwierzęcej i wielkoobszarowym uprawom monokulturowym. Tym samym, pomimo utrzymującej się od kilku lat suszy rolniczej, w ochronie polskich wód nie uwzględnia się potrzeb rolników.

POLITYCY – ZMIANA PRAWA. Ekspertyza zawiera podpowiedzi, rozwiązania i rekomendacje skierowane do polityków i administracji publicznej zarządzającej wodą w Polsce. Odnoszą się one zarówno do konieczności znowelizowania przepisów ustawy Prawo wodne, jak i zmian dotychczasowej technokratycznej praktyki gospodarowania wodami. Zdaniem autorów ekspertyzy, konieczna jest modyfikacja sposobu finansowania ochrony wód w rolnictwie przy wykorzystaniu środków unijnych i krajowych.

ROLNICY – DOBRE PRAKTYKI. Z myślą o rolnikach w ekspertyzie zgromadzone zostały informacje i zalecenia dotyczące praktyk poprawy żyzności gleb i podnoszenia ich zdolności retencjonowania wody. Opisano techniki nawadniania i nawożenia oraz metody i systemy produkcji rolnej, które przyczyniają się do ochrony zasobów wodnych w rolnictwie. Poparte są one przykładami płynącymi od rolników i hodowców, którzy – nie oglądając się na działania władz – wybrali prowadzenie gospodarstw rolnych w sposób gwarantujący ochronę wody.

CHROŃMY WODĘ. Ekspertyza powstała także z nadzieją, że sięgnie do niej każdy mieszkaniec Polski. Dowiemy się z niej, jak i w jakim zakresie rolnictwo korzysta z wody. W jaki sposób nasze codzienne wybory konsumenckie wpływają na stan wód potrzebnych do zachowania bezpieczeństwa żywnościowego kraju, zależnego przede wszystkim od jakości i ilości wody dostępnej dla rolnictwa. I dlaczego wspólne działanie na rzecz ochrony wody w rolnictwie korzystnie wpłynie na możliwość realizowania wszelkich innych aktywności człowieka związanych z wodą. Z tego powodu ekspertyza jest również apelem o solidarne podejście wszystkich obywateli Polski do ochrony wody dla rolnictwa, w trosce o dzisiejsze i przyszłe pokolenia. ©

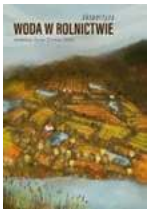

Ekspertyzę można pobrać od 16 listopada ze strony Koalicji (pod tym adresem dostępne jest już też streszczenie): https://koalicjazywaziemia.pl/ekspertyza-woda-w-rolnictwie/

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 45/2020

REDAKCJA: Piotr Siergiej
OPRAC. GRAF.: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
NA OKŁADCE: Niski stan wody w zbiorniku retencyjnym Solina. Okolice Polańczyka, październik 2015 r. / GRAŻYNA MAKARA

PARTNERZY DODATKU

WWF

HEINRICH BÖLL STIFTUNG WARSZAWA Polska

Fondation de France

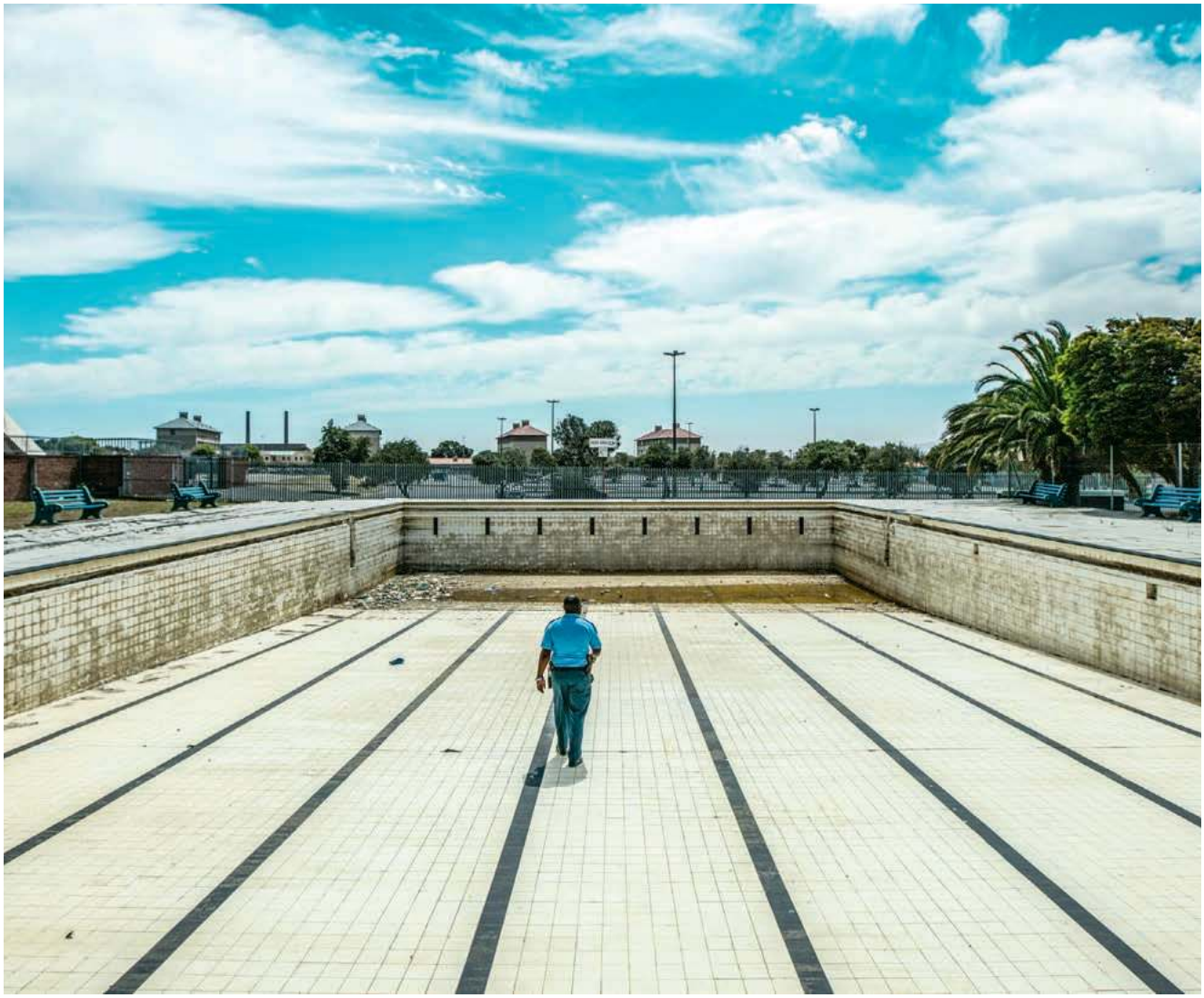

MORGANA WINGARD / GETTY IMAGES

Opróżniony z powodu ograniczeń w dostępie do wody publiczny basen w Kapsztadzie. Republika Południowej Afryki, marzec 2018 r.

Kryzys w trzech obrazach

PIOTR SIERGIEJ

Susze, które doświadczają Polskę, Republikę Południowej Afryki i Syrię, różnią się wyłącznie stopniem nasilenia. W każdym zakątku świata brak wody wygląda podobnie i niesie ze sobą katastrofalne skutki.

Przez około 10 tysięcy lat nasza cywilizacja rozwijała się w wyjątkowo komfortowej niszy klimatycznej. Znośne średnie temperatury i przewidywalne opady zapewniły nam warunki rozwoju, którego wszyscy jesteśmy beneficjentami. Zmiany klimatu sprawiają, że ta strefa komfortu ulega dramatycznemu zmniejszeniu.

Syria – załamanie upraw

W latach 2007-2010 w Syrii ma miejsce susza o skali niespotykanej w historii pomiarów. W 2008 r. w północno-wschodnim regionie Syrii zapewniającym dwie trzecie zbiorów zbóż produkcja spada sześciokrotnie. Syria, niegdyś państwo „Żyznego Półksiężyca", zmuszona jest do importu pszenicy. Ceny zbóż się podwajają. Załamanie się zbiorów, utrata stad zwierząt hodowlanych wywołują masową migrację. Na peryferiach Aleppo, Damaszku i innych miast zamieszkuje półtora miliona rolników pozbawionych możliwości zarobku.

Okresowe susze w tym rejonie świata to normalne zjawisko, ale tym razem pojawiają się nowe czynniki. Trzy z czterech ↦

największych susz miały miejsce w ostatnich 25 latach. Obecna wydarza się w momencie, w którym Syria nie podniosła się jeszcze po niedoborach wody z późnych lat 90.

Klimatolodzy nie mają wątpliwości – złe zarządzanie, niezrównoważona gospodarka, spotęgowane przez zmiany klimatyczne, prowadzą do suszy i w efekcie do wieloletniego konfliktu zbrojnego. Od początku wojny około czterech milionów ludzi zostaje zmuszonych do opuszczenia swoich domów. Liczba ofiar sięga 400 tysięcy osób.

Kapsztad – racjonowanie wody

W marcu 2018 r. Kapsztad przygotowuje się na kataklizm. Media odliczają dni do „dnia zero", w którym nastąpi wyłączenie dostaw wody dla prawie czterech milionów mieszkańców. Była burmistrz miasta Helen Zille zastanawia się na łamach gazet, jak przygotować się na nieuchronną anarchię. Obowiązuje zakaz napełniania basenów, podlewania ogrodów i mycia samochodów. Zużycie wody ograniczono do 50 litrów na mieszkańca dziennie. Miasto organizuje 200 punktów dystrybucji wody dla mieszkańców – po 25 litrów dziennie na osobę.

Przyczyną tego stanu jest wyczerpanie zasobów zbiorników zaopatrujących Kapsztad w wodę. Trzyletnia susza – największa od ponad stu lat – sprawia, że poziom wody w rezerwuarach opada o 75 proc. W wyniku zderzenia niekontrolowanego rozwoju, przeludnienia oraz zmian klimatu Kapsztad staje w obliczu racjonowania wody.

Eksperci o wodzie i klimacie

Straty wody poprzez spływ powierzchniowy są czternastokrotnie mniejsze w krajobrazie zadrzewionym niż na obszarze całkowicie pozbawionym lasu.

DR ZDZISŁAW BERNACKI (IŚRiL PAN)

W ostatnich 50 latach okres wegetacyjny wydłużył się o 20-30 dni. Do połowy obecnego wieku wydłuży się o kolejne 25-30 dni. Umożliwi to uprawy ciepłolubnych roślin i może zwiększyć liczbę cyklów produkcyjnych w ciągu roku. Nie zmniejsza to jednak ryzyka wystąpienia późnowiosennych przymrozków, zwłaszcza że wegetacja rozpoczyna się wcześniej. W 2007 r., gdy przebieg pogody był podobny do opisanego powyżej, ucierpiały wszystkie uprawy sadownicze, a średnie plony jabłek były trzykrotnie niższe. Zmiany klimatu sprawią również, że w Polsce przestaną być uprawiane ziemniaki (będzie dla nich za ciepło), zagrożone staną się także uprawy ozime.

DR HAB. ZBIGNIEW KARACZUN, ekspert Koalicji Klimatycznej

Polska – susza to nowa norma

Od 1951 do 1981 r. mieliśmy sześć susz – średnio co pięć lat; od 1982 do 2011 r. susz było 18 – co dwa lata. Teraz, poczynając od 2013 r., mamy w Polsce suszę każdego roku. W ciągu ostatnich 70 lat ze zjawiska incydentalnego stają się one w Polsce nową normą. Według IMiGW w 2019 r. aż jedna trzecia kraju doświadczyła suszy. Zmiany sięgają dalej. W ostatnim stuleciu średnia temperatura w Polsce wzrosła o 1,5 st. C. Dla rolnictwa to zmiany fundamentalne – maleje wilgotność, rośnie temperatura, jest coraz bardziej sucho. Od lat systematycznie spada wilgotność gleby. Przekłada się to nie tylko na poziom rzek, ale przede wszystkim na uprawy roślin i hodowlę.

Już dziś wiele rejonów świata styka się z okresowymi niedoborami wody. Schemat jest podobny – rosnące zapotrzebowanie na nią zderza się z efektami zmian klimatu, którymi są bezprecedensowe okresy suszy przeplatane gwałtownymi ulewami. Wahadło klimatu napędzane rosnącymi temperaturami wchodzi w stany ekstremalnego odchylenia.

Zmiany klimatu wpływają na losy mieszkańców naszej planety. Jak szacuje prof. Marten Scheffer z Uniwersytetu Wageningen, jeśli nie uda się zmniejszyć emisji dwutlenku węgla, to jeszcze w tym stuleciu około jednej trzeciej populacji świata żyć będzie w warunkach zbliżonych do spotykanych obecnie na Saharze. W niekorzystnych scenariuszach klimatologów w nieodległej przyszłości zagrożenie suszą w Polsce stanie się takie samo jak w dzisiejszej Hiszpanii.

Nie bez przyczyny od pewnego czasu termin „zmiany klimatyczne" coraz częściej zastępowany jest „katastrofą klimatyczną".

© PIOTR SIERGIEJ

HEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA
Polska

Fundacja im. Heinricha Bölla to niemiecka fundacja zielonej polityki, która działa w ponad 60 krajach poprzez 32 biura zagraniczne na rzecz zrównoważonego rozwoju, demokracji płci i międzykulturowego porozumienia.

Przedstawicielstwo w Warszawie prowadzi projekty w obszarach Energia & Klimat, Demokracja & Prawa Człowieka, Europa & Sprawy Międzynarodowe oraz Europejska Polityka Rolna.

Celem Fundacji jest wzmacnianie demokracji i praw człowieka, zwiększanie partycypacji obywatelskiej oraz promowanie długofalowej, zrównoważonej modernizacji społeczno-ekonomicznej w oparciu o trwały i sprawiedliwy rozwój oraz czyste środowisko.

Osią łączącą wszystkie działania są wspólne europejskie wartości.

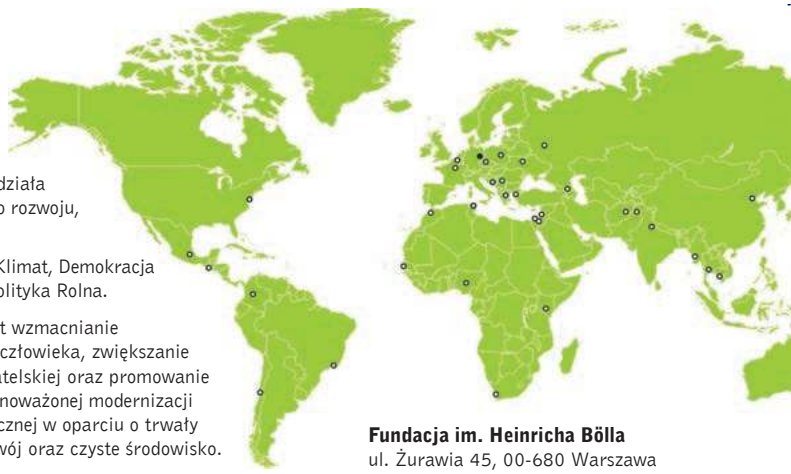

Fundacja im. Heinricha Bölla
ul. Żurawia 45, 00-680 Warszawa
T +48 22 44 01 333 W pl.boell.org
E pl-info@pl.boell.org @Boell_PL

MAREK ZAKRZEWSKI / PAP

„Requiem dla Warty i Cybiny" – rzek, które wysychają pod wpływem rekordowych susz – w wykonaniu Poznańskiej Orkiestry w ramach Malta Festival. Poznań, lipiec 2020 r.

Woda w rzece to woda stracona

ARTUR FURDYNA, EKOLOG WÓD PŁYNĄCYCH:

Musimy zmienić nasze podejście do obiegu wody – najważniejsze jest odstąpienie od ułatwiania wodzie spływania ze zlewni.

PIOTR SIERGIEJ: Mamy jesień, spore opady, a mimo to o suszy w Polsce mówimy od co najmniej siedmiu lat. Jak to jest z tą suszą?

ARTUR FURDYNA: Każdego roku w Polsce spada mniej więcej tyle samo deszczu. Problemem jest sposób, w jaki te opady się pojawiają. Zmiany klimatu sprawiają, że deszcze padają inaczej niż dawniej – długotrwałe okresy bezdeszczowe przeplatane są zjawiskami podobnymi do układów monsunowych, gdy nagle pada bardzo intensywnie. Dodatkowo mamy przejawy opadów punktowych, gdzie na małych obszarach spada bardzo duża ilość wody. Przykładem najbardziej obrazowym jest małopolski Łapanów, gdzie wiosną tego roku na niewielkim obszarze wystąpił opad ponad 1000 mm. To są ilości deszczu, które gwarantują pokrycie okolicy warstwą wody. W takim przypadku żadne próby skutecznych działań przeciwpowodziowych nie będą efektywne. Tak intensywny, krótkotrwały opad sprawia, że woda spływa szybko po powierzchni, a efekt nawodnienia gleby jest mniejszy, szczególnie na terenach monokultur rolniczych. Podobnie w miastach, uszczelnione powierzchnie to wzrost ryzyka podtopień, jednocześnie strata opadów jako uzupełnienia wód w gruncie.

Przeciętny obywatel może nie dostrzegać niedoborów wody. W końcu wszyscy mamy dostęp do czystej wody pitnej. Czy zatem powinniśmy się martwić nadchodzącą suszą?

Jak najbardziej. Należy bardzo ostrożnie podchodzić do zasobów wód podziemnych, z których czerpiemy wodę ↦

↦ pitną. Do celów spożywczych sięgamy po głębsze warstwy wodonośne.

Jeśli jednak będziemy pobierać więcej wody, niż się odnawia w warstwie wodonośnej, to możemy mieć problem.

Czy istnieje zagrożenie, że wyczerpiemy te zasoby?

Tak. Mało tego, mamy mnóstwo przykładów w Polsce, gdzie beczkowozy dowożą wodę do picia. Od pewnego czasu prawie nie korzystamy w tym celu z wód powierzchniowych. Teraz sięgamy po zasoby głębokie. Jest w nas nierozsądna cecha – wydaje nam się, że planeta jest niewyczerpana. Prawda jest zupełnie inna.

Jak możemy chronić wodę powierzchniową? Czy udrażnianie rzek, budowa wielkich zbiorników retencyjnych to dobra recepta na niedobory wody?

To przykłady leczenia objawowego, które jest mało skuteczne. Wielkie zapory to spektakularny obraz, ale bardzo fałszywy. Musimy raczej zmienić nasze podejście do obiegu wody – kluczowe jest odstąpienie od ułatwiania wodzie spływania ze zlewni. Musimy zatrzymać wodę tam, gdzie spadła. Ona powinna wsiąkać w grunt. Nie wolno tworzyć powierzchni szczelnych, które przyspieszają spływ wody, zamiast uzupełniać zasoby wody podziemnej. Zmiany klimatu już wydłużyły okres wegetacyjny o około trzydzieści dni. A jest to okres, w którym naturalne parowanie jest większe o 10 proc. Stąd, pomimo takiej samej ilości opadów, mamy niedobór albo inaczej – suszę. Dobra wiadomość jest taka, że na parowanie mamy wpływ. Możemy ograniczyć te straty metodami rolniczymi. Pomagają pasowe nasadzenia drzew pomiędzy polami, które chłodzą i chronią przed wysuszającymi wiatrami. Możliwości jest wiele.

ARCHIWUM PRYWATNE

ARTUR FURDYNA jest absolwentem Akademii Rolniczej w Szczecinie, (specjalność ichtiologia i ekologia wód). Od 20 lat zajmuje się ochroną i renaturyzacją ekosystemów rzecznych na Pomorzu Zachodnim. Działacz społeczny, współpracuje od lat m.in. z FZ „Gaja", WWF Polska i Eko-Unią.

A co z wodą, którą złapiemy w tych wielkich zbiornikach?

Zbiorniki wielkiej retencji to tworzenie iluzji. Woda z takich zbiorników, żeby pomogła rolnikowi, musi zostać przepompowana z powrotem na pole. To są potężne koszty. Takie działania uzależniają rolnika od sztucznego systemu nawadniania. Widziałem podobne rozwiązania w Australii, gdzie dodatkowo taką dostawę wody sprywatyzowano. Czy to jest dopuszczalne, żeby tworzyć sztuczny system, w którym rolnik będzie finansowo uzależniony? Może jest to zamiar zmonetyzowania zasobów wspólnych?

Prowadzone jest również oczyszczanie rowów melioracyjnych czy odmulanie. Czy to skuteczne metody?

Melioracja w obecnym wydaniu to pogarszanie sytuacji. Zlewnie rzek pocięte są tysiącami kilometrów rowów melioracyjnych, co sprawia, że woda z gleby ucieka. To nierozsądne podejście. Czasami nieuprawianie niektórych obszarów ziemi jest przejawem dbałości o wodę. Często meliorujemy obszary podmokłe, położone nisko w dolinie czy w obniżeniu terenu. Takie działania tylko pogarszają sytuację. Naszym celem powinno być utrudnianie wodzie ucieczki. Melioracja prowadzi do dalszego osuszania. To błędne koło i niezrozumienie istoty problemu.

Zamiast tego jest wola wydawania gigantycznych pieniędzy na wielkie obiekty i stwarzanie tym samym zagrożeń dla społeczeństwa. Chciałbym, by rolnik mógł dostać pieniądze za udostępnienie części gruntu dla retencji. Ale dzisiaj nie dostanie on dopłaty na renaturyzację, natomiast na studnię głębinową już tak. Za wodę w tym przypadku musi zapłacić. Państwo zaczyna się uwłaszczać na zasobie, który jest podstawowym zasobem wspólnym. To niebezpieczny kierunek.

© Rozmawiał PIOTR SIERGIEJ

Zalania po gwałtownej burzy. Centrum handlowe w Warszawie, sierpień 2020 r.

MATEUSZ MAREK / PAP

KOALICJA ŻYWA ZIEMIA jest niesformalizowaną strukturą, którą tworzy obecnie 18 organizacji i ruchów działających w obszarze rolnictwa oraz żywności. Celem Koalicji jest kształtowanie krajowej polityki rolnej i żywnościowej w kierunku sprawiedliwej społecznie, a także odpowiedzialnej wobec środowiska naturalnego produkcji, dystrybucji i konsumpcji.

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Pożar w Biebrzańskim Parku Narodowym. Wroceń, kwiecień 2020 r.

Deszcz nie ma ceny

JOANNA PERZYNA

Wiele zasobów na Ziemi wyczerpuje się bezpowrotnie. Dobrze jest móc myśleć o wodzie jak o zasobie wspólnym i odnawialnym.

Potrafimy już uprawiać rośliny, które rosną i wydają plon, choć ich korzenie nie czerpią składników odżywczych z gleby. Sprawiliśmy, że wytwarzają niezbędne kalorie, mimo że fotosynteza zachodzi w nich bez udziału słońca. Jednego nam się wciąż nie udało – hodować roślin i produkować żywność bez wody.

Powódź i susza: dwa oblicza jednej zlewni

W drugiej połowie ubiegłego wieku realizowano przede wszystkim koncepcję rolnictwa odwodnieniowego. Sieć kanałów i rowów melioracyjnych została zaprojektowana, by szybko i sprawnie odbierać wodę z terenów rolniczych i odprowadzać ją do rzek. Był to łatwy sposób zwiększenia areału upraw.

Obecnie zmagamy się z konsekwencjami takiego podejścia. Zmeliorowane grunty rolne, osuszone tereny podmokłe, wyschnięte torfowiska nie są w stanie zatrzymać wystarczającej ilości wody. Nie mając wpływu na ilość i rozkład opadów, możemy jednak decydować o tym, czy woda zostanie na terenie zlewni, czy szybko spłynie do morza. W Polsce aż 60 proc. obszaru jest użytkowane rolniczo, kolejne 30 proc. to lasy. Zdolność do zatrzymywania wody zależy jednak od charakteru upraw – tak rolnych, jak i leśnych.

Susza stała się nową normą. Ta rolnicza trwa w Polsce od kilku lat. Rośnie również zagrożenie suszą hydrologiczną. Im bardziej przekształcamy teren, tym niższy jest poziom zatrzymywania wody, a system rzeczny staje się bardziej rozregulowany. W zlewni poddanej urbanizacji, zabudowie terenów zalewowych, nadmiernej regulacji rzek czy niewłaściwej melioracji brak opadów szybko prowadzi do suszy, a ich nawet niewielki nadmiar powoduje podtopienia lub powódź.

Zostawmy deszcz tam, gdzie spadł

Wodę pobieramy wiercąc studnie głębinowe i eksploatując złoża będące podstawowym źródłem wody pitnej, których wielkość i tempo odnawiania nie są rozpoznane. Tworzymy zbiorniki retencyjne – kosztowne rozwiązania wymagające inwestowania w sieci nawodnień. A są przecież prostsze sposoby: np. odwrócenie negatywnych skutków prac utrzymaniowych – czyli odmulania, prostowania koryt i budowy wałów przeciwpowodziowych – na rzekach i w systemach melioracyjnych. To właściwe kształtowanie krajobrazu spowalnia odpływ wody i ogranicza parowanie, będąc najtrwalszą metodą ochrony wody. „Straty wody poprzez spływ powierzchniowy są czternastokrotnie mniejsze w krajobrazie zadrzewionym niż na obszarze całkowicie pozbawionym lasu" – pisze w ekspertyzie „Woda w rolnictwie" dr Zdzisław Bernacki z Instytutu Środowiska Rolniczego i Leśnego PAN.

Jednak najłatwiej i najkorzystniej z punktu widzenia rolnictwa jest zatrzymać wodę po prostu w glebie. „Zrozumienie i ochrona właściwości gleby odpowiadających za wychwytywanie i utrzymanie wody na potrzeby wzrostu i rozwoju roślin jest pierwszym krokiem w kierunku zatrzymania kryzysu ekonomicznego i środowiskowego, przed którym stoi dziś rolnictwo" – twierdzi dr Robert Borek z Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach. Gleba wpływa na skład atmosfery, filtruje i oczyszcza wodę, przetwarza i odzyskuje składniki pokarmowe. Zdrową glebę zamieszkują miliony mikroorganizmów odpowiedzialnych za większość procesów życiowych na Ziemi.

Jak wycenić, by warto było chronić?

Koncepcja usług ekosystemowych zakłada, że zdrowe ekosystemy świadczą usługi, których wartość ekonomiczną da się wymierzyć. Klasycznym przykładem jest zapylanie – owady zapylające nieodpłatnie wykonują pracę, bez której niemożliwa byłaby jedna trzecia produkcji rolnej. Ochrona wody nie jest działaniem wymagającym wysokich nakładów. Tereny wiejskie i rolnictwo mogą zachować różnorodność biologiczną czy chronić zasoby wodne Polski. W naszym interesie leży, by wesprzeć te usługi i model rolnictwa, które temu sprzyjają.

Wiemy już, że wiele zasobów na Ziemi wyczerpuje się bezpowrotnie. Dobrze jest móc myśleć o wodzie jak o zasobie wspólnym i odnawialnym. ©

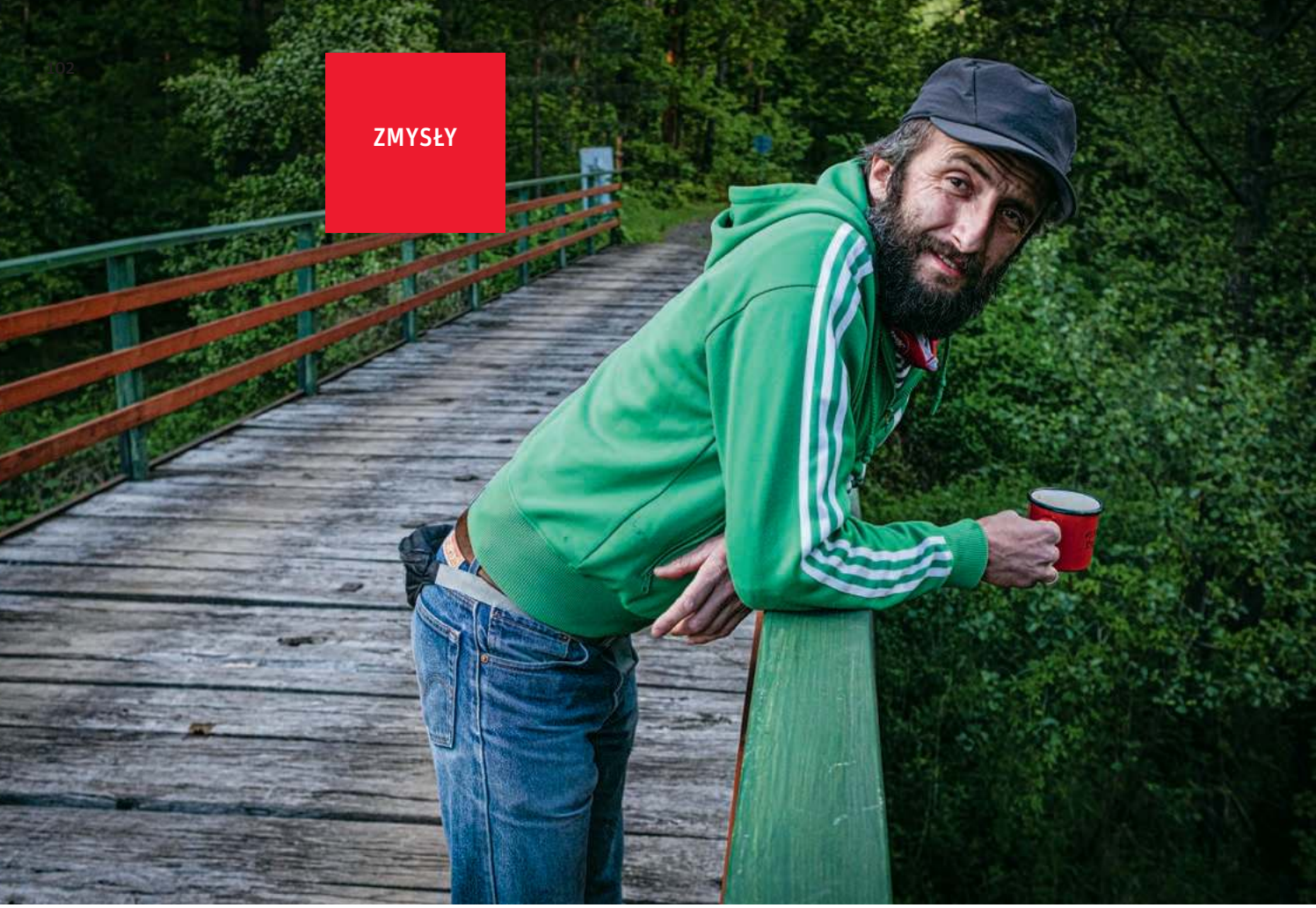

Na moście na rzece Bukowa w pobliżu wsi Nalepy, woj. podkarpackie, czerwiec 2020 r.

GEGRA RZĄDZI

SZCZEPAN ŻUREK, NAUCZYCIEL GEOGRAFII, KRAJOZNAWCA:

Kiedy okazało się, że uczyć będziemy zdalnie, spakowałem się, wsiadłem do busa i ruszyłem w Polskę. Lekcje prowadziłem z Podlasia, z Lubelszczyzny, znad Bugu.

ADAM ROBIŃSKI: Tęskniłeś za ławkami i tablicą?

SZCZEPAN ŻUREK: Tęskniłem nie tyle za tablicą, co za bezpośrednim kontaktem z uczniami. Zdalna szkoła ma swoje plusy i minusy, a w przypadku geografii chyba więcej jest wad niż zalet. Trudno uczyć jej przez internet, łatwiej, kiedy wyjdzie się z klasy do parku. Na przykład po to, żeby pokazać dzieciakom zbiorowisko roślinne albo żeby wykopać dziurę w ziemi i obejrzeć profil glebowy. Dużo jest tematów, które można zrealizować na lekcji pod drzewem. Staram się jak najczęściej prowadzić lekcje na powietrzu.

Czy podstawa programowa z geografii nadąża za światem?

Nasza szkoła jest specyficzna. Mamy dużą swobodę w sposobie realizowania programu. Oczywiście trzymamy się podstawy programowej, ale już nie konkretnych rozdziałów w podręczniku. W pierwszej i drugiej klasie prowadzę geografię w formie modułowej. Moduły kręcą się wokół konkretnych tematów, np. klimatu, demografii lub granic. W ramach takiego modułu są lekcje z geografii, biologii, fizyki, chemii czy wiedzy o społeczeństwie.

Kilkoro nauczycieli realizuje swoje zajęcia, ale wszystkie mają wspólny mianownik. Kontaktujemy się ze sobą, wspólnie robimy sylabus, planujemy program, dzięki któremu uczniowie zobaczą praktyczny wymiar nauki. Żeby zamiast wkuwać na pamięć prawe dopływy Wisły, uświadomili sobie, że wiedza, jaką dostają na geografii, ma bezpośredni związek choćby z fizyką atmosfery, a co za tym idzie też ze zmianami klimatu, których przecież sami doświadczają.

Czyli szkoła raczej nie jest ostoją klimatycznego denializmu? Kilka miesięcy temu aktywistka Extinction Rebellion opowiadała na łamach „Tygodnika", że w materiałach edukacyjnych z ministerstwa natrafiła na kwiatki o rolniczym raju, jakim stanie się Polska, gdy w wyniku ocieplenia klimatu zaczniemy uprawiać cytrusy.

Ja się z jakimiś wyraźnymi przekłamaniami nie spotkałem. Może za krótko uczę? O ile podstawa programowa nie zmieniła się radykalnie od czasów, kiedy ja czy ty chodziliśmy do szkoły, to mam jednak wrażenie, że dużo większy nacisk kładzie się dziś na analizowanie danych kosztem ich zapamiętywania. Przynajmniej na geografii. Sprawdzanie wiedzy polega raczej na przestrzennej korelacji danych, np. o produkcji stali i bezrobociu, niż odpytywaniu z terminów. Oczywiście musisz na maturze wiedzieć, co to są ozy i kemy, ale ta nauka nie polega już na klepaniu stolic państw Afryki.

Ja do dziś, obudzony w środku nocy, powiem, że stolicą Burkina Faso jest Wagadugu, a Madagaskaru Antananarywa.

To znaczy, że masz perspektywę XIX-wiecznej pruskiej szkoły, która wymaga znajomości dopływów Amazonki albo wszystkich miejsc wydobycia węgla brunatnego w Polsce. Ja z kolei wymagam od uczniów, żeby kojarzyli Bełchatów czy Konin z pewnymi problemami środowiskowymi, ale od wyliczanek wszystkich kopalni są tabele, a nie głowa. Przecież do tych danych mają dostęp w zasadzie 24 godziny na dobę. Muszą się nauczyć je wyszukiwać i korzystać ze źródeł, a potem na ich podstawie wyciągać wnioski. Zapamiętywanie konkretnych wartości wydobycia surowców czy nazw dopływów nie ma żadnego sensu, jeśli jest im to potrzebne tylko do sprawdzianu. Dlatego sprawdziany robimy w formule otwartych książek. Mogą korzystać z notatek i podręczników, bo tam znajdą dane. Ale wnioski muszą już wyciągnąć sami – a to wydaje mi się najistotniejsze.

Roztaczasz przede mną wizję szkoły jako raju.

Bo ja naprawdę dobrze trafiłem. No i jadę na turboentuzjazmie, bo zawsze chciałem być nauczycielem, a zostałem nim dopiero niedawno.

Czemu nie wcześniej?

Pracowałem ze studentami. Dorywczo. Organizowałem warsztaty, seminaria, wykłady. Wiedziałem, że mi to dobrze wychodzi i że lubię to robić. Ale to były raczej krótkie kursy. A potem – przypadek. Wracałem z Serocka z seminarium o krajoznawstwie, jechałem samochodem, więc wziąłem na stopa jedną z uczestniczek. Powiedziała, że jest nauczycielką, na co stwierdziłem, że bardzo jej zazdroszczę, bo to moje marzenie. Okazało się, że jej szkoła, społeczne liceum Bednarska, szuka na zastępstwo geografa. Dzień później zadzwoniła do mnie pani dyrektor, spotkaliśmy się, a dwa dni później prowadziłem już pierwszą lekcję.

A jak zostałeś geografem?

Po kluczu rodzinnym, moi rodzice skończyli geografię, pracują w zawodzie. Geografia była w naszym domu czymś oczywistym. Wychowałem się wśród map, atlasów i rodzinnych wycieczek. Nasłuchałem się w dzieciństwie o różnych drumlinach, wywierzyskach, czarnoziemach i nunatakach, a potem sam chciałem to wszystko zobaczyć. No i ciągnęło mnie w świat.

Czyli to nie szkoła zaraziła Cię pasją do geografii.

Nie, ale miałem szczęście do nauczycielki, do profesor Urszuli Mygi-Piątek, która potem zaczęła karierę naukową i teraz jest kierownikiem katedry na Uniwersytecie Śląskim. Profesor Myga-Piątek pokazała mi fajną stronę geografii, chociaż nie ukrywam, że w tamtych czasach kojarzyła mi się ona głównie z podróżami. Zostanę geografem, będę dużo podróżował, zobaczę świat i będzie super, tak kombinowałem.

To w czym tkwi ta fajna strona geografii?

W tym, że można pod nią podpiąć każde zainteresowanie, które jakkolwiek różnicuje się w przestrzeni. Na pierwszej lekcji zwykle pozwalam sobie na żart. Edward Stachura mówił, że wszystko jest poezja, ja mówię, że wszystko jest geografia. Powietrze, woda, gleba, problemy społeczne, przemysł, transport, religia, cokolwiek, co przyjmuje różne wartości w przestrzeni. Staram się to wpajać uczniom, by zrozumieli, że ich zainteresowania mogą stać się zainteresowaniami geograficznymi, jeśli tylko interesuje ich zmienność tej rzeczy w przestrzeni. Na przykład jeśli ktoś interesuje się lasami, to mamy dla niego fitogeografię, albo dla wielbicieli kolei – geografię transportu. Można wyliczać w nieskończoność.

A Twoje zainteresowania, to, co robisz po lekcjach? Są ich świadomi?

Siłą rzeczy chyba tak.

Kiedy na początku roku okazało się, że przez dłuższy czas uczyć będziemy zdalnie, spakowałem się, wziąłem komputer, wsiadłem do busa i ruszyłem w Polskę. Lekcje prowadziłem z Podlasia, z Lubelszczyzny, znad Bugu. Na pewno na ekranie komputerów widzieli, że za plecami nie mam regału z książkami, tylko firankę volkswagena albo las. Poza tym mieliśmy właściwie nieustanny kontakt. Robiliśmy sobie quizy krajoznawcze. Wysyłałem im zdjęcie z wycieczki rowerowej z pytaniem „co to?" albo „gdzie to?". Tak się w to wkręcili, że kiedy już obostrzenia w przemieszczaniu się zostały zdjęte, sami zaczęli wysyłać podobne pytania ze swoich wyjazdów. Robili mi krajoznawcze zagadki.

Skąd Ci się wzięło w życiu to krajoznawstwo? Kiedy parę lat temu z grupą znajomych założyliście Towarzystwo Krajoznawcze „Krajobraz", spodziewaliście się, że wyprzedzacie modę?

Dobrze się wstrzeliliśmy. Choć to nie tak, że byliśmy zupełnymi pionierami, dało się już zobaczyć pierwsze przejawy mody na lokalność. Ja się w życiu sporo najeździłem. Widziałem trochę egzotyki, zresztą zgodnie z tym, co obiecywałem sobie po studiach geograficznych. Ale z czasem doszedłem do ściany. Wiedziałem, że mogę znów lecieć do Azji czy Ameryki Południowej oglądać tamtejsze wodospady, ale rok później nie będę już pamiętał, jak się nazywały.

Potem była Korona Warszawy – w założeniu żart dla znajomych, gdzie w formule wielkiej wyprawy górskiej wspinaliśmy się na pagórki Warszawy. Okazało się, że to może być ciekawsze niż wyprawa na Kilimandżaro. Na Górkę Szczęśliwicką wchodziło z nami kilkadziesiąt osób, a na Facebooku nasze „wyczyny" obserwowało ponad 6 tysięcy. Dla nas to była większa przygoda niż wyprawa w Andy! Pamiętam jeszcze wyjazd naukowy z moim przyjacielem Witem, socjologiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zabraliśmy jego studentów do Przemyśla. Na początku byli pomysłem zniechęceni, kupili sobie bilety na pociąg do Lwowa, żeby w tym Przemyślu nie siedzieć ani chwilę ↦

DAWID ZIELIŃSKI

↦ dłużej, niż musieli. Ale po tygodniu to zniechęcenie zamieniło się w zachwyt.

Co ich tak urzekło?

Nic konkretnego. O to chyba chodzi w krajoznawstwie. Dostajesz pakiet ciekawostek, które są dla ciebie w pełni jasne, bo wywodzą się z doskonale ci znanego kontekstu kulturowego. Widzisz i rozumiesz drugie, trzecie dno miejsca czy sytuacji. Tymczasem podczas zagranicznej wycieczki masz tylko to, co widzą oczy. Co podaje ci na tacy przemysł turystyczny. I to jest ładne, owszem, ale czy interesujące?

Więc to, czym kupił studentów i mnie Przemyśl, to były przede wszystkim historie poszczególnych osób, mieszkańców Przemyśla, stosunki między mieszkańcami, małe historie, ciekawostki, miejsca. Na przykład stosunki między różnymi pokoleniami Ukraińców i Polakami. Z czego wynikają i co z nich wynika. Niewielkie miasto okazało się tak naprawdę skomplikowaną układanką.

Świadomie sięgnęliście po zakurzony rzeczownik „krajoznawstwo"?

Tak, bo jak inaczej nazwać to, czym się zajmujemy? Szwendamy się po Polsce w poszukiwaniu ciekawostek. Chcieliśmy też trochę odczarować to słowo, które kojarzy się z wczasami w zapyziałych domkach w lesie albo z zakrapianymi turnusami spędzanymi w domach wczasowych nad jeziorem. Ikoniczne, parotygodniowe obozy wędrowne w Bieszczadach czy wielodniowe spływy kajakowe często nie działy się pod szyldem PTTK. To w dużej mierze było harcerstwo, turystyka studencka albo duszpasterstwo akademickie. Być może więc to nasze odkurzone krajoznawstwo jest tym, czym anglosaski *outdoor*? Chcemy zachęcać ludzi do wychodzenia na dwór lub, jak kto woli, na pole. Być może bardziej pasowałby rzeczownik „mikrowyprawy", ale on jest strasznie hipsterski.

Bo krajoznawstwo stało się hipsterskie. Nasi rodzice też robili krajoznawstwo, tylko nie ubierali go w modne określenia, nie dorabiali ideologii.

Ale kto je uprawiał? Kto mógł sobie na to pozwolić? Na indywidualne krajoznawstwo, jakie my dziś uprawiamy? To były często osoby w jakiś sposób uprzywilejowane. Studenci, Karol Wojtyła z duszpasterstwem, warszawska czy krakowska inteligencja – to byli ówcześni hipsterzy. Soboty w pełni wolne od pracy to są przecież dopiero lata 80.

Ale i dziś krajoznawstwo jest domeną nielicznych. Tych, którzy mogą pracować zdalnie, z domu albo z busa nad Bugiem.

Jasne, możemy sobie pozwolić na to, żeby zamiast dwa tygodnie w Egipcie spędzić je pod Łomżą. I to nie jest kwestia finansowa. Chodzi o czas. Nie mamy ciśnienia na Egipt, ten wyjazd nie będzie naszymi głównymi wakacjami, które mamy wspominać przez kolejny rok. Mamy za to czas, żeby bez celu włóczyć się po podlaskim lesie albo przez dwa tygodnie spływać Bugiem i nie czuć, że zmarnowaliśmy urlop. To jest luksus, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić.

Mam też poczucie, że Wasze krajoznawstwo ma zawadiacki sznyt. Jakbyście to wszystko traktowali trochę z przymrużeniem oka. Przykładem może być to, że w stulecie niepodległości zabraliście jej literę „p", z czego wyszła akcja „Polska nieodległa".

Ideą, która nam przyświecała, było odejście od patosu militarystycznych obchodów tej rocznicy. Od dawna rozmawiamy we własnym gronie, że każdy pretekst jest dobry do wyjścia z domu.

Nawet pozornie bzdurny. Jeśli organizujemy wycieczkę pod Zawiercie śladami pioniera krajoznawstwa Aleksandra Janowskiego, to nie do końca chodzi nam o szukanie jego faktycznych tropów. Raczej o to, żeby po prostu przejść się w ładnym krajobrazie, który nie jest oblegany turystycznie. Janowski jest pretekstem do tego, żeby pojechać w jakieś nowe, nieznane nam dotąd miejsce i powłóczyć się bezdrożami Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. Tak jak na przykład geograficzny środek Polski, który wcale nie mieści się w gminie Piątek, jak od dawna owa gmina utrzymuje, tylko na podwórku pewnej pani w Nowej Wsi pod Kutnem. Obiektywnie to nie jest ani ładne, ani interesujące miejsce. Ale wycieczka tamże, spacer po polach pod Kutnem, przejście przez rzeczkę, to wszystko jest atrakcyjnie spędzony czas. Zestawianie tego z dokonaniami gigantów polskiego krajoznawstwa nie ma oczywiście uzasadnienia, choć my też mamy jakąś misję, publikujemy materiały, przewodniki, angażujemy się w aktywności, namawiamy do nich innych.

Proponowaliście sto wyczynów: zdobycie dachu Mazowsza albo najniżej położonego punktu w Tatrach, który wypadał na szosie Balzera w Jaszczurówce. Podróż byle jakim pociągiem z zielonym kamieniem w dłoni. Albo całowanie na Całowaniu. A wycieczki szkolne? Dokąd zabrałeś albo planujesz zabrać swoją klasę?

W zeszłym roku byliśmy w Sosnowcu. W ramach zajęć modułowych, których tematem były granice, pojechaliśmy zobaczyć, jak wygląda obecnie Trójkąt Trzech Cesarzy, a więc miejsce, w którym stykały się trzy wielkie mocarstwa. Przy okazji przyglądaliśmy się widocznym do tej pory różnicom pomiędzy zaborami, między stroną sosnowiecką a mysłowicką. Mieliśmy parę fajnych spostrzeżeń. Choćby tramwaje. Sieć tramwajowa na Śląsku jest świetnie rozwinięta, a Śląsk z Zagłębiem łączą tylko dwie niteczki. I dalej, od Sosnowca w stronę Będzina czy Dąbrowy Górniczej znów pełno linii. Jakby granica na Brynicy była wąskim gardłem. Do takich obserwacji skłoniła nas wirtualna, nieistniejąca atrakcja turystyczna, którą trochę sami sobie stworzyliśmy. Uczniom się podobało, bo czuli się zdobywcami, odkrywcami. Wcześniej nikt ze szkoły nie wybrał się przecież na wycieczkę do Sosnowca.

Myślałem, że opowiesz mi o Puszczy Białowieskiej i Biebrzy.

Te tereny są królestwem biologów. Co nie znaczy, że nie miałbym o czym opowiadać. Mógłbym zabrać klasę do puszczy i zrobić lekcję o tym, jak zmiany klimatu zmieniają zasięgi poszczególnych gatunków roślin, ale biolog poradzi sobie z tym o wiele lepiej. Ja się z przyjemnością doklejam do biologów z naszej szkoły, ale nie wchodzę im w paradę. Wolę mniej oczywiste miejsca. Szukanie atrakcji i ciekawostek tam, gdzie pozornie ich nie ma, wydaje mi się dużo większym wyzwaniem. Poza tym pamiętaj, że wszystko jest geografia!

A jednak jako „Krajobraz" zorganizowaliście w wakacje obóz wędrowny po Puszczy Białowieskiej. Nazywał się „Zapuszczeni".

I za rok zrobimy go znowu. Zresztą uczestnikom tak się podobało, że namawiali nas na powtórkę w zimie. Ale to były jednak młodsze dzieci niż te, które uczę. Miały od 10 do 13 lat, część to były dzieciaki znajomych, ale też inne, które same się do nas zgłosiły. Napisaliśmy jedno ogłoszenie na Facebooku i dwa dni później musieliśmy zamknąć zgłoszenia, bo wszystkie miejsca były zajęte. Być może dlatego, że prawie nikt poza harcerzami podobnych imprez nie organizuje? Nie ma oferty dla tych, którzy chcą łazić po lesie, ale bez otoczki paramilitarnej lub surwiwalowej. Była też z nami dwójka dzieci uchodźców z Armenii i Kirgistanu. Obaj się świetnie odnaleźli w puszczy i w grupie. A mały Ormianin, chociaż wcześniej o przyrodzie miał blade pojęcie, ostatniego dnia w brawurowy sposób poprowadził spacer po lesie dla rodziców, którzy przyjechali odebrać uczestników. Przez tydzień nauczył się tyle, że był w stanie zrobić dziesięciorgu dorosłym godzinny wykład w terenie. I utrzymać ich uwagę!

No tak, ale to są młodsze dzieciaki niż Twoi licealiści. Oni, jeśli interesują się przyrodą, mogą przebierać w literaturze przedmiotu, poczynając od żubra Pompika, kończąc na książkach Adama Wajraka i Wojciecha Mikołuszki. Gorzej z nastolatkami, które z Pompika wyrosły. Nie wydaje Ci się, że dla nich nie mamy żadnej oferty?

Tylko że licealiści nie chcą być traktowani jak dzieciaki. Ci, którzy w podstawówce zainteresowali się przyrodą, parę lat później stają się już odbiorcami literatury dorosłej. Nie potrzebują niczego pośredniego. Na obozie wędrowały z nami dwie dziewuchy, które były kapitalnie oblatane w ptakach. Rozpoznawały gatunki i ich odgłosy. I wiesz, jaką książkę wzięły ze sobą na ten tydzień w lesie? Ptasi przewodnik Collinsa! Wszystko, co poniżej, było dla nich zbyt amatorskie. Takie dzieci chcą być traktowane poważnie, nie zadowolą się półśrodkami.

Myślisz, że z uwagi na moment dziejowy zainteresowania przyrodnicze przychodzą dziś dzieciakom łatwiej niż kiedyś? Że pokolenie, z którym masz do czynienia jako nauczyciel i przewodnik, patrzy na świat z większą świadomością wyzwań i konsekwencji wyborów?

Moi uczniowie to w dużej mierze dość specyficzna młodzież. Trochę bananowa. I oni już się świata naoglądali, ale teraz są trochę ponad wakacjami na Bali czy w Singapurze. Mówią o *flygskam*, wstydzie przed lataniem. Jak ktoś spędził ferie w RPA, to nie jest już powód do dumy. Angażują się mocno w strajki klimatyczne, w Extinction Rebellion, a ja staram się im tego nie utrudniać. Ale w końcu strajk to ma być wyraz niesubordynacji, buntu przeciwko systemowi. A ja chcąc nie chcąc jednak ten system uosabiam.

Ale belfer, który pół roku siedzi w lesie, im imponuje?

Imponowanie to na pewno nie jest mój cel. Bardziej zależy mi na tym, żeby nauczyć ich odpowiedzialności i ciekawości świata. Chciałbym, żeby podróżowali świadomie. Żeby poczuli coś na kształt dumy z tego, że spędzą wakacje na Podlasiu czy w polskich górach. Że niekoniecznie trzeba lecieć na Malediwy albo do Argentyny, żeby poczuć się dobrze.

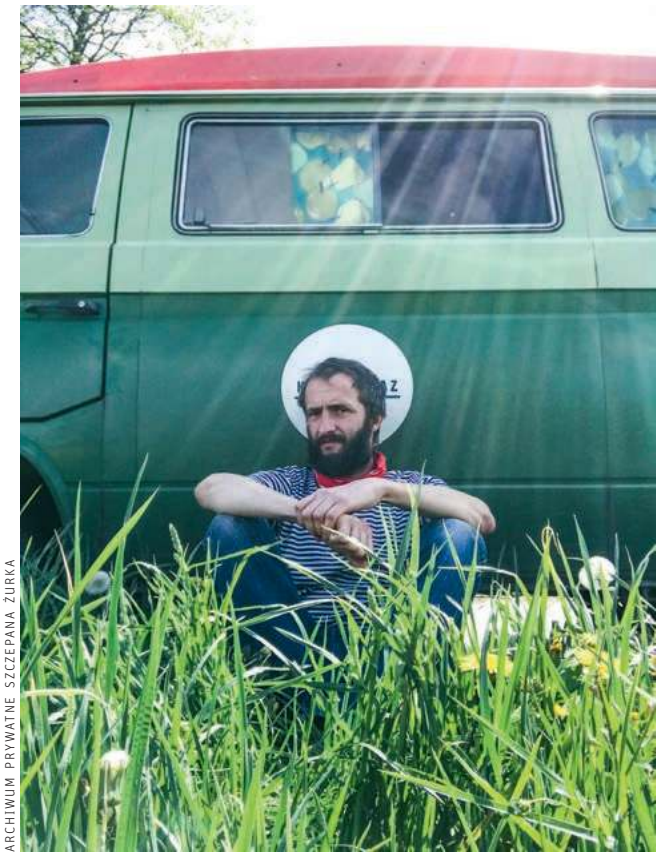

ARCHIWUM PRYWATNE SZCZEPANA ŻURKA

Wszystko jest geografią. Powietrze, woda, gleba, problemy społeczne, przemysł, transport, religia, cokolwiek, co przyjmuje różne wartości w przestrzeni.

SZCZEPAN ŻUREK (ur. 1980) jest geografem. Nauczyciel w warszawskim I SLO Bednarska, współtwórca Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz".

Poleciałbym do Argentyny.

Jest parę takich miejsc na świecie, które sam bym chętnie odwiedził, ale nie powinienem o tym głośno mówić. Te dzieciaki mają rację, latanie na egzotyczne wakacje w dzisiejszych czasach to jednak obciach.

Ucieszyłbyś się, gdyby znowu szkołę zamknięto, a Ty mógłbyś wsiąść w busa i ruszyć w Polskę?

Nie, absolutnie nie. Cieszę się na każdą lekcję pod dębem na szkolnym podwórku. Ale jak nas sytuacja zmusi do przejścia na nauczanie zdalne, to tak, spakuję się i znowu pojadę w teren, zamiast uczyć ich ze swojego pokoju w Warszawie. O ile żona mnie puści!

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Obrazy i dźwięki*

Chcemy dziś zacząć od drobnego zdarzenia, którego moc symboliczna wprawiła nas w bardzo dobry nastrój. Oto niedawna wizyta w banku okazała się możliwa tylko dzięki włożeniu maski. Przekraczanie bram banku osobnikom niezamaskowanym jest teraz surowo wzbronione. Oczekiwanie w precyzyjnie i przepisowo rozproszonej kolejce zamaskowanych klientów umilaliśmy sobie projektowaniem napadu na ów bank, co dziś wydaje się być wyzwaniem pozbawionym bariery czynienia charakteryzacji. I to wszystko, jeżeli idzie o ćwiczenia na wyobraźni i o rozrywkę w starym, tradycyjnym stylu. Czas teraz przejść chyżo do zdarzeń jeszcze weselszych, do analiz nieuniknionych.

Wydarzyło się w ostatnim tygodniu to i owo. Dla znacznej większości obserwatorów wiele też się rzekomo wyjaśniło. Że oto – czytamy gdzieś – wypalił się do cna PiS-owski projekt ideowy bądź że p. Kaczyński to *de facto* Jaruzel wchodzący właśnie do bagna stanu wojennego, albo że ustanawiając przykościelne bojówki, p. Kaczyński nawołuje do wojny domowej czy też religijnej. Otóż w każdym z tych spostrzeżeń jest jakby nieco prawdy, ale to nie znaczy, że ich suma da trzeźwy i spójny obraz dzisiejszości. Dowodem jest sławna już mowa p. Kaczyńskiego pokazana w internecie. Było w niej wszystko, do czego p. Kaczyński zdołał nas przyzwyczaić, czyli maksimum formy przy ogromnej dbałości o minimum treści. Zważmy, że ani jedno zdanie z tego nagrania nie sygnalizowało, że autor chciałby cokolwiek w Polsce ustanowić, poza ogłoszeniem-komunikatem o zebraniach tutejszej bandyterki. Tym razem to wezwanie było może i najwyraźniejsze w życiu owego mówcy i najprecyzyjniej – lubimy to słowo – dedykowane.

Wielu komentujących dostało z powodu owej elukubracji gęsiej skórki, stan wojenny sprzed lat 40 stanął im przed oczyma, co wydało nam się objawem niejakiej nadwrażliwości. Jednak brak reakcji na to wystąpienie wskazuje, że p. Kaczyński i jego koledzy nie wywołują u młodzieży polskiej żadnej trzęsawki. Nawiasem, to wtręt, przed pseudoprawicą polską rysuje się coraz wyraźniej zadanie: jak i kiedy, w miarę taktownie, odsunąć p. Kaczyńskiego od urządzeń nagrywających dźwięk i obraz. Przynajmniej tyle by się przydało, na dobry początek.

No właśnie, bo ważnym elementem mowy p. Kaczyńskiego była niezwykła scenografia, sposób filmowania oraz zastosowane triki montażowe. Autor nagrania – tak mniemamy – jest wychowany na znakomitej hollywoodzkiej serii „Piraci z Karaibów". Dostaliśmy więc do oglądnięcia i wysłuchania dziwacznie mówiącego osobnika z wyspy bezludnej, w jakimś osobliwym przebraniu, w krawacie chyba z koziej skóry, grubo pokrytego niezbyt kosztownym pudrem, filmowanego tak, by ów wydał się nam straszniejszy, większy, bardziej umięśniony, z jakby rękami-szczypcami przyklejonymi do ogromnie brudnego stołu, a wszystko to w kubryku wybitym czerwoną tapetą. Zaiste, mówcy brakowało czarnej klapki na oku. Dziwne to było szalenie, a jedyne, o czym obsesyjnie myśleliśmy, patrząc na to widowisko, to pragnienie szybkiego wyjaśnienia, czy naprawdę wszystkie makijażystki p. Kaczyńskiego pracują już w ministerstwach i spółkach Skarbu Państwa, i czy naprawdę są aż tak bardzo zajęte, że makijaż p. Kaczyńskiemu musiał zrobić Czarnek z Lublina.

Rzekomo najważniejszą mowę w roku wygłosił więc nie premier ani prezydent kraju, lecz wiekowy działacz partyjny bawiący się z kolegami w pirata. *À propos* premiera: onże z kolei, w swym miękkim wystąpieniu na terenie szpitala urządzonego na stadionie, trzęsącym się głosem prosił, by demonstrujący występowali przeciw niemu. Przejrzeliśmy to nagranie parę razy, bardzo uważnie. Rzeczywiście, mowa ciała p. Morawieckiego wskazywała, że nie zauważył, iż oto pół miliona demonstrujących od wielu dni w całej Polsce domaga się odejścia właśnie jego, jego szefa, jego kolegów i jego partii. To może być – owszem – interesujący człowiek, ale jeśli idzie o kojarzenie faktów i spostrzegawczość, nie jest to orzeł. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

„WOLNOŚĆ SŁUCHAJĄCA POGADANKI O ZASADACH SAVOIR-VIVRE'U OBOWIĄZUJĄCYCH NA BARYKADZIE."

REKLAMA

NINATEKA

400 dokumentów

ZA DARMO,
BEZ REKLAM,
W JEDNYM MIEJSCU!

Wejdź i sprawdź
ninateka.pl

REKLAMA

RMF Classic

prezentuje

Nie Do Mówienia

Artur Andrus

w rozmowach pełnych humoru
w każdą niedzielę po 10:00
tylko w RMF Classic

rmfclassic.pl